

KATHERINE STONE  
NARESZNIE W DOMU

---

# 1

- Galen Chandler chciałaby się z panem widzieć. - Znam ją?

- Chyba nie - odparł młody policjant.

Galen Chandler znał już cały Manhattan, ale porucznika Lucasa Huntera nie było w kraju przez ostatni miesiąc. Wyjechał tuż przed świętami Bożego Narodzenia, na tydzień przed jej pierwszym pojawieniem się na wizji. Był w Australii, w Queensland, gdzie przywódcy separatystycznej sekty grozili, że poza-bijają nie tylko swych współwyznawców, ale i mieszkańców pobliskiej wioski. Do masakry nie doszło dzięki zdolnościom negocjacyjnym Lucasa Huntera.

Kiedy samolot z Sydney, którym porucznik wracał do kraju, lądował na lotnisku J.F.K., coś podobnego wydarzyło się w samym sercu Manhattanu. Przy akompaniamencie policyjnych syren przewieziono go natychmiast na teren szpitala, gdzie przetrzymywano zakładników.

Nie mógł słyszeć o Galen Chandler. Zresztą pochłonięty ważniejszymi sprawami - zbrodnią i śmiercią - pewnie nie przejąłby się skądinąd pasjonującymi problemami, nawet gdyby był w mieście.

- To nowa prezenterka telewizji KCOR. Od trzech tygodni prowadzi wieczorne wiadomości razem z Adamem Vaughnem. Chce widzieć się z osobą, która prowadzi negocjacje. Mówi, że to absolutnie konieczne.

- Dziennikarka? ^ Sposób, w jaki porucznik zadał to krótkie pytanie, wyraźnie wskazywał, że ten żółtodziób powinien lepiej zapoznać się z zasadami, jakim kierują się jego zwierzchnicy. - Nie mam zamiaru się z nią widzieć. Ani teraz, ani później.

- Jest uparta, panie poruczniku.

- Jakby inaczej. Dziennikarze zawsze są uparci.

- Prosiła, żeby panu to oddać.

Młody policjant wręczył porucznikowi starannie złożoną kartkę papieru. Lucas zaklął cicho na widok jedynego widniejącego na niej słowa: „Rebeka”. Skąd, u diabła, dziennikarka dowiedziała się o dziewczynce? Wiedział wprawdzie personel szpitala, no i, rzecz jasna, przerażeni rodzice. Ale jedni i drudzy zdawali sobie sprawę, czym groziło ujawnienie tego faktu. Człowiek, który przetrzymywał osiem małych pacjentek, z pewnością uważnie śledził wszystko, co mówiono na ten temat w telewizji. Dotąd zakładniczki były dla niego zwykłymi dziewczynkami, ukochanymi dziećmi swoich rodziców. I nikim więcej. Cztery i pół godziny od ich uwięzienia ani on, ani dziennikarze nie mieli pojęcia, że wśród zakładniczek jest jedenastoletnia córka Nicholasa Paxton-Wrighta, miliardera z Chicago. Tylko niewielu ludzi wiedziało, że rodzina komputerowego potentata przebywa w mieście, a zaledwie parę osób - że dwa dni temu Rebecę operowano wyrostek robaczkowy.

Ciekawe, co Galen Chandler zamierza zrobić z posiadaną informacją? Lucas Hunter był pewien, że ambitna dziennikarka wykorzysta rewelację dla swoich osobistych celów. Ale chwilowo powstrzymała się od zbijania kapitału na swej wiedzy. Z jakiegoś powodu - może chcąc potwierdzić prawdziwość zdobytych informacji - postanowiła najpierw przyjść do niego.

- Gdzie ona jest?

- Za drzwiami. Porucznik westchnął.

- Wpuść ją tu.

„Za drzwiami” oznaczało odległy kąt na szpitalnym parkingu „tu” - wewnątrz luksusowej przyczepy kempingowej, podarowanej przez jakiegoś wdzięcznego obywatela i zaadaptowanej, jako ruchome stanowisko dowodzenia jednostki Departamentu Policji Nowego Jorku.

W przyczepie, wyposażonej w najnowocześniejszą aparaturę, panowała niemal absolutna cisza. Na sześciu milczących monitorach telewizyjnych pojawiały się napisy; faksy nadchodziły prawie bezszelestnie, podobnie jak wiadomości przysyłane i wysyłane pocztą elektroniczną. Nawet telefony - poza jednym, łączącym bezpośrednio z porywaczem - nie dzwoniły, tylko błyskały. Ekran wszystkich komputerów gasły za naciśnięciem jednego guzika -tak właśnie jak teraz, gdy dziennikarka wkroczyła w uświęconą przestrzeń.

Lucas Hunter skierował na wchodzącą zimne spojrzenie szarych oczu, jak zwykle, gdy oceniał, z kim ma do czynienia. Zawsze zachowywał nieprzenikniony wyraz twarzy, bez względu na to, czy jego oczom ukazywał się widok odrażający, czy niewiarygodnie piękny.

Również teraz jego twarz pozostała nieporuszona, chociaż to, co zobaczył, kompletnie go zaskoczyło. Spodziewał się starannie uczesanej i znakomicie ubranej spikerki telewizyjnej, z perfekcyjnym makijażem na pięknej twarzy obramowanej złocistymi włosami. Nienagannej. Nieskazitelnej. Złocistej.

Żadne z tych określeń nie pasowało do Galen Chandler. Włosy miała rude, a właściwie czerwone, mieniające się wszystkimi barwami płomieni i nieokiełznane niczym piekielny ogień. Twarz szczupłą, surową, nietkniętą makijażem, a cerą tak bladą, jakby nigdy nie spoczął na niej promień słońca. Zimowy wiatr wymalował na śnieżnobiałych policzkach czerwone rumieńce. Nosiała sportowe buty, dżinsy i płaszcz z moheru, na pewno sztucznego, bo jaki szanujący się projektant wykonałby z prawdziwej wełny takie bezkształtne okrycie, powiewające na wszystkie strony i do tego turkusowoniebieskie? Był to niezwykły, wręcz nieprawdopodobny odcień, który musiał się kłócić z każdą inną barwą z wyjątkiem własnej... I właśnie w tym samym kolorze Galen Chandler miała mitenki. Mitenki!

Gdyby był pierwszy kwietnia, a Lucas Hunter należał do osób, z których ktokolwiek ośmieliłby się żartować, uznałby, że płomiennowłose stworzenie, ubrane na turkusowo, to figiel spleatany mu na prima aprilis, opłacona striptizerka, która prowokacyjnie się rozbierze, zrzuci rudą perukę, ukazując

puke kruczych włosów. Jej blada cera wyda mu się z pewnością mniej teatralna, kiedy jaskrawy płaszcz opadnie na podłogę i...

Ale był dwudziesty trzeci dzień stycznia i nie chodziło ani o primaaprilisowy żart, ani o niespodziankę z okazji szczęśliwego powrotu do domu, lecz o osiem małych, chorych dziewczynek pozostających na łasce przestępcy.

Zakrawało na dowcip, że to ona zdobyła pracę w nowojorskiej telewizji - marzenie każdego dziennikarza - kobieta, która wyglądała tak, jakby wszystkie jej marzenia już dawno rozwiąły się na wietrze; taka krucha, taka śliczna, taka zagubiona...

Na jej widok Lucas Hunter doznawał rozmaitych wrażeń - żadne nie wróżyło dobrze, choć niektóre były wręcz cudowne, a wszystkie przeczyły zdrowemu rozsądkowi. To dziennikarka, upomniał sam siebie; i ma informacje, które mogą sprowadzić śmierć. Z powodu tych informacji miała go w garści, tak jak Anthony Royce terroryzował ośmioro niewinnych dzieci.

- Pani... - Porucznik wzruszył ramionami. - Przepraszam. Mój podwładny wymienił pani nazwisko, ale chyba zapomniałem.

Mówił niskim, niepokojącym głosem, z lekkim akcentem brytyjskim, zdradzającym dobre urodzenie. W innej sytuacji, przy innej kobiecie, ten dżentelmen o szarych oczach na pewno wstałby z krzesła. Teraz tego nie zrobił. Mimo to budził szacunek. I lęk. Kimkolwiek był, zgodził się jej wysłuchać. On tu dowodził.

Naprawdę zapomniał jej nazwiska? Szczerze wątpiła, czy coś takiego kiedykolwiek mu się przytrafiło. Nie, chciał raczej pokazać jej właściwe miejsce, wprawić ją w konsternację.

- Nazywam się Galen Chandler - przedstawiła się najspokojniej, jak umiała. - Tak się złożyło, że dziś wieczorem około siódmej byłam na oddziale szóstym...

- Tak się złożyło?

- Tak.

- Z jakiego powodu?

- A czy to ma znaczenie?

Tak, pomyślał, dla ciebie ma to ogromne znaczenie. Zakładał, że znalazła się na oddziale, bo była tam Rebeka, bo odkryła, że Paxton-Wrightowie sana Manhattanie, bo dowiedziała się o operacji dziewczynki. Teraz nie był już tego taki pewny.

- Nie - zgodził się. - Chyba nie. - Tylko że chciałbym wiedzieć, pomyślał w nagłym odruchu i zaraz posłał się do diabła. - Nie jest natomiast bez znaczenia, że pyta mnie pani o Rebekę. Dlaczego?

- Była w szpitalnej bawialni, gdzie przetrzymywane są zakładniczki.

- Widziała więc pani kogoś, kto przypominał Rebekeę Paxton-Wright w bawialni na oddziale szóstym.

- Ja wiem, że to była Rebeka.

- Doprawdy? A niby skąd?

- Kiedy pracowałam dla telewizji Gavel-to-Gavel zajmowałam się procesem o prawa autorskie, dotyczącym firmy jej ojca. Rebeka nigdy nie pokazała się w sądzie, lecz jej zdjęcie krążyło między dziennikarzami.

- I doszła pani do wniosku na podstawie jednego zdjęcia, widzianego jakiś czas temu, że ta dziewczynka w szpitalu to Rebeka?

- Bo to jest Rebeka. Nie rozmawialibyśmy teraz, gdyby było inaczej.

Lucas wpatrywał się w nią przenikliwym wzrokiem. Uważnym, nieruchomym, porażającym. Nie zapomniał jednak ani przez chwilę o trzymanym w dłoni papierosie. Obserwował Galen, zadawał jej pytania i zaciągał się regularnie, głęboko, raz po raz. Inkwizytor-dżentelmen właśnie wydmuchnął wielki kłęb dymu z dala od niej, aby nie owiała jej nawet najbliższa smuga.

- To prawda - powiedział lekkim tonem, jakby nie chodziło o żadne ustępstwo z jego strony. - A więc tak się złożyło, że była pani na oddziale szóstym koło siódmej, zaledwie parę minut przed atakiem na dziewczynki. Teraz dochodzi północ. Dlaczego przyjdzie z tym do mnie zabrało pani tyle czasu?

- Dowiedziałam się o wszystkim dopiero z wiadomości o jedenastej.

- Nie wezwano pani do zajęcia się tą sprawą?

Znów pokazywał, gdzie jest jej miejsce? Robił aluzję do wczorajszej miażdżącej krytyki?

Zjadliwy komentarz na jej temat ukazał się w najpopularniejszej miejscowej gazecie, w stałej rubryce „Dzielimy się nowinami”. Prowadziła ją Rosalyn St. John, urodzona plotkarka. Od początku bardzo zainteresowana osobą Galen, uważała jej przypadek za beznadziejny. Dotychczas jednak zadawała tylko pojedyncze, choć bolesne ciosy. Wczoraj natomiast cały felieton poświęciła ocenie trzech tygodni pracy Galen w nowym miejscu. Była to precyzyjna analiza. Każde słowo dobrano celnie i złośliwie.

Według autorki rubryki, Galen Chandler zasługiwała na dwóję, na niedostateczny. Słowo „niedostateczny” zaczyna się na tę samą literę, co „niepowodzenie”, „nieszczęście” i wiele innych podobnych określeń. Choćby „nieudolność”, doskonale oddająca sposób, w jaki nowa prezenterka czyta wiadomości z przygotowanego skryptu i wymienia komentarze z Adamem Vaughnem. Jaką trudność, pytała Rosalyn St. John, przedstawia odczytywanie wiadomości tak, by nie zanudzić widzów? Żadnej, chyba że czyta je Galen. A flirt z przystojnym Adamem Vaughnem? Cóż, to

niespełnione marzenia każdej kobiety, bo on namiętnością obdarza wyłącznie swą uroczą żonę Nancy.

Na literę „n” zaczyna się także „nadąsanie” - ten wyraz pojawia się na twarzy Galen niezwykle często, jakby czytane wiadomości stanowiły dla niej absolutne zaskoczenie, jakby każda z nich pojawiała się z nienacką i zniknęła niespodziewanie.

Nieprawdą jest natomiast - oświadczała autorytatywnie Rosalyn St. John - jakoby eksreporterka stacji Gavel-to-Gavel cierpiała na dysleksję. A propos telewizji Gavel-to-Gavel i sprawozdań z procesów sądowych - to prawdopodobnie jedyny rodzaj działalności, do której nieudolna Galen ma tak zwany dryg, czyli nerw. Tak, tylko do takiego niespiesznego dziennikarstwa - jedna sprawa, jeden proces na jeden raz - Galen Chandler się nadaje. Trzeba spojrzeć prawdzie w oczy, podsumowywała Rosalyn St. John, eksperyment z udziałem Galen Chandler, dziewczyny z prowincji, która miała podbić Piątą Aleję, okazał się kompletnym niewypałem.

„Trzeba spojrzeć prawdzie w oczy”. Galen właśnie to zrobiła. Ale zarząd stacji telewizyjnej KCOR - troje ludzi, którzy z takim trudem zwerbowali ją do siebie - ciągle wierzył w jej zdolności. „Zawsze dobrze jest widzieć swoje nazwisko w druku” - zapewnił ją właściciel stacji, John McLain. „Zawsze, bez względu na to, co o tobie piszą” - przyszedł mu w sukurs Adam Vaughn. „Rosalyn to kompletna idiotka. Beztalencie i kwintesencja głupoty” - dodała Viveca Blair, szefowa redakcji wiadomości. „Idź do domu, Galen, weź kąpiel, wypij kieliszek szampana i nie myśl o pracy ani o Rosalyn St. John przez cały weekend. W poniedziałek masz być wypoczęta i świeża, bo dzięki »Nowinom« będziemy mieć potężną widownię”.

Oczywiście. Łowcy sensacji zgromadzą się przed telewizorami jak gapie wokół rozbitego samochodu, ciekawi, czy rozmiary katastrofy odpowiadają sugestywnym opisom.

Galen nie do końca zastosowała się do rady Viveci. Praktycznie o niczym innym nie myślała, tylko o stacji. Uważała, że tak naprawdę powinni byli ją wezwać, aby zajęła się sprawą zakładników. Zdarzenie w Szpitalu Memorial to właśnie sprawa, z którą by sobie poradziła. Poważna. Śmiertelnie poważna. Niewymagająca więc od reportera polotu, dowcipu ani błyskotliwych komentarzy.

- Wcześniej byłam nieosiągalna.

- A teraz jest pani tutaj.

- Tak.

- I chce pani wiedzieć, czy jedną z zakładniczek jest Rebeka. Chciałam, myślałam, żebyś ty się dowiedział, że to może być ona. Ze

względu na nią. I na ciebie. Bo mnie to nie dotyczy. Wyjeżdżam z Nowego Jorku. Galen odczuła silną pokusę, aby z nim pierwszym podzielić się dobrą nowiną. Z tym inkwizytorem. Kimkolwiek był.

Nie nosił munduru ani garnituru, jak wyżsi rangą policjanci. Mógł być z FBI - zakładając, że ich przepisy dopuszczają noszenie czarnych podkoszulków, czarnych dżinsów i włosów do połowy

karku. Włosy też miał czarne. Oczy szare, usta zmysłowe i okrutne. Sprawiał wrażenie twardego: arystokratyczne rysy jak wykute w granicie, mocna szyja, harmonijnie rzeźbione ramiona, smukłe mięśnie przeżące się pod ubraniem. Przyglądał jej się ze zwodniczą nonszalancją drapieżnika, samca gotowego w każdej chwili zabić. Albo uwieść. Nie potrzebował broni. Jego dłonie i szare oczy stanowiły oręż wystarczający, by zniszczyć... lub wziąć w niewolę.

- Panie poruczniku? - odezwał się jeden z trzech mundurowych stojących w pobliżu. - Właśnie otrzymaliśmy numer telefonu ... eee... tej osoby, z którą chciał się pan skontaktować.

Galen doszła do wniosku, że kimkolwiek on był, przebywał tu z własnej woli, żeby powstrzymać szaleństwo, które wdarło się w tę zimową noc. Spojrzenie jego szarych oczu przesuwających się po jej postaci powiedziało jej więcej: ten elegancki wojownik chciał się jej za wszelką cenę pozbyć, jakby była równie obmierzła jak ów szaleniec. Jakby była wrogiem.

- Czego pani chce, pani Chandler? - padło twarde pytanie, choć zostało wypowiedziane uprzejmym tonem; coup de grace, akt łaski wojownika, który nagle zrozumiał, że śmiertelnie raniony przeciwnik nie stanowi już zagrożenia. Wypadało spełnić jego ostatnią prośbę.

Galen miała w głowie zamęt. Czego chce? Tylu niemożliwych rzeczy. Przez jedną krótką chwilę wydawało jej się, że szarooki mężczyzna jest czarodziejem, który mógłby dać jej wszystko, czego by zapragnęła albo o czym zamarzyła.

Lucas wpatrywał się w kruchą, śliczną istotę, całą utkaną z płomieni i turkusów. Urzekła go, po prostu urzekła... Kto zresztą mógłby się jej oprzeć...

Kiedy się odezwał, jego głos brzmiał rzeczowo.

- Czego pani oczekuje w zamian za powstrzymanie się od spekulacji w telewizji na temat tożsamości zakładniczek?

Galen nie chciała niczego w zamian za milczenie.

Nie mam żadnych życzeń. Żadnych marzeń, myślała. Niemniej udzieliła odpowiedzi, jakiej się spodziewał. Uderzyław najstarszy punkt, jak przystało na rasową dziennikarkę, którą nigdy się nie stanie.

- Chcę wyłączności na wywiad z panem, kiedy to się już skończy.

- Załatwione.

- Ale natychmiast. Jak tylko będzie po wszystkim?

Ten inkwizytor, taki surowy i poważny, był jednak zdolny do uśmiechu. Był to, oczywiście, uśmiech wojownika - gorzki i ponury.

- Nie ufa mi pani, Galen?

- Nie bardziej niż pan mnie. Przelotny uśmiech zniknął.

- Zgoda. Wyłączność na wywiad, jak tylko będzie po wszystkim. A teraz, jeśli pani pozwoli...

Galen czuła jego zniecierpliwienie i pogardę. Miała ochotę wybiec w lodowatą noc i wrzasnąć przeraźliwie: „Chwileczkę! Już znikam! Na zawsze!”. Ale ani nie uciekła, ani nie zaczęła krzyżeć.

- Chyba go widziałam - powiedziała. - Tego człowieka, który przetrzymuje Reбекę i inne dziewczęta. Minęliśmy się w windzie. To musiał być on. Był ubrany odpowiednio do miejsca, a jednak coś z nim było nie tak.

- Wiemy, kim on jest.

- Aha... - wymamrotała.

Oczywiście, że wiedzieli, bo jak inaczej zlokalizowaliby osobę czekającą na jego telefon? Ale z niej idiotka. Rosalyn St. John miała absolutną rację. Galen skierowała się do wyjścia, a właściwie rzuciła do ucieczki, by jak najszybciej zrobić to, czego wyraźnie nie mógł się już doczekać - zniknąć mu z oczu.

- Pamięta pani, co miał na sobie?

Zadał to pytanie cicho, łagodnie, jakby mimo wszystko byli współnikami, a nie zawodnikami rywalizujących drużyn. W końcu jej obecne milczenie to quid pro quo w zamian za jego przyszłe zwierzenia.

- Stetoskop.

W stalowych oczach błysnęła iskierka rozbawienia, daleki odbłask czającej się zmysłowości.

- Miał na sobie coś jeszcze?

- Słucham? A tak. Elegancką koszulę, spodnie khaki i błyszczące skórzane buty. Wyglądał jak ktoś z Ivy League. Typowy yuppie.

- Nie miał białego fartucha?

- Nie, nie miał fartucha. Tak jakby na chwilę wyszedł z gabinetu.

- Trzymał coś w rękach?

- Nic.

- W kieszeniach?

Jej własne ręce w mitenkach tonęły w przepastnych kieszeniach turkusowego płaszcza, zaciśnięte w pięści. Teraz, kiedy zamknęła oczy i próbowała przypomnieć sobie, co widziała, jedna dłoń pojawiła się na powierzchni i powędrowała w okolice serca.



- Miał paczkę papierosów... Tutaj.

Dopiero teraz Lucas spostrzegł niezwykle haft na turkusie rękawiczki: bożonarodzeniową choinkę w kolorze fuksji, zwieńczoną wielką fioletową gwiazdą i otoczoną srebrnymi girlandami.

- A w kieszeniach spodni?

Galen, nie otwierając oczu, przesunęła rękę w dół.

- Miał coś tutaj. - Choinka z gwiazdą wskazała na lewą kieszeń płaszcza ze sztucznego moheru. - Coś wielkości pięści. Jakby duże jajko. Nie, raczej jak szyszka.

Anthony Royce nie kłamał, kiedy mówił o granacie, pomyślał porucznik Hunter i dostrzegł, jak błękitne oczy rozwierają się szeroko, pełne zrozumienia i przerażenia.

- A w kieszeni po prawej stronie? - zapytał spokojnie.

- Jeszcze dwie paczki papierosów-mruknęła Galen, przenosząc wzrok z jego oczu na leżące koło telefonu papierosy. Były trzy paczki, jedna częściowo wypalona. Palił nawet wtedy, kiedy zadawał jej pytania.

- Coś jeszcze? Na przykład AK kaliber 47?

- Nie. Nie.

Lucas uśmiechnął się.

- A więc podsumujmy: mamy tu starannie wykształconego yuppie, uzbrojonego w trzy paczki papierosów i szyszkę. - A kontynuując podsumowanie, pomyślał: Mam też parę pięknych, niebieskich, przerażonych oczu. Poczłł nieodparte pragnienie, by wlać w nie odrobinę otuchy. - To bułka z masłem. Zda się, że wkrótce znów się zobaczymy.

## 2

Naprawdę jestem pod wrażeniem. Galen usłyszała te słowa po wyjściu z jasnego wnętrza przyczepy w panujące na zewnątrz ciemności. Ciepłe słowa w chłodzie nocy. Wypowiedział je znajomy głos.

Adam Vaughn był pierwszym prezydentem wiadomości w KCOR. Miał telewizyjną osobowość i harwardzki intelekt. Przy nim ona, wieczór za wieczorem, nie była zdolna wykrzesać z siebie nawet iskierki. Z własnej winy, nie jego. Adam był bardzo sympatyczny i tak popularny, że mimo jej niekompetencji zostali wierni programowi.

- Cześć, Adam - odparła. - Pod wrażeniem?

- Pod dużym wrażeniem. Każdy dziennikarz w tym mieście, nie wyłączając mnie, dałby dziesięć lat życia, żeby tam wejść. Muszę przyznać, że kiedy Paul - Adam wskazał mężczyznę stojącego obok - powiedział mi, dokąd się wybierasz, nie wierzyłem własnym uszom. Ale to chyba nie złudzenie optyczne? Naprawdę tu jesteś i wychodzisz z jaskini lwa. Jak ci się to, u licha, udało?

- Przyszła mi do głowy pewna myśl i uznałam, że powinnam porozmawiać z kimś, kto się tą sprawą zajmuje.

- A wielki porucznik zainteresował się tą myślą?

- Wielki porucznik?

- Zakładam, że rozmawiałaś z Lucasem Hunterem.

- Z Lucasem Hunterem? To on już wrócił z Australii?

- Właśnie przyjechał tu prosto z lotniska.

- Więc w Queensland już po wszystkim?

- Owszem. Żle się to skończyło dla przywódców sekty, szczęśliwie zaś dla całej reszty. Jeszcze zanim rozwiął się kurz, a nieźle się kurzyło, Lucas był już w drodze do Nowego Jorku. Wygląda na to, że nie zastosowałaś się do rady Viveci, bo zamiast miło spędzać weekend i oderwać się od pracy... przyszłaś, żeby wziąć odwet.

„Wziąć odwet”. To pasowałoby raczej do Lucasa Huntera, a nie do niej. Lucas Hunter. Ta sama Rosalyn St. John, która od trzech tygodni pastwiła się nad niekompetentną nową prezenterką wiadomości, jednocześnie piała z zachwytem nad „wspaniałym, fantastycznym” porucznikiem z wydziału zabójstw. Rozwodziła się nad jego rozlicznymi talentami, z których korzystał zarówno na użytek prywatny, ku zadowoleniu swoich licznych kochanek, jak i dla dobra ogólnego.

Porucznik Hunter posiadał „nieprzeciętną znajomość przestępczej umy-słowości”. Dzięki temu, wyjaśniała Rosalyn St. John, skutecznie przyczyniał się do chwymania morderców oraz prowadził negocjacje z porywaczami.

Był człowiekiem majątnym, dysponował fortuną, która nie topniała, mimo że właściciel rozdawał ją hojnie na bliskie sercu cele, na swoją „prywatną wojnę” o prawa ofiar. Elegancki łowca nie pobierał wynagrodzenia z policji ani od licznych agencji krajowych i zagranicznych, którym pomagał w tropieniu zwierzyny.

Ostatnio drapieżna zwierzyna wdarła się niemal do domu myśliwego. Na Manhattan. A co więcej, na swoje ofiary nożownik wybrał trzy najpiękniejsze i najświetniejsze kobiety z Manhattanu. Przyjaciółki Lucasa. O intymnym związku, łączącym piękne ofiary z seksownym porucznikiem, poinformował sam zabójca w liście wysłanym do Rosalyn St. John już po tym, jak znaleziono

zmasakrowane zwłoki drugiej kobiety. Morderca pisał: „Kobiety Lucasa - jego kochanki - umierają. I będą nadal umierać, dopóki on nie wróci i nie włączy się do gry”.

List nie dostarczył policji żadnych wskazówek. Współcześni przestępcy na ogół wiedzą wystarczająco dużo o odciskach palców, kodzie DNA i tym podobnych rzeczach. Słowa ułożono z liter wyciętych z bożonarodzeniowego numeru „Playboya”.

Rosalyn nazwała mordercę „zabójcą kobiet z Manhattanu” i powiadomiła o wszystkim przebywającego w Australii Lucasa. Została też sprzymierzeńcem policji w akcji ostrzegania kobiet na Manhattanie, bez względu na to, czy znały porucznika Huntera, czy też nie.

Akcja nie przyniosła pożądanych rezultatów. Wkrótce brutalnie zamordowano we własnym domu trzecią kobietę. W drugim liście morderca pytał figlarnie: „Która będzie następna, poruczniku? Jeśli chcesz się dowiedzieć, zostań tam, gdzie jesteś”.

Jednakże - tłumaczyła Rosalyn mordercy i zaniepokojonym mieszkańcom Manhattanu - Lucas Hunter nie miał wyboru: nie mógł opuścić Queensland, gdzie życie osiemdziesięciu osób, głównie dzieci, wisało na włosku.

Teraz jednak, dzięki porucznikowi, zakładnicy byli już bezpieczni i wolni. A łowca powrócił, by wziąć odwet.

- Znasz go, Adamie? - zapytała Galen.

- Tak, spotykamy się od czasu do czasu na gruncie towarzyskim, ale nigdy na zawodowym. Lucas z zasady nie rozmawia z przedstawicielami mediów. Twój pomysł musiał uznać za bardzo interesujący.

Galen wzruszyła ramionami.

- Nie wiem, po prostu przyszło mi coś do głowy. Zgodził się na wywiad, kiedy już będzie po wszystkim.

- Powtarzam, Galen, jestem pod wrażeniem. Chyba nic tu po mnie. -Adam uśmiechnął się. - Idę do domu.

- Co? Nie! To znaczy... Viveca wie, że tu jesteś?

- Tak, wie. Formalnie to Marty dyżuruje w ten weekend i już tu jest ze swoją ekipą. Ale to sprawa tak dużego formatu, że dobrze mieć dwie ekipy. Viveca nie dzwoniła do ciebie, bo uzgodniliśmy, że masz ten weekend wolny. Ale teraz to już twój temat. W pełni na to zapracowałaś. Trzeba jej przekazać wspaniałe wieści. Ty dzwonicz czyja?

Telefon komórkowy Galen spoczywał w prawej kieszeni jej płaszcza, ale nie sięgnęła po niego.

- Ty - powiedziała. - Ty jej powiedz.

- Z przyjemnością. - Adam wyjął swój telefon i wystukał kod automatycznie łączący z apartamentem na Park Avenue, zajmowanym przez szefową wiadomości stacji KCOR, Vivece Blair. - Cześć, Viv. Tu Adam. Jest ze mną Galen. Zgadnij, co się stało. Lucas Hunter obiecał jej wywiad, kiedy będzie już po wszystkim. Dziennikarska bomba, nie uważasz? Tak. Oczywiście. No, to ja spadam. Idę do domu. Marty ze swoimi ludźmi czeka przy frontowym wejściu, a Galen z Pauliem obstawiają tyły. Tylko mnie uda się uciec z tego zimna...

- Viveca wolałaby, żebyś to ty przeprowadził wywiad - stwierdziła Galen, kiedy już wyłączył telefon.

- Ależ skąd. Sugerowała tylko, żebym już po wszystkim zajął się dodatkowymi tematami, wiesz, rozmowy z rodzinami, konferencja prasowa i tak dalej - podczas gdy ty będziesz przeprowadzać wywiad z Hunterem.

- Myślisz, że on nie przyjdzie na konferencję prasową?

- Zero szans, niezależnie od tego, jak się wszystko skończy. Jeśli dziewczynki przeżyją, przyjdzie komisarz policji, jeśli nie - to jakaś niezidentyfikowana osoba. Ale nikt nie dowie się niczego od Lucasa Huntera. Chyba że za twoim pośrednictwem. A ponieważ nie możesz być w dwóch miejscach naraz, wrócę tu z Wallym. Na wszelki wypadek. Waszym zadaniem, twoim i Paula, jest uważać, żeby nasz porucznik nie ulotnił się za szybko, dobrze?

- Dobrze - zgodziła się Galen, chociaż wolałaby czuwać w towarzystwie Wally'ego, a nie Paula.

Kamerzysta Paul bez wątpienia był tego samego zdania. Od początku uważał, że Galen poniesie klęskę w KCOR i, podobnie jak Rosalyn St. John, nie widział powodu, by kryć swą pogardę. „To nie jest telenowela, Galen -drwił podczas pierwszego dnia ich współpracy przy wiadomościach. - Dajemy ludziom fakty, cytaty i streszczenia. Krótkie i mocne. Pojmujesz?”.

Tak. Ale jak zawrzeć czyjeś życie w kilku zdaniach? Galen nie umiała sobie z tym poradzić. Paul natomiast potrafił i czasem jej udowadniał, jakie to proste. Tak właśnie, oszczędnie i przejrzyście, zaprezentował historię stacji KCOR, historię Adama, Viveci, Nancy, Marianny i Johna.

Z całej tej piątki tylko John startował od zera. Kiedy jednak postanowił włączyć do swego medialnego imperium bankrutującą stację telewizyjną na Manhattanie, był już finansowym potentatem. Chyląca się ku upadkowi rozgłośnia stanowiła ten rodzaj wyzwania, jakie John McLain podejmował najchętniej, a że był przy tym urodzonym organizatorem, szybko zebrał doborową kadrę.

Na prezentera wiadomości wybrał Adama Vaughna, znanego korespondenta wojennego, który już wtedy mógł dostać każdą pracę, o jakiej zamarzył. Ale on też chętnie podejmował wyzwania, lubił ryzyko i lubił Manhattan. Więc powiedział „tak”.

Szefową redakcji wiadomości została Viveca Blair, zatrudniona wówczas w należącej do Johna stacji w Dallas. Kiedy jednak zaproponował jej przeprowadzkę do Nowego Jorku, zgodziła się bez wahania. To ona wymyśliła nazwę KCOR. Oficjalnie stacja Johna nazywała się WKCR, ale wkrótce

„W” stało się nieme, a „KCR” przybrało postać KCOR. Była to znakomita nazwa<sup>1</sup> dla telewizji, która miała stanowić samo serce Wielkiego Jabłka, ośrodek Manhattanu.

Adam jako prezenter wydobyl KCOR z niebytu i uczynił z niej kanał numer jeden. Wspólnie z Vivecą odkrył uroczą Mariannę, rodzimą Grace Kelly, spośród setek ofert, jakie napływały, kiedy świetnie już prosperująca rozgłośnia ogłosiła, że poszukuje prezenterki.

Marianna zdążyła już podbić serca widzów, gdy John zapałał do niej gorącym uczuciem. Zostało ono odwzajemnione. W dniu ich ślubu w różanym ogrodzie w pobliskim Chatsworth Adam poznał siostrę Marianny, Nancy. Pół roku później oni również stanęli na ślubnym kobiercu.

Paul snuł opowieść o powstaniu i rozwoju KCOR, o ludziach znajomych i nieznanym, o obu siostrach i o miłości. Nie opowiedział jednak - nie musiał - ostatniego rozdziału tej historii, noszącego datę czternastego grudnia. Tego dnia Marianna McLain zmarła na raka.

Marianna. Uwielbiana, odważna, wytworna i nieodżałowana. Prawdziwa dama, którą miała zastąpić Galen.

Podczas gdy Paul zwięźle, lecz ze swadą opowiadał o stacji, Galen zastanawiała się, czy on przypadkiem nie chciał zająć miejsca po Mariannie. Był zdolny i przystojny. Lecz bez pasji, stwierdziła w końcu. Zawsze wybrałby fotografię, sztukę światła i cienia. Pracę kamerzysty w KCOR, podobnie jak wykonywanie dla nowojorskiej policji zdjęć z miejsc zbrodni, czym zajmował się przedtem, traktował tylko jak sposób zarabiania na życie.

- Prawdopodobnie żał mu Ciebie. - Z ust Paula wydobyl się biały obłoczek oddechu i rozplynął w nocnym powietrzu.

- Tak - przyznała Galen, patrząc za znikającym w ciemnościach Adamem. - Na pewno.

- Miałem na myśli Lucasa Huntera. Cóż innego skłoniłoby go do spotkania z tobą?

Ale przecież, pomyślała, on nic o mnie nie wie. Przez te trzy tygodnie, które przepracowała w KCOR, porucznik przebywał za granicą. Co prawda, Rosalyn St. John mogła podzielić się z nim różnymi nowinami. Napisać na przykład w e-mailu wysłanym do Australii, że na Manhattanie nie wszystko jest tak ponure, że można trochę się pośmiać, choćby z nowej spikerki w KCOR. Jest po prostu komiczna. A raczej tak żalosna, że aż śmieszna. Szkoda, że nasz zabójca jej nie złożył wizyty.

- Nie jesteś w jego typie - ciągnął Paul. - Nasz wspomniały, rozwiązyły porucznik to koneser. Wystarczy spojrzeć na te kobiety, które zginęły.

To prawda. Szczera prawda. Lucas Hunter zgodził się z nią porozmawiać z litości. Z uprzejmości? Jego zgoda to jałmużna rzucona szczerą ręką przez obrońcę praw ofiar. Tylko że ta ofiara - źle ubrana, skazana na porażkę - była ofiarą fałszywą, bo nikogo nie mogła obwiniać za swoje niepowodzenia oprócz samej siebie.

---

<sup>1</sup> Gra słów. Ang. core - dosł. „owocnia”, „środek owocu”; przen. - „serce”, „dusza” (przyp. red.).

- Zapowiada się miła noc - powiedziała.

- Rzeczywiście. - Paul udawał, że nie dostrzega ironii. - Gdy ty będziesz pilnowała naszego ogiera, ja uszczęśliwię jakąś kobietę.

- Ale...

- Nic się nie martw, będę niedaleko. Zadzwoń na mój pager, jeśli wydarzy się coś ciekawego.

- Ciekawego?

- No, jeśli na przykład te dziewczynki zaczną wypadać z okien na szóstym piętrze. Chociaż... Lepiej nie dzwoń. Tak czy inaczej, wykorzystamy materiał z sieci. To tylko zakładnicy, Galen. Nic dramatycznego, a w każdym razie nic filmowego raczej się nie zdarzy.

Chyba że ten szaleniec postanowi wysadzić się w powietrze, pomyślała. Ale tego nie zrobi. Porucznik Lucas mu na to nie pozwoli.

- Zadzwoń, Galen. Przylecę jak na skrzydłach. Za nic na świecie nie chciałbym, żeby ominął mnie twój wywiad z Lucasem Hunterem.

### 3

-Nie! - To był pełen przerażenia głos Elisabeth Royce, żony faceta z Wall Street, któremu odbiło. - Nie będę z nim rozmawiać. Nie mogę. Czy pan nie rozumie?

Lucas oczywiście rozumiał. Oczywiście. Ale...

- Tylko przez telefon, pani Royce. O nic więcej nie proszę.

- A w ogóle, jak mnie pan odnalazł?

Nie było to proste. Elisabeth Royce znalazła schronienie w opiekuńczych ramionach kobiet zdecydowanych na wszystko, by chronić swe siostry, matki i córki... Jest to znacznie bardziej niedostępne miejsce niż kryjówki, jakie zapewniałyby im bezдушna biurokracja. Lucas zatelefonował do kilku znajomych kobiet, które ufały człowiekowi z takim poświęceniem broniącemu praw ofiar.

- To było absolutnie konieczne. Nie powiemy mu, gdzie pani przebywa. Nigdy się tego nie dowie. Musi pani tylko zapewnić go przez telefon, że pozwoli mu zobaczyć się z córką.

- Mam pozwolić mu spotkać się z Sarah? Nigdy, panie poruczniku, nigdy! Już raz omal jej nie zabił. Zniszczył jej duszę, jej psychikę. Ona jest teraz taka zagubiona i przerażona.

- Tak samo jak te dziewczynki przetrzymywane w szpitalu.

- To nie fair!

- Nic tutaj nie jest fair, pani Royce.

Nie wyłączając tego, co on sam robił teraz tej kobiecie. Elisabeth Royce nie wymawiała nawet imienia męża, jakby nie chciała uznać go za osobę ludzką. Lucas także nie mówił o nim jako o Anthonym. Ale do niej zwracał się per pani Royce i nazwisko to wracało w rozmowie jak refren, jak okrutne, lecz konieczne przypomnienie tej jedynej w swoim rodzaju więzi łączącej ją z tym człowiekiem.

- Mówi pani, że omal nie zabił córki?

- Tak, mojej kochanej Sarah. Ona ma dopiero pięć lat, panie poruczniku. To malutkie dziecko.

- Proszę mi opowiedzieć, co jej zrobił.

- To było tuż przed Bożym Narodzeniem - zaczęła Elisabeth z ulgą, kiedy porucznik pozna prawdę, zrozumie, że ona nie może spełnić jego prośby. - Musiałam zrobić jeszcze zakupy. „Zajmę się nią”, powiedział. „Nie ma problemu”. Ale był problem. Sarah spadła ze schodów, tak twierdził, bo potknęła się o tenisówkę, która wypadła z kosza na bieliznę, który zanosiłam na górę. Została przewieziona do Szpitala Memoriał i dwa dni leżała na oddziale intensywnej opieki medycznej, zanim przeniesiono ją na oddział szósty. Miała połamane kości i złamaną psychikę. Nie rozumiałam dlaczego. Potem odkryłam w jego gabinecie arkusze kalkulacyjne, całe pokryte złotymi gwiazdkami i ogromnymi choinkami.

- Rysunkami Sarah?

- Tak. Ona tak cieszyła się na święta. Jak zobaczył te rysunki, to się wściekł. Wie pan, on jest maklerem giełdowym i miał za sobą ciężki tydzień. Wahania na rynkach azjatyckich siały tu straszne spustoszenie. Powinna była wiedzieć, że to zły pomysł zostawiać z nim Sarah. Przy gwałtownych zmianach na rynku on sam staje się bardzo zmienny.

- I gwałtowny?

- Tak, czasami. Wobec mnie. Tylko wobec mnie, przynajmniej do tej pory.

- Czy lekarze podejrzewali przemoc?

- Nie wiem. Może jej stan dał im do myślenia. Lecz jego wersja wydarzeń była wiarygodna, a on wydawał się taki przejęty.

- Ale pani nie ma żadnych wątpliwości.

- Panie poruczniku, on się przede mną przyznał. Ale nawet wtedy, obwiniął ją i mnie. To ja miałam upuścić tę tenisówkę, nie pierwszy zresztą raz, i to ja nauczyłam Sarah rysować, gdzie popadnie.

- Co za człowiek. Więc wyrzuciła go pani.

- Próbowałam. Spowodowałam nawet, że dostał zakaz zbliżania się do nas.

- Ale go zlekceważył?

- Oczywiście! Płakał i wściekał się. Straszyl biedne dziecko. Więc postanowiłam, że wyjedziemy. Że znikniemy. Aż do dziś wierzyłam, że nam się to udało, że nikt nas nie znajdzie.

- Bo to prawda. On was nie znajdzie. Obiecuję pani, pani Royce, że on już nigdy nie zobaczy ani pani, ani Sarah. Ale teraz musi uwierzyć, że będzie inaczej.

- Chce pan, żebym go okłamała.

- Tak. Proszę.

- Jeśli panu pomogę, on mnie zabije.

- On spędzi resztę życia w więzieniu.

- Pieniądze mają wielką siłę, panie poruczniku. Dobrze pan o tym wie. A on ma mnóstwo pieniędzy. W więzieniu spotka różnych ludzi, także z morderców, którzy bez wahania zabiją jeszcze raz, za odpowiednią zapłatą. Nie dbałabym o to, gdyby chodziło tylko o mnie. Zanim Sarah przyszła na świat, często miałam ochotę umrzeć. Ale teraz kto kochałby moje dziecko? Sąd? Państwo? Pan?

Nie. Nie ja. Ja nikogo nie kocham.

- Proszę mi tego nie robić, panie poruczniku. Proszę.

Lucas skrzywił się. Manipulował tą kobietą tak jak jej mąż. Negocjacje z normalnymi ludźmi wydawały mu się zawsze znacznie trudniejsze niż z psychopatami. Miał skrupuły, że manipuluje niewinnymi, przestrzegającymi zasad istotami, które nie kłamią. Właśnie zmuszał panią Royce do kłamstwa. Ale sam nie mógł jej okłamywać.

- Pani mąż nigdy nie wyjdzie z więzienia. Obiecuję. Zrobię wszystko, co w mojej mocy, żeby zapewnić wam bezpieczeństwo.

- Niech więc pan go okłamie. To jedyny sposób, żeby zapewnić nam bezpieczeństwo. Nasza jedyna szansa. Niech mu pan powie, że mimo prób nie udało się panu nas odnaleźć. Przykro mi, ale nie mogę panu pomóc. Przepraszam.

Jej głos, nabrzmiały poczuciem winy, drżał, jakby czuła się odpowiedzialna za potwora, którego poślubiła, jakby jego zło ją także zbrukało.

Poczucie winy za kogoś. Lucas znał tę udrękę.



W słuchawce rozległ się sygnał. Koniec nadziei na szybkie i proste uwolnienie zakładniczek. W tej samej chwili zadzwonił jedyny telefon, który nie został wyciszony. Aparat stał w zasięgu ręki, ale Lucas podniósł słuchawkę dopiero po piątym sygnale.

- Jak się czujesz, Tony?

- Anthony! Jak sądzisz, Lucas, jak mogę się czuć, czekając na twój telefon? Lecz ty nie dzwonisz, co? Więc ja dzwonię. Znalazłeś ją? Znalazłeś tę dziwkę?

- Umówiliśmy się chyba, że będziesz się liczył ze słowami.

- To ty się umówiłeś. Ale dobra, nie ma sprawy. Ze mną jak z dzieckiem. A więc, poruczniku, znalazłeś moją drogą małżonkę?

- Nie i na razie się na to nie zanoszą.

- Lepiej, żeby się zanosilo. Wiesz, co się stanie, jeśli jej nie odnajdziesz. A może chciałbyś, żebym to jeszcze raz wyraźnie powtórzył tym dzieciakom?

Cały słownik wulgaryzmów okazałby się zbiorem banalnych określeń w porównaniu z werbalnymi groźbami Anthony'ego Royce'a, że „wysadzi je wszystkie w cholerę”.

- Nie trzeba, pamiętam. Lecz to ty musisz mi powiedzieć, jak ją znaleźć. Próbowałem wszystkimi policyjnymi kanałami i nic. Zniknęła. Logika podpowiada, że powinniśmy zaapelować do niej publicznie, żeby wyszła z ukrycia. Każda stacja telewizyjna chętnie taki apel nada. Ale ty nie chcesz, żeby środki przekazu poznały twoje nazwisko?

- Zgadza się. Nie chcę. Wśród moich klientów są ludzie ze świata finansjery. To jest prywatna sprawa między mną a moją drogą małżonką. Poza tym, Elisabeth raczej nie ujawni się po takim apelu. Musisz ją znaleźć. I to szybko. Jestem na granicy obłądu.

- Możesz przecież wyjść.

- Jasne.

- A gdybyś wypuścił kilka dziewcząt...

- Mam tak po prostu otworzyć drzwi brygadzie antyterrorystycznej czekającej po drugiej stronie? O to ci chodzi? Nie sądzę, żeby to był dobry pomysł. Jeśli ktoś na zewnątrz spróbuje jakichś sztuczek, wyciągnę zawleczkę i wszyscy polecimy do nieba. Wszyscy. Łącznie - i to jest najlepsza część zabawy - z tymi cholernymi lalkami.

- Jakimi lalkami?

- Tymi zasranymi kukłami - wybac moją łacinę - Barbie. Wyobraź sobie, że każdy z tych skamlących szczeniaków ściska lalkę, jakby te plastikowe dziwki mogły je przed czymś ochronić. - Anthony

Royce mówił, a właściwie wykrzykiwał, do swoich więźniarek. - Nie ochronią was, rozumiecie? Nic wam już nie pomoże.

- Spokojnie, Anthony - rzucił Lucas, pisząc jednocześnie polecenie dla oficera: „Dowiedzieć się o lalki Barbie”. - Chyba jesteś trochę zdenerwowany.

- Trochę zdenerwowany? Czy to z dowcipu o policjantach? Oczywiście, że jestem zdenerwowany.

- Za dużo papierosów.

- Jedna paczka. Liczę, Lucas. Ty chyba też.

- Każdy dymek.

- Rzuciłem palenie, wiesz? To pewnie dlatego teraz tak silnie reaguję na papierosy. Rzuciłem to świństwo. Dla niej. Dla nich. Dla mojej rodziny.

- Dużo dla nich zrobiłeś, prawda?

- Wszystko! A co dostałem w zamian? Zdradę. Ona ma kogoś. Wiem, że ma. O to właśnie tu chodzi. O innego faceta. Wiesz, Lucas, co chciałbym zrobić z moim granatem?

- Mogę sobie wyobrazić.

- Wątpię, czy możesz.

Lucas zaciągnął się głęboko dymem dwudziestego trzeciego papierosa wypalanego od godziny jedenastej czterdzieści pięć.

- Oczywiście, że mogę. Niech zgadnę. To ma coś wspólnego z anatomią twojej żony.

Po obu stronach zaległa cisza. Zamilkł człowiek sześć pięter wyżej, zamarły wszelkie odgłosy w przyczepie, trzech inni przebywający w niej policjanci wstrzymali oddech. Oni znali tę jego słynną metodę rozmawiania z psychopatami, jakby był jednym z nich, jakby rozumiał i podzielał ich żądzę mordy. Była to technika, której nie sposób pojąć ani opanować. Jaki zdrowy na umyśle człowiek mógłby wyobrazić sobie i sugerować popełnienie tak barbarzyńskiego czynu, ryzykując, że dolewa oliwy do ognia?

Nikt normalny. Z wyjątkiem Lucasa Huntera. Wojownika. Buntownika. Uwodziciela najpiękniejszych kobiet i zwodziciela... psychopatów. Miał zdumiewające osiągnięcia na polu zwodzenia - i pokonywania - przestępców. Policjanci czuli się często zakłopotani jego metodami pracy, ale każdy bez namysłu wybrałby spośród całej armii psychologów właśnie Lucasa, gdyby komuś z bliskich groziło niebezpieczeństwo. W martwej ciszy, spodziewając się najgorszego, oczekiwali teraz na dialog dwóch szaleńców.

Makler też wydawał się zaszokowany wizją granatu umieszczonego w tak precyzyjnie określonym miejscu.

- Szczerze mówiąc, myślałem o czymś bardziej... cywilizowanym.

- Na przykład o podłożeniu w samochodzie? Albo pod łóżkiem jej kochanka?

- Tak - szepnął Anthony z ulgą. - Coś w tym rodzaju.

Ta ulga i szept go zdradziły. Pan Royce to domowy tyran, nie psychopata. Zmuszony do odkrycia kart, nie był w stanie stawić czoła Lucasowi Hunterowi na polu obłąkańczych fantazji. Pospolity dręczyciel, któremu brakowało zarówno wytrzymałości, jak i perwersji znamionującej prawdziwą psychozę. Co nie znaczyło, że ten zuch z Wall Street nie jest niebezpieczny. Był uzbrojony, wściekły, sfrustrowany i za dużo palił.

- Znasz sytuację Gemstone?

- Słucham?

- Proszę o fachową opinię. Jakie będą, twoim zdaniem, poniedziałkowe notowania Gemstone Pictures? Rozumiem, że akcje są po osiemnaście? Myślisz, że to wysoka cena?

- Nie - odparł Anthony spokojnym, pewnym siebie głosem sprawnego maklera. - Według mnie cena akcji podwoi się w ciągu kilku godzin.

- Lucas też tak sądził. I na to liczył.

Dialog szaleńców zmienił się w dyskusję o prawach rynku. Omawiali notowania i wskaźniki. Lucas chciał wiedzieć, czy ceny pójdą w górę mimo utrzymującej się tendencji spadkowej.

Napięcie w przyczepie też trochę opadło, atmosfera stała się lżejsza. Powiało optymizmem. Wszystko będzie dobrze, doszli do wniosku policjanci. Lucas wygra, choć trochę to potrwa. Oficer, któremu Lucas przekazał notatkę o lalkach, wysłał e-mail na oddział szósty. Teraz przełożona pielęgniarek przygotowywała odpowiedź. Wszyscy odetchnęli z ulgą.

I właśnie wtedy krew w żyłach Lucasa zakrzepła z wściekłości. Nie miało to nic wspólnego z podekscytowanym głosem pospolitego domowego awanturnika, który zrobił nieodwracalny krok w świat przestępstwa. Ta zimna wściekłość była emanacją zła pozbawionego sumienia, nie dbającego o nic, szykującego się do skoku.

Lucas, na pozór machinalnie, zerknął na zegarek. Obserwatorom mogło się wydawać, że z ciekawości sprawdza, czy czas od chwili rozpoczęcia incydentu do jego pokojowego zakończenia będzie rekordowo krótki.

Trzecia trzynaście. Zabójca kobiet z Manhattanu ruszył do ataku. Wkrótce znowu zamorduje, a Lucas nic nie może na to poradzić. Może tylko czuć niezaspokojony głód i nienasyconą żądzę mordu. Poczucie zła wypełniło go, zalało i zmroziło. Przyzwalał na nie. Musiał go doświadczać tak długo, jak wytrzyma. Nie dba o to, że jego serce zamieniało się w bryłę lodu.

Nie trwało to długo, choć dla Lucasa oznaczało całą wieczność wypełnioną bólem i wściekłością. Wreszcie fala zimnej wrogości zaczęła powoli odpływać. Odzyskał zdolność ruchu. Nagły, nieokreślony impuls popchnął go do okna. Nie mógł zapanować nad potrzebą spojrzenia w ciemną pustkę zimowej nocy i nad pragnieniem, by się w nią wtopić.

Ale nocna ciemność nie była pusta. Była odzianą w turkusowy płaszcz i mitenki nieruchomą postać. Tylko płomienne włosy bezlitośnie targał porywisty wiatr. Stała tam przez cały czas? Sama wśród zimnej nocy. Uma, choć zaczynała już chyba zamarzać.

Pełna wiary czekała w lodowatym wietrze, aż on wywiąże się z obietnicy, która była kłamstwem.

Zaklął cicho. Ten nienazwany impuls, który skierował go do okna, zdawał się popychać go dalej, poza gęstą, zimną ciemność nocy - do światła i ciepła, do niej. Ale coś mroczniejszego, zimniejszego i gorzkiego zastąpiło mu drogę. Prawda.

Odejdź, turkusowy elfie. Odejdź.

## 4

Anthony Royce od prawie dwóch godzin nieprzerwanie palił i mówił. Podniecony nikotyną, wygłaszał monolog, wyliczając wszystkie swoje dotychczasowe sukcesy inwestycyjne i planując następne.

Policjanci w przyczepie odczuwali już zmęczenie tą nadętą tyradą. Zmęczenie i zniecierpliwienie. Ale Lucas przysłuchiwał się uważnie. Wiedział, że wkrótce nastąpi przesilenie i Anthony powróci do rzeczywistości. Chciał być dobrze przygotowany na tę chwilę.

Przesilenie nastąpiło nagle, tuż przed świtem.

- Lucas? - Głos, dotąd tak pewny siebie i chętny, wyrażał teraz panikę i zwątpienie.

Porucznik czuł, co się dzieje ze zdesperowanym Anthonym. Znał jego myśli. Szpitalny pokój pełen zapłakanych dzieci i lalek Barbie to nie miejsce dla specja od finansów. Powinien znajdować się na Wall Street, dokonywać wielomilionowych operacji.

- Jestem tu, Anthony. Go mogę dla ciebie zrobić?

- Wydostań mnie stąd.

- To proste. Otwórz drzwi.

- Mam dać się aresztować? Ani myślę.

- To jedyny sposób.

Policjanci w przyczepie wydali bezgłośny jęk, słysząc odpowiedź negocjatora. Dlaczego Lucas, tak często łamiący wszelkie zasady, akurat teraz postanowił trzymać się prawdy? To oczywiste, że okłamuje się przestępców, zwłaszcza jeśli biorą zakładników. Składa się im obietnice, których nikt nie ma zamiaru dotrzymać. Ale z sobie tylko znanych powodów porucznik wybrał szczerłość.

- Zapomniałeś o granacie? - Anthony, znów arogancki i pewny siebie, zadał pytanie, które cisnęło się na usta policjantom.

- Nie, nie zapomniałem. No, mój dyżur dobiega końca. Prawdę mówiąc - porucznik w końcu skłamał - mój zmiennik już tu jest. Czuję się zmęczony i chcę iść do domu. Zaraz przekażę mu słuchawkę.

- Nie, Lucas. - W głosie maklera znowu zabrzmiała panika. - Musisz doprowadzić to do końca.

- Wcale nie muszę.

- Więc nie obchodzi cię, co się stanie? - Człowiek, którego wcześniej drażnił płacz przerażonych dzieci, sam był bliski łez. - Chcesz powiedzieć, że nie obchodzi cię, co zrobię z granatem?

- Mówię tylko, że to ty dokonujesz wyboru. A o twojej decyzji dowiem się z wieczornych wiadomości. Idę do domu, Anthony. Do łóżka. To była długa noc.

- Zaczekaj. Musisz mnie stąd wydostać.

- Więc otwórz drzwi.

Policjanci znieruchomieli w czujnym oczekiwaniu. Człowiek, który więził ośmioro dzieci, sam wpadł w sidła zastawione przez Lucasa. Jego życie zależało od porucznika. Tak sądził Lucas Hunter. Czy się jednak nie mylił? Może następnym dźwiękiem będzie huk eksplodującego granatu?

Ale ciszy nie zmaćił żaden wybuch, tylko głos poniżonego klęską przestępcy.

- Powiesz im, żeby do mnie nie strzelali?

- Jasne, że powiem.

Dziesięć minut później zebrani na dole dziennikarze zostali poinformowani o bezkrwawym zakończeniu szpitalnego incydentu. Żadnej z dziewczynek nic się nie stało. Człowiek, który je przetrzymywał, jest właśnie prowadzony podziemnym tunelem do policyjnej furgonetki. Jego nazwisko zostanie podane do wiadomości publicznej po przygotowaniu formalnego oskarżenia. Konferencja prasowa z udziałem komisarza policji i burmistrza rozpocznie się, jak tylko pierwsze promienie zimowego słońca ozłocą wznoszące się nad miastem drapacze chmur.

Paul pojawił się osiem minut po tym, jak Galen zadzwoniła na jego pager.

- A nie mówiłem? Żadnych nagłych dramatów. Żadnego zaskakującego zakończenia. Mogłaś spokojnie pójść się wyspać. Co - dodał, patrząc na nią -nie byłoby takim złym pomysłem. Mam nadzieję, że zawiadomiłaś także...

- Adama i Wally'ego. Tak.

- Szczerze mówiąc, myślałem o Jose-Felipie.

- Bardzo zabawne.

- Wcale nie żartuję. Viveca, Adam i John z jakichś powodów uparcie w ciebie wierzą. Viveca nie będzie jednak zachwycona, jeśli pojawisz się przed kamerą w tym stanie.

„W tym stanie”, czyli tak jak naprawdę wygląda bez profesjonalnych zabiegów słynnego stylisty Jose-Felipe'a bez przebrania na modłę „Vogue”. Będąc reporterką Gavel-to-Gavel, i w ogóle przez całe życie, Galen nosiła długie włosy. Były tak ciężkie, że prawie się nie kręciły. Swobodnie opadały jej na plecy płomienną kaskadą.

Co z tego, że jakieś niesforne pasmo chłostało czasem twarz? Widzowie Gavel-to-Gavel oczekiwali autentyczności od reporterki relacjonującej dramaty rozgrywające się na salach sądowych całego kraju.

Taki naturalny, swobodny wygląd nie spodobałby się na Manhattanie, tłumaczyła Viveca, zwłaszcza że Galen będzie siedziała w klimatyzowanym studiu, a nie drżała na deszczu i wietrze przed wejściem do sądu. Ponadto - ze względu na godzinę nadawania wieczornych wiadomości przez KCOR - będzie gościła w domach widzów w porze kolacji, musi więc prezentować się jak najlepiej.

Tak więc w wyglądzie Galen dokonano zasadniczych zmian w salonie piękności na Piątej Alei pięć dni przed jej debiutem na wizji. Sławny stylistka osobiście nadzorował proces przeobrażenia. Obciął jej płomienne włosy tak, że zaledwie sięgały ramion. Skrócone, kręciłyby się niesforne, ale Jose Felipe poskromił je, robiąc użytek z suszarki i pianki modelującej. W rezultacie powstała gładka i elegancka fryzura, która złagodziła rysy jej niezwykle szczupłej twarzy. Wizażysta też zrobił swoje. Pod jego wprawną ręką rysy Galen nabrały miękkości, a oczy, jej największy atut, zyskały wyrazistą oprawę.

Jose-Felipe był zadowolony z efektu, podobnie jak Viveca, jego stała klientka, która pojawiła się w salonie pod koniec dnia. Osiągnięto image, z utrzymaniem którego Galen nie powinna mieć problemów. Pokazano jej, co ma robić, i wręczono pisemne instrukcje wraz z odpowiednimi numerami telefonów. Na wszelki wypadek.

To ważne, napominał Jose-Felipe, aby już zawsze tak wyglądała. Nawet jeśli idzie tylko do skrzynki na listy. Sprawiał wrażenie, jakby miał już klientów, którzy zlekceważywszy tę zasadę, płonęli ze wstydu na widok swoich zdjęć w brukowcach. „Nic nie usprawiedliwia zaniedbanego wyglądu sławnych osobistości, nic”, orzekł i uśmiechając się przymilnie do Viveci, dodał: „Jako nowa prezenterka najlepszej stacji na Manhattanie, Galen szybko stanie się osobistością”.

I rzeczywiście. Błyskawicznie stała się znana. Tylko że równocześnie zapragnęła schować się do mysiej dziury, lecz z szacunku dla współpracowników codziennie skrupulatnie stosowała się do wszystkich zaleceń Jose-Felipe'a.

Aż do tej nieszczęsnej nocy.

Nie był to jednak bunt, lecz czysty przypadek. Wycierała właśnie świeżo umyte włosy, co stanowiło wstęp do pracowitego suszenia i modelowania, kiedy usłyszała tę wiadomość. Rzuciła ręcznik, wciągnęła dżinsy, podkoszulek i sportowe buty, czując instynktownie, że jej nabyta na użytek zawodowy garderoba - stylowe spodnie, bluzki i żakiety oraz świetnie skrojony grafitowy płaszcz, noszony do pracy - teraz jej się nie przydadzą. Ani stworzony dla potrzeb telewizji image, ani eleganckie stroje nie nadawały się do biegów na czas, a Galen musiała się bardzo spieszyć. Złapała więc ukochany, odwieszony do szafy turkusowy płaszcz oraz jeszcze bardziej ukochane mitenki i pobięła podzielić się swymi obawami na temat Rebeki Paxton-Wright z kimś, kto się tą sprawą zajmuje.

A teraz Paul twierdził, że piękna, elegancka i pełna wiary w Galen Vivecanie będzie zachwycona, widząc ją w takim stanie" przed kamerą, z włosami, które nocna mgła skręciła w niesforne kędziory, i szczupłą twarzą tak bladą z zimna, że niemal przezroczystą.

- Fotogeniczność to zupełnie inna sprawa. - Paul, nawiązał do przewrotnego komplementu, jakim ją kiedyś obdarzył: Galen prezentuje się dobrze na ekranie, bo ma jedną z tych niezwykłych twarzy, które lepiej wyglądają na zdjęciu niż w rzeczywistości. - My tu zawsze trochę oszukujemy.

- Bardzo ci dziękuję, Paul. Ale pamiętaj, że robimy materiał o ośmiu małych dziewczynkach i człowieku, który je uratował, a nie o mnie.

W gruncie rzeczy Galen nie wierzyła, by Viveca miała do niej pretensje za strój czy uczesanie, chociaż znała się na modzie i przywiązywała wagę do wyglądu przed kamerą w studiu. Viveca sama jest dziennikarką więc interesującą przede wszystkim prezentowane wydarzenia. A jeśli te wydarzenia rozgrywają się podczas zimnej, wietrznej nocy, którą zaniepokojeni mieszkańcy Manhattanu spędzają przed telewizorami - to chyba naturalne, że relacjonująca je dziennikarka nie jest wypoczęta ani starannie uczesana. Viveca to zrozumie... O ile Galen dostarczy wywiad. O czym Paul zdawał się powątpiewać.

- Prawdopodobieństwo - rzucił - że twój wywiad dojdzie do skutku, jest bliskie zeru.

- Co?

- Słyszałaś, co powiedziałem. Lucas Hunter obiecałby ci gwiazdkę z nieba, żeby tylko się ciebie pozbyć.

-Ale...

- Ale co? Sądzisz, że postawisz na swoim, bo stacja KCOR całą noc trąbiła o twojej wyłączności na tę rozmowę? Słyszałaś, co mówił Adam. Lucas Hunter nie ma zwyczaju udzielać wywiadów. Co oznacza, jeśli to do ciebie jeszcze nie dotarło, że ich nigdy nie udziela.

KCOR trąbiła ojej wywiadzie całą noc? Oczywiście. Takiej obietnicy nie mogła przecież złożyć swoim widzom żadna inna stacja ani sieć.

- Viveca nie pozwoliłaby tego roztrąbić, gdyby sama nie wierzyła.

- Czyżby? Puściła informację na wypadek, gdyby do wywiadu jednak doszło.

- Adam mógł mi powiedzieć. Ostrzec mnie.

- Zrobił to.

- Więc powinien ostrzec też Vivecę.

- Ona siedzi w tym interesie równie długo jak on. Nie ma potrzeby ostrzegać jej przed czymkolwiek. Zresztą, kto wie? Może ci się uda. Może to ja się mylę.

- Mylisz się? Co do czego? - zapytał Adam, zbliżając się do nich z Wallym.

Wally też był kamerzystą. Galen pracowała z nim, gdy Paul wykonywał inną robotę. Z dumą pokazał jej kiedyś swój portfel ze zdjęciem żony i dzieci. Nie ukrywał szczerego przywiązania do zmarłej Marianny. Ale coś w zachowaniu tego pełnego skromności człowieka mówiło Galen, że mimo całego przywiązania do Marianny on chce, żeby jej się powiodło.

Kontrast między Adamem a Wallym był uderzający, zwłaszcza w bladym świetle zimowego świtu. Adam wypoczęty, pewny siebie i jak zwykle bardzo opanowany, Wally zaś, jak zawsze, zmęczony i niepewny. I coś jeszcze. Zdenerwowany, jakby na granicy wytrzymałości.

- Wally? Wszystko w porządku?

- Jasne, Galen. Dzięki. Po prostu całą noc nie spałem. Oglądałem relacje stąd. Bez przerwy myślałem o tych dzieciach. Wiem, co bym czuł, gdyby tam była moja Annie.

- Co do czego się mylisz? - zapytał Adam ponownie.

- Paul uważa, że Lucas Hunter chciał się mnie pozbyć, a mój obiecany wywiad to tylko wybieg.

Kłamstwo mistrza negocjacji, które ma posłać żałośnie niekompetentną i łatwowierną dziennikarkę na drogę wiodącą donikąd. Adam przelotnie zmarszczył brwi.

- Jeśli to prawda, Lucas pokaże się w niekorzystnym świetle, nie ty. Idź, dopadnij go i zadaj wszystkie trudne pytania, jakie przyjdą ci do głowy.



## 5

Zadaj wszystkie trudne pytania. Ale chyba nie te, myślała Galen, które chodziły jej po głowie przez całą noc. A może właśnie te? Jak pań to znosi, poruczniku? Te negocjacje z szaleńcami? Co wyprawy w świat obłądu robią z pańskim sercem i duszą?

A śmierć Moniki, Marcii i Kay? Kochał pan te niezwykle kobiety, które zamordowano, bo zabójca chciał dopaść pana?

Czy Lucas Hunter opłakiwał utracone miłości? Czy może czuł tylko udrękę i wściekłość na widok okaleczonych ciał, mających stanowić dla niego wyzwanie? Galen wiedziała, że Lucas ciągle jest w przyczepie. Sam.

Przez całą noc obserwowała korowody umundurowanych policjantów kręcących się tam i z powrotem. Kilka minut po zakończeniu akcji przyczepę opuścili wszyscy oprócz niego. On został w środku i niczym gwiazdorz sceny czekał, aż ostatni wielbiciel pójdzie do domu. A może również potrzebował czasu, by otrząsnąć się z atmosfery świetnego, lecz ponurego spektaklu i - tak jak aktor - wrócić ze świata fikcji do rzeczywistości czy raczej, jako że chodziło o porucznika z wydziału zabójstw, ze świata obłądu do życia. Nie do życia, pomyślała Galen. Do śmierci. Do morderstw na Manhattanie, które porucznik Lucas Hunter będzie musiał pomścić.

- Zdaje się, że ptaszek wyfrunął z klatki - zauważył Paul, kiedy delikatne pukanie Galen pozostało bez odpowiedzi.

- Niemożliwe. Po prostu nie słyszał.

Zanim zdążyła zapukać po raz drugi, otworzyły się drzwi i Galen natychmiast otrzymała odpowiedzi na wszystkie swoje pytania. Wyprawy w głąb świata szaleństwa wyniszczały go, rujnowały mu zdrowie, pustoszyły duszę. Miał ściągniętą twarz, spięte ciało, pociemniałe oczy. Nagle pojawiło się w nich światło, iskierka powitania.

- Cześć - powiedział miękko. - Czas na wywiad?

Nie, pomyślała Galen, jeśli to dla ciebie oznaczałoby nowe cierpienie. Nie teraz, kiedy spoglądasz na mnie tak, jakby...

Jasny błysk zgasł, niepokojąca chwila minęła. Szare oczy, puste i zimne, patrzyły teraz na Paula.

- My się znamy.

- Robiłem kiedyś zdjęcia dokumentacyjne dla departamentu policji. Lucas zachował kamienną twarz.

- Zgadza się. Muszę porozmawiać z Galen na osobności, zanim nagramy wywiad, więc chcielibyśmy zostać przez chwilę sami, jeśli pan pozwoli.

- Jasne. - Paul zaczął się wycofywać. - Będę na zewnątrz, gdybyś mnie potrzebowała - rzucił na odchodnym.

Lucas i Galen zostali sami. W przyczepie panowała cisza i półmrok, choć na zewnątrz z wolna wstawał zimowy świt. Mimo to Lucas widział Galen wyraźnie - czy to dlatego, że był mistrzem w przenikaniu ciemności, czy też może ona świeciła własnym światłem, promienna i czysta? Jej włosy świetlistą aureolą otaczały białą jak śnieg twarz i wydobywały piękno oczu o barwie błękitu, jakim jaśnieje niebo pierwszego wiosennego poranka po długiej, szarej zimie. Była to barwa nadziei i obietnicy. Lecz gdzie podziały się nadzieja i obietnica? - zastanawiał się Lucas. Nie pozostał po nich nawet ślad, jakby nie zdołały przetrwać zimy. Jakby kiedyś, dawno temu Galen czekała na wiosnę, lecz zamiast niej nadciągnęła fala mrozów.

Była wysoka. Ale on był wyższy. Przyłapał się na myśli, że dziewczynce przewyższającej wzrostem wszystkich w klasie musiało być niełatwo i że jemu jest z tego powodu przykro. Mimo wszystko ta jaśniejąca istota, cała utkana z płomieni i śniegu, zdołała jakoś przetrwać. Krucha i zarazem mocna. Zdecydowana. I zrezygnowana.

- Nie będzie żadnego wywiadu - powiedziała. - Prawda?

Ciekawe, co by zrobiła, gdybym potwierdził? Zaczęłyby się dąsać? Awanturować? Doszedł do wniosku, że nie. Że tylko kiwnęłaby po królewsku głową w płomiennej koronie i z godnością pogodziła się z jeszcze jedną zawiedzioną nadzieją.

- Owszem, będzie - zaprzeczył. Wyglądała na zaskoczoną.

- Miało go nie być.

- Tak, miało go nie być.

Galen wiedziała oczywiście, co sprawiło, że zmienił zdanie. Pewnie jeden z policjantów opowiedział mu o niej, może nawet pokazał piątkowy felieton w rubryce „Dzielimy się nowinami”.

- Jest panu mnie żal. Chce pan być miły.

Człowiek, którego niewiele mogło zdziwić, wyglądał na zupełnie zaskoczonego.

- Żal? Skądże. Ja i miły? - Na twarzy porucznika pojawił się cień gorzkiego uśmiechu. - Przenigdy.

- Więc dlaczego?

Dlaczego? Bo ta ognisto-turkusowa istota o zawiedzionych marzeniach coś w sobie miała.

- Przysięgłem.

- Wszyscy łamią przysiężenia. Nieustannie.

To prawda, pomyślał, nieustannie. Jakie złamane przysiężenia podcięły jej skrzydła?

- Nie tym razem. Jeśli nie ma pani nic przeciwko temu, ustalimy kilka podstawowych zasad.

Galen przywykła do takich rozmów. Pracując dla Gavel-to-Gavel, przeprowadziła wiele wywiadów przed i poza kamerą. Adwokaci, prokuratorzy, nie wspominając już o pracownikach policji, domagali się ustalenia podstawowych zasad. Także teraz, jeśli Galen odpowie twierdząco, porucznik postawi swoje warunki. Zaczną się układać, precyzować. Chwilę to potrwa. Zawołają Paula i... Galen nie chciała tu Paula, tego intruza. Jeszcze nie teraz.

- Żadnych wstępnych ustaleń? - zapytał łagodnie.

- Może zamiast ustalania zasad zrobimy próbny wywiad? Co pan na to?

- Owszem. A tak przy okazji, jestem Lucas. Lucas Hunter.

- Wiem. Wcześniej nie wiedziałam, ale teraz już wiem.

- Mogę wziąć twój płaszcz? -I mitenki? - dodał w myślach. Powiedział to miękko, jakby nie miał nic przeciwko temu, żeby dotknąć jej płaszcza, jakby nic w wyglądzie „damy z torbami” (określenie Rosalyn St. John, odnoszące się do wizerunku Galen z czasów Gavel-to-Gavel) nie wydawało mu się odstręczające.

Och, poruczniku. Jaka nieprzyjemna niespodzianka by cię czekała. - Nie, dziękuję.

- Więc siądź i pytaj.

Siadła naprzeciw niego, zagubiona w fałdach sztucznego moheru, z dłońmi w rękawiczkach, ułożonymi równo na kolanach. Zaczęła jednak nie od pytania, lecz stwierdzenia, któremu towarzyszyło poważne, otwarte spojrzenie.

- Zazwyczaj nie udzielasz wywiadów.

- Nie udzielam. Obawiam się, że moja definicja tego, co warto podawać do publicznej wiadomości, jest bardzo wąska. Wyraźnie rozgraniczam, co ludzie mają prawo wiedzieć, a co muszą wiedzieć.

- Na jakim podstawie?

- Analizy potencjalnego ryzyka i korzyści. Na przykład potencjalne ryzyko podania do wiadomości publicznej informacji, jak łatwo się dziś przebrać za lekarza, moim zdaniem przewyższa ewentualne korzyści.

- Ludziom nie przyniesie pożytku wiedza, że przestępca bez problemu wszedł na oddział dziecięcy, rnąjąc tylko niedbale zawieszony na szyi stetoskop i ręczny granat w kieszeni?

Lucas uśmiechnął się lekko.

- Tak właśnie myślę. Ci, którzy powinni o tym wiedzieć, pracownicy administracji szpitalnej, już sobie z tego zdają sprawę. I podczas gdy my tu rozmawiamy, myślą, jak zwiększyć bezpieczeństwo w szpitalach.

- Dlaczego on to zrobił? Lucas już się nie uśmiechał.

- Był zdesperowany.

- I szalony?

- Nie. W każdym razie nie cierpiał na chorobę psychiczną. Był zły, sfrustrowany, stracił nad sobą panowanie. Ujęcie go było tylko kwestią czasu. Bardzo nam w tym pomogły lalki Barbie.

Dotąd Galen patrzyła wprost na niego - inteligentna, zainteresowana, odważna. Teraz zmarszczyła brwi. Jej wzrok powędrował gdzieś daleko. Spuściła głowę i wymruczała do swoich rękawiczek:

- Lalki Barbie...

Lucas mówił spokojnie do pochylonej korony z płomyków i diamentów.

- Bardzo prawdopodobne, że chciał uciec od tych lalek i dlatego oddał się w nasze ręce. Bardzo interesująca historia. Moim zdaniem to najciekawszy aspekt tej sprawy. Interesuje cię to?

Czy on sobie z niej drwi? Nie. Galen Chandler już nieraz doznawała drwiny. Wiedziała więc, jak to jest. Teraz wyczuwała coś innego, coś, czego dotąd nie doświadczyła - serdeczność, zainteresowanie, ciepło. Podniosła wzrok znad swoich haftowanych mitenek.

- Tak. Naturalnie.

- Dobrze. - Lucas uśmiechnął się. - Dowiedziałem się z e-maila od Casey, przełożonej pielęgniarek na oddziale, że w wigilię Bożego Narodzenia jakaś nieznana kobieta pojawiła się z lalką Barbie. Nie była to zwyczajna lalka, lecz ubrana w pasiasty szlafrok i niebieską koszulę nocną. Tak jak pacjenci w szpitalach. Kobieta właśnie przeprowadziła się na Manhattan, bo dostała tu pracę. Szycie to jej hobby, wyjaśniła. Zwłaszcza ubranek dla lalek Barbie. Jeśli Casey się zgodzi, chciałyby podarować lalkę każdej hospitalizowanej dziewczynce. Robiła to już dawniej w innych miastach, gdzie mieszkała. Lalki będą ubrane w szpitalne stroje, ale dostaną też inne ubranka, odpowiednie na chwilę, kiedy ze swymi nowymi właścicielkami opuszczą szpital. Nic dziwnego, że Casey bardzo się ten pomysł spodobał. Umówiły się, że pierwsza dostawa lalek nastąpi w sylwestra. Nasza dobrodziejka zostawiła pierwszą lalkę siostrze Casey, ta zaś wręczyła ją najbardziej potrzebującej pacjentce - przerażonej, maltretowanej pięcioletce. Dziewczynka miała na imię Sarah. Jej obrażenia i strach spowodował własny ojciec.

- Och - szepnęła Galen. - Biedactwo.

- Wyjdzie z tego - zapewnił Lucas. -Matka bardzo ją kocha. Poruszyłaby niebo i ziemię, żeby zapewnić córce bezpieczeństwo.

- To dobrze - szepnęła Galen i westchnęła. - To dobrze.

Oprócz westchnienia ulgi Lucas usłyszał w jej głosie coś jeszcze. Tęsknotę. I poczucie straty.

- A ponadto - dodał łagodnie - Sarah ma swoją lalkę. - Dar od ciebie, który tak wiele znaczył, dodał w myślach. - Tu historia robi się naprawdę interesująca - podjął po chwili milczenia. - Człowiek, który pojawił się wczoraj w szpitalu ze stetoskopem i ręcznym granatem, to ojciec Sarah.

- Och, nie.

- To dobra historia, Galen. Bardzo dobra. Anthony Royce przyszedł na oddział szósty odwiedzić córkę. Wiesz, jak go powitała? Z przerażeniem w oczach i ze swoją Barbie. Odgradzała się nią od ojca, jakby był diabłem, a lalka krucyfiksem. Dlatego, jak przypuszczam, te lalki są dla niego symbolem końca dotychczasowego życia. Tak się złożyło, że zanim pojawił się po raz drugi w szpitalu, tajemnicza kobieta dostarczyła więcej lalek.

- Tajemnicza kobieta -powtórzyła Galen cicho, spodziewając się w jego głosie drwiny lub pogardy. Ale nic takiego nie usłyszała.

- Casey nie ujawniła jej imienia. Nasza bohaterka chciała pozostać anonimowa. Jej proste, choć może w dzisiejszych czasach zaskakujące życzenie łatwo dałoby się spełnić, gdyby nie to, że... tajemnicza szwaczka wkrótce stała się osobą znaną na całym Manhattanie. Nasza historia zmierza teraz ku opowieści z gatunku płaszcza i szpady. Casey i owa kobieta spotykały się w holu lub na parkingu. Wczoraj wieczorem pielęgniarka była zbyt zajęta, by wyjść i odebrać nową dostawę lalek, więc kobieta postanowiła sama dostarczyć przesyłkę radości. Określenie „przesyłka radości” pochodzi z listu, podobnie jak stwierdzenie, że ubranka dla lalek „to małe dzieła sztuki” - zarówno pod względem projektu, jak i wykonania. Aha! One są szyte ręcznie. Ciekawe dlaczego?

To on przeprowadzał z nią wywiad. Jego technika była niezwykła. Łagodne, nienapastliwe pytania sprawiły, że Galen w jednej chwili zapragnęła wyznać mu wszystkie głupstwa, jakie kiedykolwiek popełniła.

- No, cóż - zaczęła ostrożnie. - Biorąc pod uwagę niewielkie rozmiary Barbie, pewnie łatwiej szyć dla nich w taki staroświecki sposób, za pomocą igły z nitką.

Igłą trzymaną w palcach, rozmyślał Lucas. Był ciekaw jej dłoni ukrytych w turkusowych rękawiczkach. Jak też wyglądają, skoro cały czas pracują ostrymi igłami?

- Przyszło mi na myśl - powiedział głośno - że jeśli ta kobieta dużo podróżuje (powiedziała do Casey, że rozdawała już lalki w innych miastach), oszczędza sobie w ten sposób taszczenia maszyny do szycia.

Miał odpowiedź na swoje pytanie. Znał żalostną prawdę: Galen dni spędzała na sądowych procesach, a wieczorami wracała do motelowych pokoi i szyła.

- Tak - zgodziła się. - To możliwe.

Przez chwilę wydawała się samotna i zagubiona. Ale tylko przez krótką chwilę, jakby na tyle sobie pozwoliła.

- Mówiłeś, że wczoraj też przyniosła lalki?

- Przyniosła radość - sprostował Lucas delikatnie. - W samą porę. Kiedy Anthony Royce zabarykadował się w bawialni z ośmioma małymi dziewczynkami, lalki Barbie także stały się jego zakładniczkami. Dziewczynki ścisnęły je kurczowo, jak przedtem Sarah. Miał pewnie wrażenie, że otaczają go małe wiedźmy, że każda jest zdolna rzucić na niego potężny czar.

Chciał się od nich uwolnić za wszelką cenę. Niezła historia, co? Szkoda, że nie można jej podać do wiadomości publicznej.

- Nie można?

- Chyba że tajemnicza kobieta zdecyduje inaczej. Dobrze by było, gdyby ludzie w tym mieście dowiedzieli się, że jeszcze istnieje na świecie bezinteresowna szczodrość. Ale choć to taka niezwykła historia, należy uszanować prywatność tej kobiety i jej życzenie.

Ten człowiek, tak bardzo ceniący własną prywatność, chciał ją chronić! Głosem i spojrzeniem okazywał jej serdeczność, jakby to ona - a nie historia tych lalek - była niezwykła.

Nie, tego już za wiele. Za daleko posunął się w kłamstwach. Galen odwróciła wzrok. Po chwili jednak znów spojrzała w szare oczy.

- Najbardziej interesuje mnie kwestia papierosów.

Regularna, czarna brew drgnęła. W szarych oczach pojawił się błysk.

- Kwestia papierosów?

- Anthony Royce miał ze sobą trzy paczki. I ty miałeś trzy paczki. Kiedy przyszedłem tu o północy, paliłeś - rytmicznie, metodycznie. Bez przerwy.

- Inaczej niż zwykle?

- Myślę, że w ogóle nie palisz. Lucas spuścił głowę.

- Zgadza się - przyznał. - Dlaczego więc paliłem tej nocy?

- Bo on palił. Chciałeś wiedzieć, jak działa na niego nikotyna. Doznać siły i krańcowości jego uczuć.

- Powiedziałaś, że paliłem metodycznie.

- Tak. - Dłoń w mitence wysunęła się spośród fałdów płaszcza i zaczęła wykonywać rytmiczne ruchy w górę i w dół niczym haftowany, pełen wdzięku metronom. - Może w ten sposób Anthony odmierzał czas do swego ostatecznego ultimatum. Gdyby jego żądania nie zostały spełnione do chwili, kiedy skończą mu się papierosy... On prawdopodobnie palił nerwowo, nierówno. Nie byłeś w stanie tego naśladować. Paliłeś więc wolno, ale nieprzerwanie, w nadziei, że dzięki temu dotrzymasz mu kroku.

- Zając i żółw.

Na pewno nie żółw. Lucas Hunter przypominał raczej czarną panterę. Zaciągając się powoli, lecz nieprzerwanie, wypalił trzy paczki, z wyjątkiem dwóch papierosów, które leżały teraz na stoliku. Dwa niedobitki spośród pięćdziesięciu ośmiu towarzyszy, których szary dym przeżarł mu płuca.

- Wiesz, ile zostało mu papierosów, kiedy się poddał?

Lucas uśmiechnął się z przymusem i przeniósł wzrok z papierosów na Galen.

- Dwa.

- Udało ci się go przekonać, żeby się poddał, zanim posunął się do ostateczności.

Lucas spoważniał.

- Powiedziałem ci, Galen. Lalki Barbie go do tego zmusiły.

- Ale ta historia z papierosami jest bardzo ciekawa. Szkoda, że też się nie nadaje do rozpowszechnienia.

- Nie?

- Chyba nie, przynajmniej zgodnie z analizą potencjalnego ryzyka i korzyści. Korzyść niewielka. Zagrożenie duże.

- To znaczy?

- Czy zdarza się, że przestępcy wzajemnie się naśladują?

- Często.

- Załóżmy, że jakiś inny porywacz usłyszy historię o papierosach i bardzo mu się spodoba. Uzna, że coś w tym jest. Ale zechce dodać coś od siebie, żeby udowodnić, że stać go na oryginalność. Zamiast nikotyny sięgnie po... kokainę. Co zrobi wtedy negocjator? - Galen znała odpowiedź, przynajmniej jeśli chodziło o tego specjalistę od szaleństwa. Lucas zrobiłby wszystko, co uznałby za konieczne, nie bacząc na zagrożenie własnego zdrowia lub życia. - Tak wiele cię to kosztuje. Tyle z siebie dajesz.

Teraz ona pozwoliła sobie na serdeczny ton. Na delikatność i troskliwość.

Przez kilka wspaniałych chwil Lucas Hunter, ten samolubny sukinsyn, oddał się marzeniu. On i Galen wyjdą z przyczepy. Natychmiast. Zanim nie będzie za późno. I po prostu znikną. Na jakiś czas. Może na zawsze. Będą rozmawiać o lalkach Barbie i turkusowych mitenkach, i drzewkach bożonarodzeniowych w kolorze fuksji. Znajdą wiosnę jeszcze dziś. W ten styczniowy poranek. Wiosnę jarzącą się miriadami obietnic, zieleniejącą nadzieją. Zanim nie będzie za późno.

Ale już od dawna było za późno, jeszcze zanim naszło go złowieszcze przeczucie o trzeciej trzynaście. Nikomu nie życzyłoby obcowania ze swoją chorą, spaczoną duszą. Zwłaszcza temu elfowi w rękawiczkach.

- Obawiam się, Galen, że niewiele już mam do dania. W każdym razie nic dobrego.

Miał szklane, puste oczy i lodowaty głos.

W przyczepie zrobiło się zimno. Otworzyły się drzwi, wpuszczając do środka jeszcze zimniejsze powietrze z zewnątrz. Galen drgnęła zaskoczona. Lucas pozostał nieporuszony. Widać spodziewał się wizyty, pomyślała. Czekał. Bał się. Gawędząc, zabijał czas.

W drzwiach stał policjant z dziennej zmiany. Zastąpił kolegę, który czuwał całą noc.

- Przepraszam, panie poruczniku, ale właśnie dostaliśmy wiadomość. Kolejne... - Na widok Galen gwałtownie urwał. Jeśli się nie mylił, miał przed sobą Galen Chandler. Pewno przyszła tu, by udowodnić, że nie zasługuje na zjadliwą krytykę Rosalyn St. John. Jeśli spodziewa się zdobyć eks-tramateriał, to informacja, jaką miał do przekazania, trafiłaby się jej jak ślepej kurze ziarno. Nie zamierzał więc niczego wyjawiać w jej obecności.

- Kolejne morderstwo - dokończył Lucas spokojnie. - Zabójca kobiet znowu uderzył.

- Tak.

- Wiesz, kto tym razem padł ofiarą?

- Tak, ale... - Policjant znacząco spojrział na Galen, jakby oczekując, że - wyposażona w tę informację - wypadnie z przyczepy, by ogłosić całemu światu kolejną tragedię.

- Kto to? - rzucił Hunter tonem nieznoszącym sprzeciwu.

Co on teraz myśli? - zastanawiała się, podczas gdy policjant zaglądał do notatek. Czy genialny negocjator próbuje targować się z Iosem... czy z Bogiem? Czy modli się, by ofiarą szaleńca nie okazała się kobieta, za którą tęsknił i której pragnął podczas długiego pobytu w Australii? Piękna kobieta, z którą spędziłby tę noc, gdyby Anthony Royce nie wszedł na oddział szósty z granatem w kieszeni. Jeśli istotnie się modli, to czy nie dręczą go wyrzuty sumienia, że błagając o zachowanie przy życiu obecnej kochanki, być może skazuje na śmierć inną?

- Brynne Talbot - zameldował policjant.

- Brynne - powtórzył Lucas.

Ocienione czarnymi rzęsami, zmęczone powieki na chwilę przysłoniły ból, smutek i gniew wyzierający z szarych oczu. Zaraz jednak uniosły się, ukazując bystre spojrzenie. Galen znowu miała przed sobą łowcę, który czerpał z pokładów straszliwej energii ukrytej głęboko w jego wnętrzu, gdzie, jak powiedział, nie miał już nic do dania.



- Miejsce zabezpieczono? - zapytał.

Miejsce. Miejsce zbrodni. Zakładając, że zabójca kobiet nie zmienił reguł gry, mordu dokonał w domu ofiary, do którego nie włamał się ani nie wtargnął i z którego zniknął, nie pozostawiając najmniejszych śladów.

- Tak jest, panie poruczniku. Policjanci mówią, że niczego nie dotykano.

- W porządku. - Lucas wstał, silny i pełen mocy, jakby uniesiony w górę niewidzialną sprężyną. -  
Idziemy.

Nie! Nie odchodź! Był to niemy krzyk głupiego serca. Tyle rzeczy chciała mujeszcze powiedzieć. Dzięki, że przez jedną cudowną chwilę patrzyłeś na mnie tak, jak gdybym była kimś wyjątkowym, niezwykłym. Nigdy tego nie zapomnę. Nigdy. Uważaj na siebie, błagam. Bądź dla siebie dobry. Tak jak byłeś dobry dla mnie.

Galen mówiła to wszystko bezgłośnie. Ale gdyby nawet wykrzyczała swoje głupiutkie podziękowanie, Lucas Hunter by nie usłyszał. Myślami był już daleko.

Odwrócił się do niej. Szare oczy pożerały jej postać. Tęskne, przepraszające, smutne. Jakby wiedział, że ona opuszcza Manhattan. Jakby chciał, żeby stąd wyjechała, a jednocześnie pragnął ją zatrzymać.

- Lucas?

W szarych oczach nie było już tęsknoty. Tylko lodowaty chłód. Tylko śmierć. - Do widzenia, Galen.  
Do widzenia.

- Galen?

- A, to ty, Paul. - Ciągle tkwiła w tej samej pozycji jak przed chwilą, jak wieki temu, gdy Lucas podniósł się i wyszedł.

- Więc jednak nie będzie wywiadu?

- Przykro mi. Nagrywajmy.

- Teraz? Tak się chcesz pokazać? Wyglądasz jak śmierć. Turkusowy to nie twój kolor. Jest zbyt jaskrawy. Kamera uchwyci tylko ten turkus i czerwień włosów a tam, gdzie powinna być twoja twarz, nie pokaże nic.

I bardzo dobrze. Mogę wyglądać jak śmierć, pomyślała. Lucas patrzy te-

raz na śmierć. Dotyka zmaltretowanych włosów kobiety, którą znał i kochał.

Paul rzucił jej bezprzewodowy mikrofon. i

- Mogłabyś przynajmniej zdjąć te rękawiczki.

W odpowiedzi Galen mocno uchwyciła mikrofon dłonią w turkusowej mitence.

- Jak sobie chcesz. - Paul wzruszył ramionami. - Powiedz, jak będziesz gotowa.

Już była gotowa. Słowa same płynęły z jej ust.

- Wita państwa Galen Chandler w relacji na żywo. Mówię z punktu dowodzenia pod Szpitalem Memoriał, gdzie właśnie zakończyłam wywiad z porucznikiem Lucasem Hunterem z Departamentu Policji Nowego Jorku. Tak jak porucznik obiecał, wywiad dotyczył wszystkich aspektów tej sprawy. Niestety, w chwili obecnej nie mogę przekazać państwu żadnych informacji. Szczegóły negocjacji muszą pozostać tajemnicą. Ujawnienie ich mogłoby spowodować wzrost liczby tego typu przestępstw w przyszłości.

## 6

Nic nie może usprawiedliwić takiej brutalności - oznajmił bez żadnych wstępów elektroniczny głos w słuchawce, kiedy Galen odebrała telefon w czwartek o dziesiątej wieczorem.

- To chyba pomyłka.

- Nie, panno Galen Chandler. Na pewno nie pomyłka. A skoro już rozmawiamy... Masz zastrzeżony numer. Nie uskarżam się, oczywiście. Znalazłem cię całkiem szybko. Ale zastrzegać numer telefonu? W tym mieście? W takich czasach? Jesteś uroczo naiwna, Galen. To typowe dla osoby pochodzącej ze Środkowego Zachodu.

- Kto mówi?

- Wszystko w swoim czasie, moja droga. Wszystko w swoim czasie. Jeśli już mówimy o twoim zastrzeżonym numerze telefonu i kansaskim uroku... Należy ci się nagana za nieostrożność. Niezbyt ostra, bo bardzo ułatwiła mi sprawę. Kto to widział, żeby nosić telefon komórkowy w pozbawionej zamknięcia kieszeni tego okropnego turkusowego płaszcza! To zaproszenie nawet dla początkującego kieszonkowca, zwłaszcza że rzucasz ten płaszcz byle gdzie, gdy tylko kamera zaczyna pracować.

- Masz mój telefon?

- Zgadza się. Jeszcze nie zauważyłaś jego braku? Oczywiście, że nie. Przecież od czasu fiaska z wywiadem pod szpitalem nie zaproponowano ci, byś porzuciła obowiązki panienci od pogody i zajęła się prawdziwymi wiadomościami.

„Obowiązki panienki od pogody”. Właściciel elektronicznego głosu nieco przesadzał i przeinaczał fakty. Galen informowała o sytuacji wywołanej warunkami atmosferycznymi, nie zaś o prognozach pogody. A w tym tygodniu temat ten zaliczał się do najważniejszych. Wczorajszego wieczoru jej relację nadano nawet przed dwiema historiami, które od niedzieli dominowały w mediach: przed sprawą ośmiu dziewczynek ze Szpitala Memoriał i zabójstwem Brynne Talbot, pięknej i bardzo zdolnej doktor onkologii, która opiekowała się poprzedniczką Galen, Marianną McLain, podczas całej choroby, aż do śmierci.

Galen zgłosiła się do roli kronikarza meteorologicznych kaprysów na ochotnika. To logiczne, teraz nikt nie mógł mieć już do niej pretensji. Także za wygląd. Co z tego, że krople deszczu spływały z mokrych kędziorów na bladą twarz? Widzowie przynajmniej wiedzieli, że mają do czynienia z prawdą i tylko prawdą.

Elektroniczny głos miał rację. Od wielu dni nie używała komórki. Nie sięgnęła po nią od czasu, kiedy w niedzielę rano dzwoniła do Adama, Wally'ego i Paula. A teraz ten ktoś mówi, że zabrał telefon z przepastnej kieszeni jej turkusowego płaszcza. Pozostawało pytanie - jak? A także - kiedy i gdzie?

Codziennie Galen przemierzała Piątą Aleję w drodze do pracy i do domu. Przebywała także w terenie jako panienka od pogody.

W poniedziałek była w Battery Park z Paulem, artystą i krytykiem w jednej osobie. Żółta kurtka przeciwdeszczowa, ozdobiona logo stacji KCOR, nie dodawała uroku jej bladej twarzy, zauważył kamerzysta, za to pięknie kontrastowała ze spienionymi, srebrzysto zielonymi morskimi falami. Nieszczęsny turkusowy płaszcz ze sztucznego moheru przemókł do nitki, zanim pozostawiła go bez opieki w otwartej furgonetce.

We wtorek z kolei pracowała z Wallym. Zimowe słońce świeciło tak jasno, że uradowani mieszkańcy Manhattanu wylegli tłumnie, by zjeść lunch, pobiegać, pojeździć na deskorolkach, a nawet puszczać latawce w Central Parku. Turkusowy płaszcz spędził niemal cały ten piękny dzień na parkowej ławce. W jego kieszeniach mogły grzebać całe legiony przechadzających się czcicieli słońca.

A w środę? Wtedy kurtka z kapturem, należąca do Wally'ego, zastąpiła ośnieżone, turkusowe odzienie Galen.

A może dzisiaj? Nie, dzisiaj nie. Dzisiaj pogoda była odpowiednia do pory roku, umiarkowana, rozsądna. Galen spędziła cały dzień w telewizji, porządkując i pakując swoje rzeczy w oczekiwaniu na spotkanie z Johnem McLainem o szesnastej piętnaście... Miała zamiar powiadomić go o odejściu z KCOR. Planowała, że powie o tym w poniedziałek rano, ale John wyjechał i był nieosiągalny aż do czwartkowego popołudnia. Jego sekretarka powiedziała, że przebywa w podróży służbowej i w drodze powrotnej uda się do Toledo na pogrzeb Brynne Talbot, lekarki, która do końca walczyła o życie jego żony.

O swojej decyzji Galen musiała najpierw poinformować Johna. Jemu najbardziej zależało na ściągnięciu jej do KCOR. Z największym zaangażowaniem wspierał jej wysiłki, mimo że ciągle pogrążony był w żałobie po stracie ukochanej żony.

- Dlaczego? - rzuciła pytanie w słuchawkę. Elektroniczny głos milczał już od dłuższej chwili.

- Co dlaczego?

- Dlaczego zabrałeś mój telefon?

- Dojdziemy i do tego. Spokojnie. Wracając zaś do tematu: nic nie może usprawiedliwić brutalności twoich kolegów po fachu. Rosalyn St. John jest najgorsza. „Kląska żywiołowa o nazwie Galen”. Jak daleko ona się jeszcze posunie? Używała sobie na tobie od samego początku, a teraz już wszyscy skaczą na ciebie jak koza na pochyłe drzewo. Szczerze mówiąc, krytyka, która spotkała cię w tym tygodniu, jest zasłużona. Chyba zdajesz sobie z tego sprawę. Nie należy okłamywać widzów. To bardzo nieładnie.

- Nie kłamałam.

- Ustalmy podstawowe zasady. Mnie nie będziesz okłamywać. Nigdy. Gdybyś spróbowała, popełniłabyś duży błąd. Lucas Hunter cię przechytrzył. Okłamał. To szlachetne, lecz naiwne z twojej strony pozwolić mu zerwać się z haczyka. Postąpiłaś w stylu Joanny D'Arc. I jak ona spłoniesz na stosie. W każdym razie twoja kariera rozwieje się jak dym. Lecz powstaniesz tryumfalnie z popiołów. Zostaniesz uratowana, Galen Chandler. Ja cię uratuję.

Nikt nie musi mnie ratować. Dziś o szesnastej piętnaście sama się uratowałam, rozmawiając z Johnem.

- To ja nim jestem, Galen.

- Kim?

- Zabójcą kobiet z Manhattanu, do usług. W przeciwieństwie do porucznika Huntera, kiedy obiecuję damie wywiad, zawsze dotrzymuję słowa. I to ci właśnie przyrzekam. Wywiad za wywiadem.

- Nie wierzę ci.

- W co mianowicie nie wierzysz? W moją obietnicę? Czy w to, że on to ja? Mniejsza z tym. Jeśli nim nie jestem, wywiad nie przedstawiałby żadnej wartości. Ergo - nie wierzysz, że to ja.

- Właśnie - zdołała wykrztusić Galen. Ścisnęła ją w żołądku, w głowie panował kompletny chaos. Przecież morderca poinformował Rosalyn St. John, że zabija kobiety związane z Lucasem Hunterem. Dlaczego? Bo chciał grać? Tak jak teraz? - Najprawdopodobniej jesteś z jakiegoś brukowca i zmieniasz głos na wypadek, gdybym nagrywała rozmowę.

W słuchawce rozległo się elektroniczne westchnienie. Galen wyraźnie usłyszała w nim zniecierpliwienie i złość.

- Pozwól, że ci wyjaśnię, dlaczego mój głos został zmieniony. Nasze rozmowy będą nagrywane. Każde zdanie, każdą sylabę policja będzie analizować godzinami. Zadzwońię za każdym razem, gdy... zajdzie potrzeba. Mam nadzieję, że KCOR zechce to nadawać. Galen Chandler, zrobię z ciebie gwiazdę pierwszej wielkości. Uratuję twoją karierę. Ale nie za cenę zniszczenia mojej. Nie mogę pozwolić, by ktoś z widzów rozpoznał mój głos. Przykro mi. Mój głos spodobałby ci się, Galen. Nawet bardzo. Wszystkim kobietom się podoba. Kay i Brynne szczególnie go lubiły.

- Policja będzie nagrywać nasze rozmowy?

- Wiesz, że tak. W ramach małego podarunku dla podatników z Nowego Jorku chciałbym z góry uprzedzić, że próby namierzenia mnie w trakcie naszych rozmów spełzną na niczym. Wykorzystam między innymi twoją komórkę i będę się przemieszczał. Gdyby jednak nasze rozmowy pozostały tylko naszą prywatną sprawą, nie przysporzyłyby ci sławy, prawda?

- Raczej tobie.

- Więcej sławy. To chyba miałaś na myśli. Bo już się cieszę dość dużą popularnością. Powtarzam, Galen, robię to dla ciebie. Policja została powiadomiona. KCOR również. Roześlę jeszcze informacje do wszystkich stacji konkurencyjnych.

- Sądzę, że twoje rewelacje zostaną uznane za kiepski żart. Zostaniesz potraktowany zupełnie niepoważnie.

- Jestem tym, za kogo się podaję. Nigdy w to nie wątp, Galen. Fakt ten potwierdzi policja, kiedy powtórzysz im pewne magiczne słowa. Nie te banalne, wyświechtane, które zaraz przysły ci do głowy.

- Banalne?

- Wiesz przecież. Jako kobieta musisz wiedzieć.

„Jako kobieta”. Te dwa słowa przeszły ją tak, jak magiczne słowa: „Kocham cię”.

Głos Galen brzmiał teraz ostro i zdecydowanie.

- Co to za magiczne słowa?

- No, nareszcie! Nareszcie odrobina dobrego dziennikarstwa w akcji. Trochę inicjatywy, agresji, ikry. Bardzo dobrze, Galen.

- Co to za słowa?

- „Krzyż na sercu”. Znasz ten infantylny wierszyk, który dzieci recytują, kiedy sobie coś przyrzekają?  
„Zrób krzyż na sercu, podskocz wysoko i wbij sobie igłę w...” Znasz ciąg dalszy?

- Tak.

- Więc dokończ. Powiedz cały wierszyk.

- „Zrób krzyż na sercu, podskocz wysoko i wbij sobie igłę w... oko”.

- Bardzo dobrze.

- Jesteś potworem.

W słuchawce rozległ się upiorny elektroniczny śmiech.

- Jestem twoim potworem, Galen. Tylko twoim. Co to za dźwięk? Dzwonek do drzwi? Znak, że ktoś potraktował moje informacje poważnie. Chyba że oczekujesz spóźnionego kochanka. Tak czy inaczej, muszę kończyć. Zadzwoń znowu. Wkrótce.

## 7

Dźwięku, który rozległ się w mieszkaniu Galen na dziewiątym piętrze, nie wydał dzwonek u drzwi, lecz domofon.

- Słucham?

- Tu Lucas Hunter.

Galen wcisnęła trzy klawisze, zwalniając zamek przy wejściu do budynku.

- Wejść, proszę.

Dzwonek u drzwi zaskoczył ją. Zabrzmiał dużo wcześniej, niż się spodziewała. Archaiczna, sfatygowana winda przywozła Lucasa na górę z zaskakującą wprost szybkością.

On też wyglądał zaskakująco - jak elegancki cień lub głaz. Pozdrowił ją bez uśmiechu w szarych oczach. Głos idealnie pasował do spojrzenia.

- Nie sprawdzałaś przez wizjer, czy to naprawdę ja.

- Rzeczywiście.

Zastanawiała się, ile on spał w ciągu tych pięciu nocy, odkąd widzieli się po raz ostatni. Czy ta szarooka pantera w ogóle sypia? Może w łóżku karmi się namiętnością, a nie snami?

- Na dole nie ma kamery rejestrującej wchodzących.

- Nie ma.

Wygląda wspaniale, pomyślał, w tym workowatym szlafroku koloru lawendy i różowych wełnianych skarpetkach. I wydaje się kompletnie nieświadoma faktu, jak bardzo oba te kolory kłóć się z czerwienią jej włosów. Na widok głębokich cieni pod jej oczami zaczął się zastanawiać, czy w ogóle spała. Czy łóżko było dla niej miejscem snów czy koszmarów nocnych? Teraz powrócił jego koszmar.

- Wpuściłaś mnie, i to dwukrotnie, nie mając pewności, że to ja.

- Tak. Tak. I za każdym razem to byłeś ty. Właśnie kogoś od was się spodziewałam. I gdybym miała czas się zastanowić, doszłabym do wniosku, że zapewne wyślą ciebie.

- On zadzwonił?

- Tak, dosłownie przed chwilą. Sądzisz, że to naprawdę on?

Wiem, że to on, pomyślał i uparcie wrócił do najważniejszej teraz kwestii: lekceważenia przez Galen niebezpieczeństwa.

- Nie mogę uwierzyć, że tak po prostu mnie wpuściłaś.

- Tak, już o tym wspomniałeś. - Galen buntowniczo uniosła podbródek. - To się więcej nie powtórzy. Przyrzekam.

Lucas wreszcie się uśmiechnął. Złowrogą szarość jego spojrzenia rozświetliły srebrzyste iskierki.

- W porządku. Jak diabli chciałbym uniknąć współpracy z policją w tak banalnej sprawie, jak tropienie twojego zabójcy. - Uśmiech znikł, ale w oczach ciągle migotały iskierki. Łagodnie, jakby wygłaszał zaproszenie do zaczarowanej krainy śmierci, zapytał: - Co powiedział?

- Krzyż na sercu. - Po skurczu na jego twarzy, zaciśniętych zębach i wyrazie wściekłości Galen domyśliła się prawdy. - To on, prawda?

- Tak. Co jeszcze... A może spisałaś wszystko, co pamiętasz?

- Oczywiście. To nie była długa rozmowa, ale zostawiła niezatarte wrażenie.

„Niezatarte wrażenie”. Lucas pomyślał o targanym wiatrem elfie w turkusowym płaszczu i tej samej barwy mitenkach. Nic nie zatrze tego obrazu w jego pamięci, może z wyjątkiem stojącej przed nim w tej chwili lawendowo-różowej postaci o oczach spragnionych snu i nieosłoniętych rękawiczkami rękach. Dłonie Galen, podobnie jak ona, były szczupłe, delikatne i smukłe. Pod jego zachwyconym spojrzeniem trzepotały niespokojnie.

- Dzięki - powiedział serdecznie. - Odbiorę twoje zapiski jutro. Nie masz nic przeciwko temu, żebym się tu trochę rozejrzył?

Galen zmarszczyła brwi.

- Spodziewasz się, że on tu przyjdzie?

- Nie. Nie sędzę.

- Więc nie będę jego kolejną ofiarą?

- Zgadza się, nie będziesz. Twoją śmierć uznano by za jego porażkę, za przyznanie się, że go zdemaskowałaś.

- Ale w przyszłości mogą stać się ofiarą? Tak. Nie.

- Mam nadzieję, że nie będzie następnych ofiar. Dopadniemy go. Ty i ja. Muszę zobaczyć twoje mieszkanie. Nie przejmuj się bałaganem.

Pojedynczy pokój, w którym mieszkała Galen, zatłoczony był mnóstwem sprzętów. Nie było tam bałaganu, ale atmosfera pewnej tymczasowości. Odzwierciedlała w jakiejś mierze to, kim Galen była i czym się zajmowała.

Studio, choć niewielkie, nie zaliczało się do najtańszych. Lokalizacja - w samym sercu miasta - stanowiła marzenie każdego nowojorczyka. Najdalszy kąt pokoju zajmowały niezbędne akcesoria dziennikarza telewizyjnego: komputer, radio, telewizor, faks. Pozostałą część pomieszczenia nie wyłączając całej powierzchni porządnie zasłanego łóżka, zajmował ekwipunek krawcowej. Na podłodze stały dwa żelazka, duże i małe, niczym dwaj srebrni wartownicy na straży wielobarwnej mozaiki ułożonej ze skrawków materiałów i nici. Na kanapie siedziały lub stały lalki Barbie. Wszystkie już w ubrankach. Skromne i zadbane. Lucas chciał o nie zapytać, lecz w końcu zadał inne pytanie.

- Po co ci te pudła?

W pokoju stały cztery duże kartony ozdobione stylizowanym wizerunkiem statku „Mayflower” pod pełnymi żaglami.

- Wyjeżdżam. W każdym razie chciałam wyjechać.

- Dokąd?

- Nie wiem. Daleko od Nowego Jorku.

- I daleko od KCOR?

- Tak.

- Z powodu tego, co się stało w niedzielę rano? Ze względu na to, co powiedziałaś? Czy raczej czego nie powiedziałaś?

- Wiesz, co powiedziałaś?



Według prasowych publikacji, a od niedzieli Galen czytała wszystko, co na ten temat pisano, Lucas Hunter był bez reszty pochłonięty śledztwem. Ale w tej chwili tylko ona pochłaniała jego uwagę.

- Tak. Wiem. To było niesamowite.

- Dzięki. Tak należało postąpić.

Ciepła pieśczoła oczu łowcy - to dopiero jest niesamowite, pomyślała.

- Lecz nie przysporzyło ci to popularności? - powiedział miękko, chociaż czuł wzbierający gniew. Powinien był się domyślić, ile będzie kosztowała ją odwaga. Domyśliłby się, gdyby choć na chwilę oderwał się od ponurego zadania, nad którym pracował. Nie zrobił tego i... - Zwolnili cię?

Smukłe, białe dłonie dotknęły płomiennych włosów.

- Sama odeszłam.

- Dlaczego?

- Bo od początku było wiadomo, że po prostu nie nadaję się na prezenterkę wiadomości.

„Po prostu”. Tak zwyczajnie przyznawała, że poniosła klęskę w pracy, o której marzą wszyscy dziennikarze w kraju.

- Zapytam jeszcze raz: dlaczego?

- Och, brak mi emocji.

Tak po prostu i beznamiętnie. Szczera, obiektywna samoocena, która zmroziła jej serce. I jemu.

- Co to, u licha, znaczy?

- To znaczy, że nie potrafię przechodzić gładko i szybko od jednej informacji do drugiej i od nastroju do nastroju.

- Chcesz powiedzieć, że masz problem z prześlizgnięciem się od komunikatu, że „pięcioosobowa rodzina zginęła w pożarze” do zapowiedzi, że „mieszkanca Brooklynu wygrała w lotto”?

- Duży problem.

- Może więc cierpisz na nadmiar emocji?

- Czy ja wiem. Ale dziękuję... Z drugiej strony nie można przecież powiedzieć, żeby Mariannie brakowało emocji albo Adamowi czy setkom innych prezenterów, którzy z powodzeniem wykonują swoje zajęcie każdego dnia.

- Wcale tego nie twierdzą, zwłaszcza o Mariannie. Mówmy jednak o tobie. Żaden inny dziennikarz nie miałby szans na wywiad, którego ci udzieliłem. Żaden.

Na policzki Galen wypłynął rumieniec, zachwycająco kłócąc się z kolorem jej włosów. Ale ona sama nie sprawiała wrażenia zachwyconej; tylko zmieszanej. Lucas czym prędzej wrócił do tematu.

- Kiedy się zwolniłaś?

- Dzisiaj.

- Kto już o tym wie?

- Tylko właściciel KCOR, John McLain. - Cały czas dźwięczały jej w uszach słowa Lucasa: „zwłaszcza o Mariannie”, i pełen nostalgii ton, jakim je wypowiedział. - Znasz Johna? Znałeś Mariannę?

- Mariannę i Nancy. Poznaliśmy się jako dzieci.

- W Anglii?

- Nie. Tutaj. W miejscowości o nazwie Chatsworth w hrabstwie West-chester, jakąś godzinę drogi stąd. Mieszkałem tam do dziewiątego roku życia.

- Marianna i Nancy też tam mieszkały?

- Tak.

Cierpienie... strach... kres marzeń...

Galen dostrzegła w jego oczach cień, czający się chłód, gorycz i ból. Cień zniknął równie szybko, jak się pojawił. Lucas odegnał go jednym drgnieniem powiek i wrócił do jej pytania.

- Johna poznałem parę lat temu.

Parę lat, pomyślała Galen. John i Marianna byli małżeństwem przez prawie dziesięć lat. To znaczy, że mimo sentymentu - a może z powodu sentymentu - Lucas nie uczestniczył w ślubie przyjaciółki z czasów dzieciństwa.

- Co John powiedział na twoją rezygnację?

Galen zawahała się, lecz odpowiedziała. Powoli i z namysłem.

- Nie chodzi o to, co powiedział, tylko jak wyglądał. Myślałam, że okaże ulgę, a on odmówił formalnego przyjęcia mojej rezygnacji do poniedziałku.

- Dał ci czas do namysłu.

- Tak.

Lucas spojrzął na rozstawione pudła. Był dopiero czwartek. Galen nie miała zamiaru zmienić zdania. Nawet o tym nie myślała. Chciała jak najszybciej znaleźć się daleko od Wielkiego Jabłka.

- Może - powiedział - powinnaś wyjechać, tak jak planowałaś.

- Powinam?

- Nie zrozum mnie źle, Galen. Potrzebuję twojej pomocy. Nawet bardzo. Ale to nie będzie przyjemne. - Jest gotów zapewnić jej całkowite bezpieczeństwo. I zrobi to. Ale nie będzie miał wpływu na to, co powie ten maniak. - Możesz od niego usłyszeć wiele okropnych rzeczy.

„Potrzebuję twojej pomocy”. Dla jej samotnego, głupiego serca zabrzmiało to jak „potrzebuję ciebie, chcę, żebyś ze mną była”.

- Zostanę, poruczniku.

- W porządku - powiedział łagodnie. Galen zostanie na Manhattanie i razem rzucą zabójcę na kolana... Na razie nie chciał jednak mówić o śmierci. Spojrzał na zatłoczoną, kolorową sofę. - Zostajesz. I twoje lalki też.

- One nie miały mi towarzyszyć w podróży.

- Ostatnia przesyłka radości na oddział szósty? Kiedy?

- Obiecałam Casey, że przyjdę w niedzielę o drugiej po południu.

- Nie powinno być z tym problemu. - Nieważne, co knuje morderca. I tak nie uda mu się przeszkodzić bezinteresownej krawcowej w dotrzymaniu obietnicy. Lalki - barwne, śliczne i radosne - zostaną dostarczone do szpitala na czas. - Nie wiedziałem, że lalki Barbie tak się od siebie różnią.

- Tak, one zdecydowanie stały się „politycznie poprawne”.

- Brzmi to tak, jakby ci się nie podobało.

- Oczywiście, że mi się podoba. Tylko że nigdy nie uwierzyłam w teorię o ich destrukcyjnym wpływie na psychikę małych dzieci. Nie sądzę, żeby dziewczynka posiadająca jasnowłosą i śliczną lalkę stawiała sobie za cel osiągnięcie równie idealnego wyglądu. Co rzekomo prowadzi do jej duchowego czy nawet fizycznego wyniszczenia, kiedy zrozumie, że to niemożliwe.

- Do fizycznego wyniszczenia?

- Tak, spowodowanego głodówkami, chirurgią plastyczną czy innymi metodami mającymi doprowadzić do uzyskania wyglądu niedościgniętego, plastikowego ideału.

- A jaka jest twoja teoria?

- Taka, że to są tylko lalki, jak wszystkie inne. Towarzyszki, nie rywalki. Przyjaciółki. - Wzruszyła ramionami i płomienne loki zatańczyły wokół jej twarzy. - Nie widzę nic złego w tym, że mała dziewczynka ma ładną, elegancką przyjaciółkę, która jest z nią zawsze.

- Która z nich jest twoja?

Pokaż mi swą przyjaciółkę, myślał, wierną towarzyszkę dzieciństwa, która nigdy cię nie ocenia ani w ciebie nie wątpi, nawet jeśli inni sądzą cię surowo. Przedstaw mi blondwłosą, piękną plastikową przyjaciółkę i tak długo, jak tylko się da, rozmawiajmy o lalkach, nie o śmierci.

Galen nie przedstawiła mu swojej lalki. Z jej chmurnych oczu wycierało coś, co starał się odsunąć jak najdalej - świadomość straty i śmierci.

- Mojej lalki tu nie ma.

- A gdzie jest?

Galen wzruszyła ramionami. Tym razem w jej włosach nie zatańczyły płomyki.

- Nie wiem. To była... to jest lalka mojej matki. Kiedy opuszczałam dom matki, zostawiłam także lalkę.

„Dom matki”. „Lalka matki”. Matki, nie córki, która zaś niczym kobieta z plemienia Nomadów żyje pośród kartonowych pudeł z wizerunkiem rozpostartych żagli statku. I jest bezdomna. Tak jak on.

Lucas Hunter bezdomny? Tak. Nie ma domu, tylko wielkie pudło, w którym mieszka.

Galen skierowała się w stronę lalek. Przystanęła jednak przy stoliku. Przesunęła palcem po szklanym blacie i spośród szpilek nici wydobyla złotą igłę.

„Zrób krzyż na sercu, podskocz wysoko i wbij sobie igłę w oko”. Smukły palec dotknął samego koniuszka igły.

- Czy on rzeczywiście...?

Nie chcę ci powiedzieć, co on robi. Ale nie mam wyboru. Morderca już to zrobił.

- Tak. Przekłuwa im oczy. Ale dopiero po śmierci. Galen gwałtownie zacisnęła powieki.

- Jak on je zabija?

- Nożem.

- To wiem. - „Okrutnie zakłuta” i temu podobne tytuły pojawiały się we wszystkich gazetach. - Ale jak?

- Galen...

- Muszę to wiedzieć. Proszę. Nie ujawnię...

- Wiem.

- Więc jak one giną?

Jak? - powtórzył Lucas bezgłośnie. Strasznie. Potwornie. Patrzę na pulsujący czerwony strumień własnej krwi i czuję jego zdumiewające gorąco jeszcze wtedy, gdy zaczyna się agonia.

- Podrzyna im gardła.

- A czy robi im krzyż na sercu? Nożem?

- Tak. Po śmierci.

- Czy robi coś jeszcze? - zapytała cicho, z obawą. Musiała dowiedzieć się wszystkiego.

- Nie, Galen. Nic więcej.

Podniosła oczy i bladą, zatroskaną twarz.

- On nie ma zamiaru dać się złapać.

- Arogancki megaloman. Ale wywieziemy go w pole. Właśnie popełnił błąd.

- Dzwoniąc do mnie?

- Dzwoniąc do ciebie. Dorwiemy go, Galen.

- Dorwiemy go. Obiecuję.

Lucas obejrzał resztę pokoju. Niczego nie dotykał. Szukał rzeczy związanych z jej życiem: fotografii rodziny i przyjaciół, kolekcji porcelanowych figurek albo pogodnych obrazków w złotych ramkach.

Ale niczego nie znalazł. Oprócz książki na nocnym stoliku. Czyżby Galen czytała ją do poduszki? Podchodząc do stolika, z trudem opanował ogarniający go gniew i gwałtowne bicie serca.

- Rozmowy z Bogiem - przeczytał głośno, sprawdzając, czy panuje nad głosem.

- Co za arogancja, prawda? - rozległ się cichy głos Galen. Rzeczywiście, pomyślał. A w dodatku kliniczny przypadek patologii:

Brandon Christianson, psychopata, morderca i twórca książki mającej inspirować, pocieszać, nieść ulgę.

Pytanie Galen zawisło w powietrzu bez odpowiedzi. Lucas miał taki zmieniony głos... Czy gardził anonimowym autorem, który nie dostarczył czytelnikom najmniejszej wskazówki na temat swojej tożsamości i zamiast pseudonimu literackiego używał znaku krzyża? A może Lucas był wściekły na Boga? Albo na nią...

- To znaczy - dodała szybko - mnie wydaje się aroganckie; sugeruje dużą zażyłość.

- Zgadza się.

Lucas przeniósł wzrok z książki na Galen. Z jego oczu nadal wycierał gniew. Nie na nią. Nie z jej powodu. Czegoś jednak od niej chciał. Prawdy. Więcej prawdy.

- Treść jest również arogancka?

- Tak uważam, ale należę do zdecydowanej mniejszości. Ta książka od lat figuruje na listach bestsellerów. Nawet uznani teologowie wyrażali się o niej z aprobatą. Zbierała świetne recenzje.

- Ale ciebie nie przekonała?

- Nie.

- Mimo to ją czytasz.

- Tak. Szefowa działu wiadomości, Viveca Blair, pewnie ją znasz...

- Tak, znam Vivecę. - Kuzynkę Brandona psychopaty, dodał w myślach. - Ona ma coś wspólnego z tą książką?

- Dała mi ją. Powiedziała, że może nakłoni autora do ujawnienia nazwiska podczas wywiadu ze mną na żywo. Ale nie chcę.

- Nie?

- Ani trochę.

Oczy Lucasa nie były już tak zimne i gniewne. Nie bardziej niż zwykle. Mimo to Galen zadrżała, zanim jeszcze przemówił.

- Będziemy potrzebowali większego mieszkania.

- My?

- Muszę być z tobą za każdym razem, kiedy zabójca zadzwoni.

- Och, dlaczego?

- Bo czasem potrafię wyczuwać pewne rzeczy. Wyczuwać? - Emocje? Myśli?

- Tak.

I pragnienia, i pożądanie.

- Więc wiesz, kim jest zabójca?

- Odbieram wrażenia, które w połączeniu z innymi elementami śledczej układanki mogą doprowadzić do aresztowania właściwej osoby.

- Czy widzisz zabójcę?

- Nie. - Lucas zawahał się i nagle postanowił wyznać coś, do czego nigdy dotąd nikomu się nie przyznał. - Jestem w jego wnętrzu, Galen.

Wewnątrz diabła.

Czasami, bardzo rzadko i bardzo dawno temu, Lucas próbował powiedzieć kobietom, które znał, o swoim darze. Reakcja była zawsze taka sama. Fascynacja i panika. Tymczasem teraz, kiedy otwarcie przyznał się do swej zażyłości ze złem, Galen okazywała tylko zainteresowanie. Nie panikowała. Wyglądała na zatroskaną, ale nie przestraszoną.

- Czy widzisz ofiarę?

- Nie. - Wewnątrz jest zbyt ciemno, pomyślał w oparach gęstego od krwi szaleństwa. - Nigdy.

- Teraz - powiedziała cicho - musisz się dowiedzieć, czy będziesz w stanie wyczuć tego zabójcę.

- Już wiem, że to potrafię.

- To chyba dobrze.

- Chyba? - powtórzył.

- Na pewno dobrze dla śledztwa i dla tego miasta. Lecz nie dla ciebie. Jakoś to przeżyję, pomyślał. Zawsze mi się udaje. Przyznał jednak

miętko:

- Masz rację. Dla mnie nie.

Było to wyznanie i ostrzeżenie. Nie tylko dla mnie, piękna krawcowo, ale też dla każdego, kto by się do mnie zbliżył. Nikt wprawdzie tego dotąd nie uczynił - nie chciał lub nie śmiał - lecz gdyby próbował, Lucas by na to nie pozwolił.

Dawał kobietom tylko niewielką część siebie - zmysłowość. Nic więcej. Nie serce, nie umysł. Nigdy nie wpuścił nikogo w ciemność swej duszy. Jego kochanki wiedziały, że nie powinny żądać niczego więcej. Wyczuwały niebezpieczeństwo.

A teraz stoi przed nim wysokie i blade stworzenie w workowatym lawendowym szlafroku, z burzą czerwonych włosów na głowie. Bez cienia lęku o siebie, pełne obawy o niego.

- Wyczuwam go tak silnie - ciągnął swoje wyznanie i ostrzeżenie - że może wystarczyłoby przysłuchać nagrania, których dokonamy.

- Ale wolałbyś słyszeć go bezpośrednio?

- Tak.

- Więc musimy znaleźć większe mieszkanie?

- Już je mamy - odpowiedział, zastanawiając się, kiedy właściwie podjął decyzję. Już wcześniej wyobrażał sobie Galen i siebie w swoim pustym domu. - Musisz tylko przeprowadzić się tam razem ze swoim telefonem do jutra wieczór.

- Ten człowiek wychodzi z ciemności.

- Z najgłębszego mroku. Spakuj się dzisiaj, a jutro załatwię transport.

- Czy mam rano iść do pracy jak zwykle?

- Tak.

- A...

- Tak?

- Zastanawiam się, w co powinnam się ubrać.

- W co powinnaś się ubrać... ?

- Do pracy noszę specjalne stroje. I fryzurę.

„W co mam się ubrać, Lucas?“. Z przeszłości powróciło echo podobnych pytań, różnie zadawanych przez różne kobiety. „W czym ci się bardziej podobam, poruczniku? W tej bez pleców czy z ramiączkami? Może z rozcięciem do pół uda? A włosy, Lucas? Upięte czy rozpuszczone?“.

- Nie bardzo rozumiem.

- Do niedzieli przestrzegałam image 'u stworzonego przez Vivecę, Saksa i Jose-Felipe'a. Był odpowiedniejszy. Bardziej pasujący do Nowego Jorku. Wszyscy tak uważali.

- A ty?

- Och, ja... - Galen niepewnie wzruszyła ramionami, jakby rzeczywiście nie wiedziała, lub nigdy na siebie w taki sposób nie patrzyła. - W każdym razie od niedzieli bardzo się zaniedbałam. Więc może ty rozstrzygniesz, co w tej sytuacji najlepsze.

Człowiek zdolny do wyczuwania zła na odległość miał teraz wyraźną, niczym niezmaconą wizję..

- Ubieraj się tak jak od niedzieli. - Daj spokój swoim włosom, Galen. Noś mitenki. I lawendowy szlafrok z tymi szokującymi różowymi skarpetkami. I zawsze pamiętaj o nieprawdopodobnie turkusowym płaszczu. -1 nie otwieraj nikomu drzwi - powiedział na głos.

- Dobrze.

Na tym powinien poprzestać. Ale coś w nim drgnęło. Jakiś pierwotny męski instynkt posiadania kazał mu dodać:

- Nikomu oprócz mnie.



## 8

Idąc tego piątkowego ranka do pracy, Galen czuła się świetnie. I bezpiecznie. Niebo nad Manhattanem było mroczne i szare jak Lucasa oczy. Zdawało jej się, że na nią patrzą, że czuwają nad każdym jej krokiem.

Spoglądała na twarze przechodniów tłumnie spieszących Piątą Aleją i była zaskoczona tym, co widziała - uśmiechniętych nieznajomych, sympatycznych, pełnych zrozumienia wobec faktu, że w tym mieście sukcesu nie wszystkim się powiodło.

Do KCOR weszła tuż przed dziewiątą. Z powodu wiadomości rozesłanej przez zabójcę kobiet czekało już na nią czworo zainteresowanych ludzi.

- To niezwykła okazja - stwierdził Wally. Wzruszył ramionami. - Na to w każdym razie wygląda.

- Na to wygląda? - zdziwiła się Viveca. - To dziennikarska sensacja stulecia! Masz absolutną rację. Niezwykła okazja.

- Jesteś naprawdę niesamowita, mała - dodał Adam.

- Powiedziałabym „dziękuję”, gdybym miała z tym coś wspólnego. -Galen spoglądała na Paula, oczekując z jego strony sceptycznej reakcji. Tymczasem Paul był dziwnie zamyślony i nie odezwał się słowem.

- Będziesz miała z tym coś wspólnego - dodała Viveca z naciskiem. -A my pomożemy ci wyciągnąć z tego, ile się da. Rzecz jasna, wyemitujemy wasze nagrane rozmowy. Może go przekonasz, żeby zadzwonił tu bezpośrednio? Mogłabyś go skusić, żeby choć jedną sylabę wypowiedział bez elektronicznej zmiany głosu...

- Chwileczkę, Viveco - wtrącił się Adam. - Przekonać? Skusić? Ten człowiek zamordował już cztery kobiety.

- Wierz mi, Adamie, że o tym nie zapominam. Ja i Marcia byliśmy razem w Vassar. Przyjaźniłyśmy się. Galen jest jego łącznikiem. Nie robi jej krzywdy. - Viveca spojrzała na zbliżającego się do nich mężczyznę i dodała tak, żeby usłyszał: - Zresztą porucznik Lucas Hunter będzie czuwał nad jej bezpieczeństwem. Prawda, poruczniku?

- Jak najbardziej.

Lucas jak zwykle ubrany był na czarno. Czarne włosy lśniły, szare oczy spoglądały chłodno. Mógłby pracować w wydziale narkotyków, zamiast zabójstw, i uchodzić za narkotykowego bossa. Wyglądał, jakby wracał prosto z całonocnej obławy i pomimo braku snu tryskał energią, jaką daje świeżo osiągnięty sukces. W rzeczywistości był panterą na polowaniu. A energii dodawała mu czająca się w ciemnościach śmierć.

- Jesteśmy do twojej dyspozycji, Lucas. - Viveca uśmiechnęła się olśniewająco. - Zrobimy wszystko, co w naszej mocy, żeby pomóc ci przyskrzynić tego sukinsyna. Pozwól teraz do mojego biura. Od ręki wszystko omówimy.

Ruszyła przodem, ale zatrzymał ją jego chłodny głos.

- Znajdę cię, Viveco. Najpierw porozmawiam z Galen.

- Galen może od razu do nas dołączyć.

- Znajdę cię.

Uśmiech na ustach Viveci zamarł.

- Jak sobie chcesz. Pozwól, że ci przedstawię trzech czołowych zawodników naszej drużyny. Adama już oczywiście znasz.

- Jasne. - Głos Lucasa brzmiał teraz ciepło i przyjaźnie. Adam był mężem jednej i szwagrem drugiej z dziewcząt, z którymi Lucas spędził lata dziecinne: - Jak czuje się Nancy? - zapytał z troską o tę, która mimo że delikatniejsza i bardziej krucha przeżyła własną siostrę.

- Na tyle dobrze, na ile to możliwe. Za dużo od siebie wymaga.

- Jak zwykle - powiedział Lucas łagodnie. - Pozdrów ją ode mnie.

- Dziękuję.

Ciszę, która nastąpiła po tej wymianie zdań, przerwała Viveca:

- To jest Paul.

Lucas spojrział na kamerzystę.

- Już się spotkaliśmy.

- A to Wally. - Jej zdaniem on najmniej zasługiwał tu na uwagę. - Paul i Wally filmują Galen i Adama w terenie. Obaj chętnie udzielą ci pomocy, jeśli chodzi o zdjęcia.

- W porządku. Dziękuję. Możemy potrzebować wsparcia. A teraz wybaczcie. Galen i ja musimy rozważyć pewne kwestie. Później spotkam się z tobą, Viveco, i z Johnem. Jeśli to możliwe.

Nie czekając, aż Viveca pojmie znaczenie tego grzecznego polecenia, odwrócił się na pięcie, i ruszył wraz z Galen do jej biura.

- Dzień dobry - powiedział miękko, kiedy zamknęły się za nimi drzwi. - Spałaś choć trochę tej nocy?

Oczywiście, że nie. Nie miała kiedy. Musiała się spakować, zabrało jej to zresztą żałośnie mało czasu, i spisać swoją rozmowę z zabójcą. Tym też nie musiała zajmować się zbyt długo.

Nie mogła zasnąć z powodu Lucasa. Myślała o nim z obawą i nadzieją. Przed oczami przesuwały się jej jak w kalejdoskopie różnobarwne wizje -czasami jasne i pogodne, czasami ciemne i ponure.

Największej nadzieją-a zarazem troską-było nie zawieść zaufania, nie rozczarować Lucasa. Musi pomóc wywabić bestię z ciemności i podprowadzić ją jak najbliżej łowcy, który teraz badawcze spojrzenie szarych oczu skupił na niej. Stała w pełnym świetle, z wyraźnie widocznymi na twarzy śladami nieprzespanej nocy.

- To chyba widać, prawda?

- Nie - odparł Lucas. - Tylko tak sobie pomyślałem...

Wierutne kłamstwo. Miała zaczerwienione oczy, a pod nimi głębokie cienie. Oczy Lucasa, też podkrążone, spoglądały jednak szczerze.

Czy w ogóle da się, myślała, oddzielić prawdę od jego zręcznych, wyrafinowanych kłamstw? Jeśli nie umiała znaleźć na jego twarzy oznak małych kłamstewek, jak rozpozna te wielkie i ważne?

- Cóż - mruknęła - nie co dzień dzwoni do mnie morderca. Aha, żebym nie zapomniała. Masz tu wszystko, co pamiętam z tej rozmowy. - Pogrzebała w kieszeni turkusowego płaszcza i wyciągnęła dwie starannie złożone kartki papieru.

- Świetnie. Spakowałaś się?

- Tak.

- Daj mi klucze. Zajmę się przeprowadzką, telefonem i zamknę drzwi.

- Och, dziękuję. - Galen sięgnęła do drugiej kieszeni. Jej palce wymacały znajomy kształt breloczka do kluczy: malutkie czerwone jabłuszko, żałosny symbol optymizmu i nadziei, jaką wiązała z pobytem w Nowym Jorku.

- To jeszcze jedna rzecz, której nie powinnam robić - powiedziała, ściągając z kółeczka klucze do swojego studia. - Dawać klucze od mieszkania każdemu, kto o to poprosi. - Mówiła lekkim tonem pokrywając zażenowanie.

Lucas nawet się nie uśmiechnął.

- Nie dajesz ich byle komu.

- Wiem...

Lucas nadal był poważny.

- Obserwujemy cię, Galen. Chodzimy za tobą. Wszędzie. To uciążliwe, ale konieczne.

- Czy ten zabójca może śledzić mnie w mieście?

- Chyba nie. Gdyby jednak spróbował, nie wolno nam tego przegapić.

- A czy teraz ktoś szedł za mną do pracy?

- Jasne. Ja.

Nic dziwnego, że czuła się taka bezpieczna.

- Ale on mnie nie śledził?

- Jeśli cię śledził, ja to przeoczyłem.

Nie wydawało się możliwe, żeby Lucas Hunter mógł cokolwiek przeoczyć. Ponadto miał jeszcze swój szczególny dar.

- Zauważyłbyś go, prawda? Wyczułbyś jego obecność, gdyby był w pobliżu.

- Niekoniecznie - wyznał spokojnie. - To zależałoby od tego, co by akurat czuł, robił i o czym myślał.

- Rozumiem - mruknęła.

Ale tak naprawdę nie rozumiała. Zmarszczyła brwi.

- O co chodzi? - zapytał miękko.

- Czy to znaczy, że mógłbyś z nim rozmawiać i nie wiedzieć, że to on?

- Tak.

W jego głosie zabrzmiała jakaś przepraszająca nuta. Galen pomyślała, że coś takiego już mu się zdarzyło. I że nadal go to dręczy. Pod chłodną maską widziała udrękę i gniew. Płomień ognia uwięziony w bryle lodu.

- Właśnie dlatego - ciągnął Lucas - stare, sprawdzone metody śledcze są takie ważne. Z tego względu nie wolno ci unikać nadzoru policyjnego, pod którym cały czas będziesz się znajdowała.

- Unikać nadzoru? Na przykład nie wymykać się wieczorami na potajemne wywiady z zabójcą? To do mnie niepodobne, wierz mi.

- Wierzę. - Mówił nie do dziennikarki, której zupełnie nie obchodziła własna popularność - dała świadectwo w niedzielny poranek - lecz do krawcowej zatroskanej losem małych dziewczynek w szpitalu. - Na wszelki wypadek przypomnij sobie, jaką drogą szłaś w sobotę ze swojego mieszkania do szpitala?

- Och! - Galen szybko przebiegła w myślach krótki, ale niebezpieczny odcinek. - Cóż...

Lucas zobaczył w jej oczach potwierdzenie swoich obaw. Była tak przejęta sprawą Rebeki, tak bardzo chciała jak najszybciej podzielić się z kimś swoimi podejrzeniami, że zupełnie zlekceważyła własne bezpieczeństwo.

- Więc?

- To była wyjątkowa sytuacja.

- Ta jest również wyjątkowa. Nasz wyjątkowo bezczelny morderca będzie chciał się z tobą spotkać. Domyśli się, że jesteś obserwowana, że rozmowy są nagrywane, w końcu zaś odkryje, że jestem przy tobie przez cały czas. Ale będzie mógł pisać do ciebie pocztą elektroniczną albo zapłaci jakiemuś dzieciakowi za doręczenie ci listu. Co napisze? Jak spróbuje przyłapać cię samą?

- Nie uda mu się. Wykluczone.

- Czyżby? A jeśli wciągnie cię do konspiracji?

- On naprawdę nie jest w moim typie - zażartowała, ale napotkała spojrzenie poważne, nieodgadnione i groźne. - W nic mnie nie wciągnie!

- Nawet jeśli zagrozi, że zabije kolejną kobietę, gdy odmówisz współpracy? Że czyjeś życie lub śmierć są w twoich rękach?

- Nie zrobi tego...

Oczywiście, że zrobi. Bez wątpienia. Niemal już słyszała dziką radość w elektronicznym głosie: „Z rozkoszą zabiję następną kochankę Lucasa, jeśli nie zrobisz tego, co ci każę”.

- Powiedz, Galen, jak postąpisz w takiej sytuacji?

Spotka się z nim. To oczywiste. Będzie konspirować z zabójcą, żeby wywieść policję w pole. Wie, że tak postąpi. I wie o tym człowiek o szarych oczach.

- Natychmiast do ciebie zadzwonię. Ale Lucas się nie uśmiechnął.

- Obiecuj mi to.

Ta prośba i towarzyszący jej wyraz oczu na moment pozbawiły ją tchu... Jakby jej zaufanie i zgoda na jego opiekę znaczyły dla niego więcej niż wszystko inne w życiu.

- Obiecuję.

- Dziękuję. - Jego spojrzenie nieco się zmieniło, choć pozostało surowe i poważne. - Spotykasz się z kimś?

- Czy się z kimś spotykam?

- Próbuję się zorientować, czy muszę jeszcze bardziej wdzierać się w twoje życie osobiste.

- Miałam zamiar opuścić Nowy Jork w poniedziałek rano.

- To nie wyklucza możliwości, że zostawiłabyś tu wiele złamanych serc. Prawda?

Czy on naprawdę wierzy, że ona jest zdolna się spustoszenie w męskich sercach? Jego oczy udzieliły jej zdumiewającej odpowiedzi. Tak!

- Nie sędzę. I nie spotykam się z nikim.

Lucas nagle złagodniał. Wyglądał na zadowolonego i usatysfakcjonowanego. Jako policjant, naturalnie.

- To twój nowy adres. - Wyciągnął z kieszeni czarnej skórzanej marynarki kawałek papieru. - Sześćdziesiąta Czwarta, między Lexington a Park Avenue, sześć przecznic na północ od miejsca, gdzie teraz mieszkasz.

Galen przypomniała sobie samotne przechadzki po eleganckiej Upper East Side. Była pewna, że w pobliżu miejsca, którego adres trzymała w ręce, nie było hoteli. Stały tam tylko ekskluzywne domy z eleganckimi apartamentami. Mieszkała w nich elita Manhattanu. Należał do niej ten łowca i arystokrata w jednej osobie.

- Prosta droga - powiedziała.

To prawda, zakładając, że kogoś zupełnie nie obchodziło, dokąd idzie.

- Kiedy mam się ciebie spodziewać?

- Między siódmą trzydzieści a ósmą.

- Okay. Do zobaczenia wieczorem.

Zabrzmiało to jak obietnica. To była obietnica.

Zobaczą się dziś wieczorem. W jego domu. I będą razem czekać na telefon od mordercy.

- Interesujący zwrot w sytuacji.

Głos wydawał się znajomy. Galen odwróciła się. Twarz też była znajoma, ale malował się na niej zupełnie nieoczekiwany wyraz obawy i troski - o nią! Niepasujący do Paula, jakiego dotąd znała. Natychmiast zaczęła podejrzewać jakiś podstęp, pułapkę. Ale to też do niego nie pasowało. Paul był szczery i bezpośredni. Galen uznała, że najlepszą obroną jest atak.

- Bardzo interesujący - przyznała pogodnie. - Kto by pomyślał, że kiedy doszczętnie zniszczyłam swoją wiarygodność jako dziennikarka, seryjny morderca postanowił mnie uratować? Z dobroci serca? Zbyt piękne, aby było prawdziwe.

- Może tak - odparł Paul rzeczowo - a może nie. Ten zboczeniec coś knuje. Uważaj, Galen. Naprawdę na siebie uważaj. Tym razem nie żartuję.

- Tym razem?

- No dobrze, przyznaję, zachowywałem się jak dupek.

- Dlaczego? - zapytała Galen, jeszcze nieufna, ale już prawie przekonana.

- Dlaczego wyładowywałem na tobie złość? Nie wiem. Nadawałaś się do tego. Byłaś taka delikatna, bezbronna i w dodatku zawsze pod ręką.

Galen znowu zobaczyła na jego twarzy widywany tak często wyraz pogardy. Tym razem do samego siebie.

- Złość - powtórzyła. - Na co?

- Na śmierć. Zabójstwa. Śmierć Marianny McLain była wystarczającym bezsens. A osiem dni później zaczął się prawdziwy bezsens.

Osiem dni później, w noc, kiedy zabójca kobiet uderzył po raz pierwszy, bestialsko mordując młodą, zdolną prokurator.

- Znałeś Kay?

- Tak, poznaliśmy się, kiedy pracowałem dla departamentu policji. Kay korzystała z moich zdjęć podczas różnych śledztw. Robiłem czasem coś w rodzaju kolaży, pomocnych przysięgłym w lepszym zrozumieniu szczegółów związanych z przestępstwem. - Paul urwał i zmarszczył brwi, jakby na chwilę stracił wątek albo opadły go wspomnienia o Kay. Kiedy się odezwał, jego spojrzenie było ostre i poważne. - Uważaj na siebie, Galen.

- Oczywiście - zapewniła go. - Nic mi się nie stanie. Jak widzisz, policja bardzo się w to zaangażowała.

Paul nie wydawał się przekonany. Uśmiechał się gorzko.

- To mnie właśnie niepokoi.

- Co?

- Uważaj przede wszystkim na Lucasa Huntera. Zrobi wszystko, żeby dostać tego drania. - Miał rozbiegane spojrzenie. Dodał z naciskiem: - Lucas Hunter nie zna litości, Galen. Jest niebezpieczny. Pamiętaj.

## 9

Lucas był w połowie drogi do biura Viveci, kiedy zatrzymał go Adam. - Masz chwilę?

- Jasne. O co chodzi?

Adam poprowadził go do swego pokoju i zamknął drzwi.

- Powinieneś wiedzieć o paru rzeczach, o których Viveca może ci nie powie.

- Albo ja nie dam jej do tego okazji?

- To też - przyznał Adam. - Wiem, że napsuła ci kiedyś trochę krwi. Z wzajemnością zresztą.

Zepsuta krew. Zła krew. Kiedyś. Zawsze.

- Wiesz, jak było.

Lucas był pewien, że Adam nie wiedział o jego spotkaniu z Vivecą sprzed szesnastu lat. W porównaniu z całą resztą wydawało się ono mało ważne. Adam znał zaś „całą resztę” i miał absolutną rację, że Lucas ani myślał dać Vivece okazję do jakichkolwiek wyjaśnień.

- Tak - powiedział Adam poważnie. - Chyba wiesz, iż pokrewieństwo Viveci z Brandonem odkryliśmy dopiero wtedy, gdy Marianna i Viveca zostały przyjaciółkami. Zresztą trudno winić Vivecę za psychopatyczne występki jej kuzyna. Nie było łatwo, aleśmy się z tym uporali. Wszyscy. Nie wyłączając Nancy i Johna. No właśnie, o tym chciałem z tobą pomówić. O Johnie i... Galen.

- O Johnie i Galen?

- I o Mariannie. Jak pewnie wiesz, Marianna ostatni raz pojawiła się na wizji w wigilię Święta Dziękczynienia.

- Pamiętam - powiedział Lucas. Zmusił się wtedy do obejrzenia wiadomości. Widział odwagę i wdzięk tej chorej kobiety, którą znał jeszcze jako dziewczynkę.

- Uparła się, żeby pracować. Przekraczało to jej siły i było bardzo nierozsądne. Sądziłyśmy, że nie przeżyje czterech dni świątecznego weekendu. Ja i Nancy postanowiliśmy spędzić go z Johnem i Marianną w ich domu. Było bardzo miło, tyle że Marianna chciała oglądać telewizję. Myślę, że uciekała w ten sposób od choroby i pewnie też od nas. Przeskakiwała z kanału na kanał, aż znalazła ten, który ją zainteresował: Gavel-to-Gavel. Nadawali właśnie powtórkę z rozprawy Północna Karolina przeciw Vernon. Wszyscy zaczęliśmy to oglądać, a kiedy spojrzeliśmy na Mariannę, zobaczyliśmy mały cud. Rozbłysła w niej ostatnia iskra życia. Żyła jeszcze całe dwa tygodnie. Ta sprawa trzymała ją przy życiu. I ta dziennikarka.

- Galen.

- Galen. - Adam umilkł. Po chwili dodał cicho: - Marianna zmarła kilka godzin po ogłoszeniu werdyktu.

- I po tym, jak stwierdziła, że chce by Galen została jej następczynią w KCOR?

- Tego nie wiem, choć na pewno decyzja Johna o zatrudnieniu Galen miała związek z emocjami.

- Więc to nie była dobra decyzja? Adam na chwilę zaniemówił.



- Powiedzmy, że ryzykowna. Galen jest reporterką o dość wąskiej specjalizacji. Bardzo się angażuje, ale przywykła prowadzić tylko jedną sprawę naraz.

- Była dobra?

- Jako reporterka Gavel-to-Gavel? Rewelacyjna.

- Wie, dlaczego tu się znalazła i ile znaczyła dla Marianny?

- Nie sądzę. Ja jej nie powiedziałem. Wątpię, czy zrobił to John lub Viveca. Galen i tak jest pod ogromną presją.

- Kiedy ostatnio rozmawiałeś z Johnem?

- Wczoraj rano.

- A później już nie? Pewnie ty i Viveca natychmiast usłyszeliście o wiadomości, jaką zabójca zostawił nocnemu operatorowi KCOR?

- Tak, oboje zostaliśmy powiadomieni.

- Zakładam więc, że znając zamiary zabójcy i zaangażowanie Johna, jeśli chodzi o sukces Galen w KCOR, też daliście mu znać.

Adam zawahał się.

- Próbowaliśmy. Ale wczoraj wieczorem nie było go w domu. W każdym razie nie odbierał telefonu.

I nie otwierał drzwi, dodał w myślach Lucas. Także chciał wczoraj z nim porozmawiać, lecz nie przez telefon. Pragnął spojrzeć w oczy człowieka, który zaledwie kilka godzin przed telefonem zabójcy do Galen odczuł niepokój, a nie ulgę, na wieść ojej rezygnacji.

- Dzisiaj - dorzucił Adam - jeszcze się nie pojawił.

- Gdzie może być?

- Nie wiem. - Adam mówił z troską. - John ma poważny problem. Po tym wszystkim, co przeszedł w życiu i czego dokonał, nie udało mu się ochronić jedynej istoty, która naprawdę się dla niego liczyła. Śmierć Marianny zupełnie go załamała. W przeciwieństwie do Nancy, kompletnie sobie z tym nie radzi. Zresztą trudno sobie wyobrazić Johna zachowującego się jak Nancy.

- To znaczy?

- Śpiącego dwadzieścia cztery godziny na dobę. Według wielu specjalistów to niezły sposób na uporanie się z traumatycznymi przeżyciami. Podczas snu, nawet wywołanego tabletkami nasennymi, podświadomość zмага się z poczuciem straty i, akceptuje je. To rodzaj ucieczki, tak niepodobny do Nancy... Zresztą na początku zbyt wiele od siebie wymagała. Dopiero Brynne ją

zachęciła... - Urwał i zmarszczył brwi. - Brynne była lekarzem Marianny. Ale nie zniknęła z naszego życia po jej śmierci. Zajęła się psychologią Nancy i jej zdrowiem fizycznym. Nancy jeszcze nie wie, że Brynne została zamordowana. Nie słyszała o żadnym z tych strasznych zabójstw. Przespała cały ten koszmar. To może być dla niej prawdziwym błogosławieństwem.

- Tak - zgodził się Lucas. - Możliwe.

- W każdym razie od sześciu miesięcy, jakie minęły od śmierci Marianny, John odmawia przyjęcia jakiegokolwiek pomocy. Jestem pewien, że prawie nie sypia. Wątpię czy znajduje wytchnienie podczas tych swoich ucieczek. Często teraz znika.

- Znika?

- Na kilka godzin. Czasem na kilka dni.

- A jak, twoim zdaniem, zareagowałby na wiadomość, że Galen odeszła?

- Skąd odeszła?

- Z KCOR.

- Och! - Adam potrząsnął głową. - Czułby się tak, jakby zawiódł Mariannę. Znowu.

- Nie ma Johna?

- Nie - odparła Viveca. - Nie będzie go dzisiaj.

Lucas czekał na jakieś wyjaśnienie, ale najwyraźniej nie miała zamiaru mu go udzielić.

- Więc, czego chcesz? - zapytał.

- Tego samego co ty. KCOR zobowiązała się do pomocy w ujęciu tego zbrodniarza.

- Przy okazji zwiększając swoje notowania.

- Nie przeczę. To chyba nie zbrodnia. Ta sprawa może przynieść korzyści nam wszystkim, zakładając, że niczego nie zepsujesz.

- Uwważaj! - Zimny głos Lucasa zabrzmiał ostrzegawczo. Przebiegł ją dreszcz. Tak jak tamtej jesiennej nocy szesnaście lat temu.

- Mogło być naprawdę wspaniale, nie uważasz? Ciągłe nie mogę uwierzyć, że nagle, nie wiadomo skąd, pojawił się tam ten idiota i...

- ...I wyjawiał, kim jesteś?

- Niby kim? Osobą lojalną wobec rodziny? Sam tyle gadasz o lojalności, więc jak śmiesz! - Viveca była wściekła. Nagle zmieniła ton. - Prawie udało mi się wtedy cię uwieść. Przyznaj się. Niewiele brakowało, a poszlibyśmy do łóżka.

Lucas nie miał zamiaru do niczego się przyznawać.

- A potem co? Namiętny weekend, w czasie którego miałem zapomnieć o poniedziałkowej rozprawie dotyczącej warunkowego zwolnienia twojego kuzyna Brandona?

Jego sceptycyzm na nowo ją rozwścieczył. A nie powinien. Viveca doskonale wiedziała, jak bardzo jest pociągająca.

- Tak-syknęła.

- A gdyby ci się nie udało?

- Bo twoim zdaniem nie mogło się udać?

Lucas odpowiedział kamiennym spojrzeniem szarych oczu. Tania uwodzicielka!

- Naprawdę chcesz znać mój plan na taką okoliczność?

- Jasne.

Viveca wzruszyła ramionami.

- Czemu nie? Miałam trochę kwasu w torebce.

- Kwasu? Chodziło ci o moje gardło czy oczy?

- O twój mózg, idioto. To było LSD.

Lucas z trudem powstrzymał śmiech. LSD nie wywołałoby pożądaných przez Vivecę rezultatów. Na studiach wypróbował na sobie różne specyfiki. Okazało się, że prawie nic nie robi na nim wrażenia. To skutecznie zniechęciło go do dalszych eksperymentów.

Viveca dostrzegła cień uśmiechu na jego twarzy i poczuła się pewniej.

- Zdobyłabym cię wtedy. I byłoby nam razem dobrze. Wiesz o tym.

- Wiem tylko, że miałem dwadzieścia lat i byłem zalany w trupa. Każda kobieta mogła mnie zdobyć.

Sukinsyn.

- Tak jak i teraz, prawda? To dlatego zabójca z Manhattanu ma w czym wybierać?

Wyraz jego twarzy zmienił się. Gdyby nie fakt, że Lucas przebywał w Australii, Viveca serio zaczęłaby się zastanawiać, czy przypadkiem nie zabił swoich kochanek.

- A teraz posłuchaj, jak to będzie wyglądało. Ja decyduję, co wolno emitować, a czego nie wolno. Moje decyzje będę konsultował tylko z Ga-len. Do trzeciej po południu dam jej znać, jakie informacje podacie dziś wieczorem. I jeszcze jedno. Galen nie przeprowadzi wywiadu z Brandonem. Ani ona, ani nikt inny z KCOR.

Viveca wzniosła do nieba wypielegnowane dłonie.

- Pierwsza Poprawka nic dla ciebie nie znaczy? Oczywiście, że nie. To tylko wymysł tych zdegenerowanych kolonistów.

- To nie ma nic wspólnego z Pierwszą Poprawką.

- Ach, więc tu chodzi o coś głębszego. A może świętszego? O osobistą wizję sprawiedliwości Lucasa Huntera, zgodnie z którą Brandon pozostałby w więzieniu na zawsze.

Nie, pomyślał Lucas. Zgodnie z którą byłby martwy.

- Kieruję się profesjonalizmem, a nie osobistymi pobudkami. Zajmując się sprawą zabójcy kobiet, KCOR nie może gościć u siebie innego mordercy.

- Mój kuzyn nie jest mordercą. To był wypadek, Lucas. Wypadek!

- Wypadek? Gwałt i morderstwo dokonane na dwunastoletniej dziewczynce! Jenny została zamordowana. Brandon chciał ją zabić. Planował to.

- Coraz lepiej! Wierzysz, w co chcesz. Jak zawsze.

- Wierzyła w to również Marianna. I Nancy. Tego zimowego dnia obie były w Chatsworth. Przyjaźniły się z Jenny. Widziały, co jej zrobił. Zapewniam cię, jeśli jeszcze to do ciebie nie dotarło, że ten koszmar nigdy nie zostanie puszczony w niepamięć. Gdybyś wykazała choć odrobinę lojalności wobec Marianny albo Nancy, dopilnowałabyś, żeby noga Brandona Christiansona nie powstała w KCOR. Nigdy.

Miał rację. Jego słowa trafiły w czuły punkt. Viveca od dawna była rozdarta między poczuciem wierności wobec swojej prawdziwej rodziny a lojalnością wobec przybranej rodziny w KCOR - Marianny i Nancy, Adama i Johna... Zwłaszcza wobec Johna.

Kiedy w końcu się zdecyduje, pomyślała, jeśli się zdecyduje... Kurczowo trzymała się tego „jeśli”. Brandon od dłuższego czasu mówił, że jest gotów ujawnić swoją tożsamość, nie pomijając przy tym roli, jaką odegrał w tamtym wypadku, w tragedii, która kosztowała Jenny życie. Nie liczył się zupełnie ze skutkami ujawnienia tych rewelacji. Uważał, że nadal będzie czytany i podziwiany, może nawet bardziej. Viveca też w to wierzyła. Brandon chciał udzielić tego sensacyjnego wywiadu jej - czy też stacji KCOR -ale Viveca wiedziała, że kiedy przyjdzie co do czego, telewizyjna rodzina wygra, ona zaś powie Brandonowi: „Dziękuję, ale nie”.

Lucas miał rację. Ale Viveca Blair nie miała zamiaru mu jej przyznać.

- Nie umiesz wybaczać, co?

- Nie wybaczam tego, co jest niewybaczalne.

- Mówią, że czas leczy rany.

- To mit.

- Nadal nie widzę powodu, żeby nie przeprowadzić z Brandonem wywiadu.

- Morderstwa to wystarczający powód. Zabójca kobiet nie chce dzielić swojej sławy z nikim innym. Wszystko, co odciągnie uwagę od niego, na przykład wywiad z innym mordercą, może go sprowokować do kolejnego czynu. Ze względu na bezpieczeństwo potencjalnych ofiar...

- Twoich przyjaciółek.

Lucas zacisnął zęby. Kiedy się odezwał, mówił już zupełnie spokojnie.

- Chcę, aby wywiad z Brandonem Christiansonem został odłożony do czasu, aż ten potwór, który grasuje teraz w mieście, znajdzie się za kratkami. Albo pod ziemią.

- Zgoda. - W drzwiach rozległ się znajomy głos.

- John - szepnęła Viveca. I dodała szybko: - Niczego Brandonowi nie obiecywałam. Wierz mi. Nigdy nie zobowiązałam się bez przedstawienia sprawy tobie. Przecież wiesz.

- Tak, Viv, wiem.

John McLain uśmiechnął się blado. Był to cień uśmiechu na twarzy kogoś, kto sam był cieniem człowieka.

Lucas mógł przekonać się na własne oczy, że Adam mówił prawdę. John McLain przeżył żonę, ale wyglądało na to, że sam stoi nad grobem.

- Witaj, John.

- Lucas... ten list... który dostałem od ciebie po śmierci Marianny... wiele dla mnie znaczył. Nie wiedziałeś o tym, prawda? Ja... miałem zamiar odpisać, ale...

List z podziękowaniem w odpowiedzi na list z kondolencjami? Lucas nie pamiętał, co na ten temat piszą w podręcznikach savoir-vivre 'u. Wiedział tylko, że John nie powinien się tym zadrećcać. Jeszcze i tym.

- To bez znaczenia, John.

- Dziękuję.

- Nie ma za co - powiedział Lucas cicho i z powagą. - Zdaje się, że Galen nie odejdzie z KCOR.

- Co to znaczy „nie odejdzie”? - Viveca była kompletnie zaskoczona. John nie spuszczał podkrążonych oczu z Lucasa.

- Tak ci powiedziała?

Lucas miał przed sobą człowieka, który stracił wszystko, co było do stracenia. A przynajmniej tak sądził jeszcze wczoraj, kiedy dowiedział się, że kobieta wyłowiona przez jego umierającą żonę spośród tysięcy twarzy pojawiających się na ekranie telewizora, zamierza odejść z jego stacji.

- Tak, John. Tak mi powiedziała.

## 10

Budynek, w którym znajdował się apartament Lucasa, był wąski, lśniący i wzbijał się w niebo Manhattanu na wysokość dwudziestu dwóch pięter. Wejście nie wyglądało jednak szczególnie imponująco - stalowe

drzwi w obramowaniu zimnych, granitowych płyt. Galen doszła do wniosku, że to wejście dla dostawców. Albo dla służby. Miało domofon, kamerę wideo i tabliczki z nazwiskami lokatorów w mosiężnych ramkach. Na jednej z nich widniał napis „L. Hunter”. Galen pomyślała, że gdzieś w pobliżu znajduje się główne wejście z elegancką markizą, strzeżone przez portiera w liberii i prowadzące do ekskluzywnego holu, całego w lustrach i marmurach. Już miała ruszyć na poszukiwanie, kiedy stalowe drzwi otworzyły się z cichym szcękaniem i stanął w nich L. Hunter. On też wyglądał jak ze stali i granitu.

- Udało ci się.

- Tak.

Przecież wiedział, że tak będzie, pomyślała. Tak jak zapowiedział, od chwili gdy opuściła stację, była nieustannie obserwowana i ochraniana. Z pewnością odebrał przed chwilą meldunek: „Nikt jej nie śledzi, panie poruczniku. Będzie pod drzwiami za pięć minut”.

- Nie byłam pewna, czy to właściwe wejście.

- Tak. To jedyne wejście. Proszę dalej.

Hol, ukryty przed oczami przechodniów dyskretnie oświetlony przyćmionym światłem i urządzone ze smakiem był olśniewający. Lucas skierował się do wind i zatrzymał przy ostatnich mosiężnych drzwiach.

- Proszę.

W windzie nie było przycisków, tak jak w najlepszych restauracjach menu nie informuje o cenach dań. Ta winda najwyraźniej służyła tylko najlepszej klienteli.

Apartament Lucasa znajdował się na dwudziestym drugim piętrze i tam właśnie prywatna winda sama się zatrzymała. Mosiężne drzwi otworzyły się, ukazując oczom Galen ogromne pomieszczenie, które było salonem, jadalnią i kuchnią jednocześnie. Wszystko było śnieżnobiałe, z wyjątkiem połyskującego nierdzewną stałą wyposażenia kuchni.

Nieskalana biel mogła sprawiać zimne i nieprzytulne wrażenie. Ale Galen odczuwała spokój, jak pośród czystego, świeżego śniegu. Biały, miękki dywan. Żadnych śladów przemocy i gwałtu. Tylko migotliwe morze światła miejskich w dole i usiane gwiazdami niebo w górze.

- Pięknie tu - mruknęła, kiedy Lucas pomagał jej zdjąć turkusowy płaszcz. -1 tak spokojnie.

- Cieszę się, że ci się podoba. Mam nadzieję, że poczujesz się jak u siebie w domu.

Jak w domu? Tylko z tobą? -Na pewno.

- Nie bardzo umiesz kłamać, wiesz o tym?

- Wiem.

- To komplement, Galen.

Może lepiej, gdyby od razu się przyznała, że od ponad dziesięciu lat z nikim nie mieszkała. Ale Lucas odezwał się pierwszy.

- Przyzwyczaiałem się do życia w samotności. Ty też. Ale będziemy tu przez jakiś czas razem z powodu, dla którego warto podjąć taki trud. Co do tego jesteśmy zgodni.

- Bez wątpienia.

- Czemu nie mielibyśmy spędzić tego czasu jak najmilej? Ja traktuję to trochę jak przygodę.

Galen rozejrzała się po wielkim, śnieżnym królestwie należącym do człowieka, który właśnie wyznał, że przywykł do samotnego życia. Lucas Hunter, związany przecież z najpiękniejszymi kobietami Manhattanu, musiał być samotny z wyboru. Ale teraz nie miał wyboru. Zabójca pozbawił ich oboje wolnej woli.

Przygoda. Z nim. Czemu nie? Są przygody i przygody. Podróż wielkim, pięknym transatlantykiem o dźwięcznej nazwie „Titanic” można by uznać za przygodę, gdyby nie góra lodowa. Mieszkanie z Lucasem w tej śnieżnej krainie to przygoda i zarazem spotkanie z górą lodową. Podnieca i budzi przerażenie.

Galen zadrżała. Pod wpływem chłodu z Atlantyku? Czy pod czułym spojrzeniem szarych oczu? Jedno i drugie było niebezpieczne. Odpowiedziała jednak z uśmiechem:

- Czemu nie.

- W porządku. Pomyślałem, że mogłabyś właśnie tutaj rozłożyć kramik.

Dopiero teraz Galen dostrzegła otwarte tekturowe pudła opatrzone napisami: „Lalki”, „Materiały”, „Wzory”, „Nici” - piętrzące się na śnieżnym dywanie. Obok stały oba żelazka, duże i małe, jak matka z dzieckiem.

- Odkurzałeś tu.

- Czyżby?

- A nie?

Zorientowała się, że również przemeblował to pomieszczenie tak, by układ mebli przypominał jej małe mieszkanie. Witając ją, chciał, żeby zamieszkała w jego domu. „Lucas Hunter zrobi wszystko, by dostać zabójcę”, powiedział Paul. Ostrzegając ją. „Zrobi wszystko, co okaże się konieczne”. A więc także przemebluje pokój i odkurzy dywany.

- Jak poznałaś, że sam odkurzałem?

- Po odciskach stóp, poruczniku.

- Aha. - Przekrzywił głowę i przez chwilę przyglądał jej się bacznie szarymi oczami. -1 po czymś jeszcze?

- Owszem - przyznała się Galen. - Sprzątaczką odkurzającą takie mieszkanie zrobiłaby to symetrycznie.

- Symetrycznie...

- Geometrycznie. Zostawiłaby na dywanie wzór składający się z trójkątów, prostokątów albo kwadratów.

- Pani Chandler, ma pani przed sobą świetną przyszłość jako detektyw.

- Prawdę mówiąc, mam za sobą przeszłość sprzątaczką. Muszę przyznać, że moje wzory bywały czasem bardzo udane.

- A co byś tu zrobiła?

- Chwileczkę, niech pomyślę. - Galen wyobraziła sobie zimową scenę: dzieci lepiące bałwana, łyżwiarzy na zamrożonym stawie, w oddali sunący kulig, a na pierwszym planie małe sanki z zaprzężonym koniem. Zbyt tłoczno, stwierdziła. Jest radosny, ale dziwnie zakłóca nieskazitelną, tchnącą spokojem biel. Wystarczy wzór utworzony ze śladów miękkich łap pantery na śniegu. - Najpierw pozwoliłabym odkurzyć, tak właśnie jak to zrobięś, a potem dodałabym śnieżnego anioła. A może nawet dwa.

Moglibyśmy zrobić więcej aniołów, dodała w myślach. Smukłych i eterycznych - moich; silnych i opiekuńczych - twoich.



- Proszę bardzo. - Powiedział to takim tonem, że po raz pierwszy w życiu doznała dziwnego skurczu serca. Rozczulenia i lęku.

- Salon zapchany lalkami Barbie. To chyba wystarczy!

Pomyślał, że to bardzo miła wizja. Przyszło mu to do głowy już wcześniej, gdy zjechały tu kartonowe pudła. Obraz Galen szyjącej wieczorami w jego towarzystwie był tak kuszący, że Lucas, karygodnie gwałcąc prywatność swego gościa, sam pootwierał starannie oznakowane pudełka, żeby przypadkiem zaraz ich nie zabrała do swojej sypialni. I nie zamknęła się z nimi przed nim.

- Naprawdę chciałbym, żebyś się tu rozgościła. - Było to zarazem grzeczne polecenie i żarliwa prośba.

- Pod warunkiem - że powiesz, kiedy ta przygoda przestanie cię bawić.

- Zgoda. - To nigdy nie nastąpi, pomyślał. - A propos przygód... Gdyby zaostrzyły nam apetyt, mamy tu mnóstwo jedzenia. Pozwoliłem sobie zajrzeć do twojej lodówki.

- Pustki.

- Kompletne.

- Przegryzam coś zwykle na mieście.

- Tak jak ja. Ale zrobiłem trochę zapasów. Chodź.

Galen poszła za nim do kuchni. Na lśniącym granitowym blacie pysznił się bufet pełen niespodzianek. Wszystko - od płatków owsianych po kawior- sprowadzono specjalnie dla niej. Reszta zapasów, poinformował Lucas, znajdowała się w błyszczącej, stalowej lodówce.

- Możemy też zamówić coś przez telefon. - Wskazał stertę kart z najlepszych restauracji na Manhattanie, takich, co to nigdy nie umieszczają cen. Przynajmniej w jadłospisie wręczanym damie.

Damie Lucasa Huntera.

A teraz porucznik sugeruje, że zaraz mogą tu dostarczyć zestaw wyszukanych dań od „Jean-George'a" albo „Le Cirque" czy też z „Cafe des Artistes". Czemu nie?

- Dziś także możemy coś zamówić, jeśli chcesz. Chyba że jesteś zbyt zmęczona.

- Obawiam się, że tak. Batonik i filiżanka herbaty w zupełności wystarczą. Ale, oczywiście, nie powinieneś się mną krępować... - Galen wzruszyła ramionami.

Lucas uśmiechnął się.

- Naturalnie. Pokażę ci tylko resztę mieszkania. Potem zjesz swój batonik i spokojnie pójdziesz spać.

Drugie skrzydło apartamentu składało się z pięciu pokoi. Dwa z nich, zamknięte, znajdowały się na przeciwległych krańcach zaokrąglonego holu. Trzy środkowe miały lekko uchylone drzwi. Dwa były puste, tylko podłogę pokrywał dywan jak świeżo spadły śnieg. Lucas otworzył drzwi do trzeciego i bez słowa zaprosił ją do środka.

Dywan też był tu śnieżnobiały, lecz we wnętrzu dominowały żywe barwy. Na ścianie wisiła gigantyczna mapa Manhattanu, marzenie każdego turysty. Całe pomieszczenie wypełniały segregatory, kolorowe i starannie oznakowane przez kogoś, kto zajmował się sprawą zabójcy kobiet i uważał widocznie, że składanie danych, dotyczących ofiar, w segregatorach o różnych kolorach miało jakiś sens. Segregator Kay był liliowy, Marcii złoty, a Brynne w kolorze krwistej czerwieni, co mówiło samo za siebie.

- Kwatera główna - mruknęła Galen, rozglądając się po pokoju. Mieściło się tu centrum dowodzenia nieporównywalne z żadnym innym,

podniebna baza, w której porucznik Lucas Hunter przygotowywał strategię swojej prywatnej wojny z mordercą. Cztery pineski wpięte w mapę wielkiego pola bitwy wskazywały miejsca, gdzie ofiary zabójcy, mieszkały, kochały i zginęły. Galen zauważyła ślad po piątej pinesce. Wskazywał miejsce sześć przecznic dalej - dom, w którym mieszkała.

- Szukasz jakiegoś wzoru - powiedziała zwrócona w kierunku mapy. - Jakiejś metody. - Oglądała kiedyś film, w którym morderca wybierał ofiary według miejsca zamieszkania. Po połączeniu tych punktów na mapie powstawał rysunek konstelacji Wodnika.

- Tak.

- Ale on wybrał mnie tylko dlatego, że jestem beznadziejną prezydentką.

- Tak przynajmniej powiedział. - Spojrzała w jego nieprzeniknioną twarz.

- To pewnie łgarz pierwszej klasy. Nie on jeden.

- Najprawdopodobniej.

Galen przeniosła wzrok na kolorowe segregatory, starannie oznaczone etykietami. Jeden z nich zawierał kopie oryginalnych raportów policyjnych z miejsc zbrodni.

- Myślałam, że wszystko, może z wyjątkiem informacji o śmierci Brynne, zostało zebrane w bazie danych.

- Rzeczywiście.

- Ale ty nie ufasz... - Chciała dodać: „komputerom”, lecz stwierdziła, że to głupie. Według Rosalyn St. John, Hunter miał znaczące udziały w kilku dużych firmach produkujących oprogramowania. Na komputerach można polegać. Ufać im. Podczas gdy ludzie... - Przeglądasz oryginały dokumentów na wypadek, gdybyś dostrzegł albo wyczuł coś, co mogło umknąć w procesie przetwarzania danych.

- Pod warunkiem żebym dostrzegł - uściślił Lucas. - Już ci mówiłem. Moja zdolność wyczuwania mordercy jest dość ulotna. Stare, sprawdzone metody śledcze mają przewagę nad czarną magią.

Czarna magia, pomyślała Galen. Czarnoksiężska sztuka sprzężona z siłami zła. Dar, który jest zarazem przekleństwem. I wczoraj wieczorem, i dziś rano Lucas wspominał o uczuciach, jakie wzbudza w nim ten szczególny talent, o pogardzie, jaką czuje do zła, które ściga. Nie może go przywołać ani powstrzymać magicznym zaklęciem. Zło przychodzi do niego na swych własnych warunkach, kierując się własnym kaprysem... A co gorsza, kaprysem mordercy.

Samotna udręka. Samotna, prywatna wojna. Do dzisiaj. „Potrzebuję twojej pomocy”, powiedział.

- Czy mogłabym przejrzeć te raporty?

- Dobrze by było. Możesz zresztą dostać do wglądu wszystko, co się tu znajduje. - Przerwał i po chwili dodał: - Nie ma jednak sensu, byś oglądała zdjęcia z miejsc zbrodni. Jeśli je raz zobaczysz, nie będziesz w stanie wyrzucić z pamięci. A przecież musisz rozmawiać z tym człowiekiem, walczyć z nim, grać.

Walczyć? Grać? Może się przekomarzać? Nie umiałyby. Z żadnym mężczyzną. Okropne zdjęcia nie miały z tym nic wspólnego.

- Ale ty oglądałeś te fotografie.

I to dokładnie. Kto wie, zastanawiała się, czy aż do dzisiejszego popołudnia nie wisały tu policyjne odbitki zdjęć jego kochanek z poderżniętymi gardłami, przebitymi oczami i rozciętymi na krzyż sercami.

- To moja praca - odpowiedział.

- Moja też. Jeśli nie zobaczę zdjęć tych kobiet, to z powodu tego straszego losu, jaki je spotkał, będę się czuła tak, jakby to one były potworami.

- Mamy do czynienia tylko z jednym potworem, Galen.

- Może po obejrzeniu zdjęć jeszcze bardziej będę chciała go dopaść.

- Naprawdę? Potrzebujesz dodatkowej podniety? Sam fakt dokonania morderstwa nie wystarczy?

- Oczywiście, że wystarczy. Tylko że...

- Nie - powiedział Lucas łagodnie ale stanowczo. - Twoim zadaniem, Galen, jest z nim rozmawiać.

- Już dzisiaj?

- Raczej nie.

- Ale wiesz mniej więcej kiedy?

- O trzeciej trzynaście nad ranem. W niedzielę. - Uśmiechnął się gorzko. - Jak widzisz, wiem raczej więcej niż mniej.

- To wtedy zamordował Brynne... Ty to czułeś...

- Tak.

Galen zadrżała. Lucas musiał to zauważyć. Jeszcze pomyśli, że się go przelękała. Jego czarnej magii. Wydawało jej się, że cofa się przed nią, choć w rzeczywistości nawet się nie poruszył. Wycofał się tylko w głąb własnego wnętrza, w nieprzeniknione ciemności, w lodowatą pustkę, gdzie oprócz zła i śmierci nie było nic.

- Chodź, pokażę ci twój pokój.

W holu Lucas wskazał dwoje zamkniętych drzwi po prawej stronie.

- Ja tu. A ty tam.

Czyli na drugim końcu holu. Jak najdalej od jego sypialni w tym podniebnym pałacu.

Oba pokoje dzieliła rzeczywiście znaczna odległość. Nawet gdyby zajmowali najbardziej luksusowe apartamenty w pięciogwiazdkowym hotelu, ich sypialnie znajdowałyby się bliżej siebie. W budynku, w którym mieściła się jej kawalerka, przestrzeń taką zajmowało dziesięć mieszkań.

Tu jednak, w tej przystani pod sklepieniem nieba, dystans ten zdawał się maleć z każdą chwilą. Przechadzka do jej sypialni była jak spacer po śniegu w zimowej głuszy. Kiedy zaś tam dotarli, nastąpiła wiosna. Pastelowa, liliowa, tej samej barwy lawendy, co workowaty szlafrok, który Galen miała na sobie wczorajszego wieczoru. Zupełnie niespodziewana wiosna zawitała przedwcześnie tego styczniowego dnia specjalnie dla niej. Lucas wykazał tyle troski, z wyjątkiem troski o... kosztą, jakie pociągnęła za sobą ta magiczna metamorfoza dokonana za ledwie w ciągu jednego dnia. Zrobił to dla niej. Żeby dobrze się czuła podczas przygody z czarami i śmiercią.

W tej pastelowej przystani na razie nie było śmierci, tylko czary: wielkie łożo z baldachimem w kolorze hiacyntu, wyściełane liliowe krzesła, marmurowa łazienka zawieszona miękkimi ręcznikami o tej samej kolorystyce.

„Lucas Hunter nie zna litości. Zrobi wszystko, by dostać mordercę”. Słowa Paula zaczęły ją prześladować. Paul nie przesadzał. Mówił prawdę. Galen też powiedziała prawdę:

- Tu jest ślicznie.

- Pomyślałem, że ci się spodoba.

Jego słowa dobiegały jakby z oddali. Czy mówił prawdę? Czy się tego kiedykolwiek dowie?

Oderwała wzrok od jego nieprzeniknionej twarzy i zauważyła telefon. Był koloru lawendy. W pozostałych pomieszczeniach stały dwa aparaty, lawendowy i biały, każdy z parą przenośnych słuchawek. Tu, w jej sypialni, był tylko jeden.

- Mój numer został przeniesiony na te lawendowe telefony?

A ty, oczywiście, rozmawiasz przez te śnieżnobiałe, zimne jak bryłka lodu.

- Tak, wszystko będzie nagrywane, łącznie z pierwszym sygnałem, jeszcze zanim podniesiesz słuchawkę. Zaraz z pierwszym dzwonkiem podejmiemy próbę namierzenia mordercy. Pewnie daremną.

- Sprytne.

- Praktyczne.

- A słuchawki?

- Będę przez nie słucał. Włączą się automatycznie, gdy podniesiesz słuchawkę. Żadnych niepożądanych dźwięków.

- Sprytnie - mruknęła Galen. - On wie, że będziesz słucał, prawda?

- Tak.

- Mimo to nie chce rozmawiać z tobą bezpośrednio.

- To dla niego zbyt prozaiczne. - Lucas podejrzewał, że prawda jest znacznie gorsza. Zabójca najwyraźniej miał zamiar czerpać przyjemność z dyrygowania Galen jako pośredniczką. - Z jeszcze jednego powodu powinniśmy w czasie rozmów być razem.

- Żebyś mógł mi podpowiedzieć, co mam mówić.

- Nie, zwłaszcza na początku. Może później poproszę cię, żebyś mu napomknęła o pewnych sprawach. Chcę sprawdzić, jakie to na nim zrobi wrażenie. Miałem na myśli to, że im bliżej będę ciebie, tym bardziej zbliżę się do niego. To chyba dość sensowne, o ile cokolwiek w tym wszystkim ma jakiś sens.

Galen znów usłyszała nutę powątpiewania, jaka pojawiała się w jego głosie, gdy mówił o swoim magicznym darze - talencie lub przekleństwie -który pozwalał wywabiać morderców z cienia.

- Na razie - kontynuował czarnoksiężnik - powinnaś rozmawiać z nim tak, jakby mnie tu nie było. Będę w pobliżu, ale postaram się nie przeszkadzać.

Galen wyobraziła sobie, jak o trzeciej trzynastce nad ranem wrywają ze snu telefon od mordercy, a ona pędzi do Lucasa - bosa, w powiewnej nocnej koszuli.

Zaraz, zaraz. Przecież telefon od mordercy nie wyrwie jej ze snu. Jak mogłaby zasnąć w tej hiacyntowej, podniebnej przystani, wiedząc, że Lucas jest tak blisko? Jak mogłaby zasnąć, skoro w jednej chwili chce jej się śmiać, płakać, śpiewać i umierać.

I tańczyć.

Z nim.

## 11

A jednak zasnęła głębokim, spokojnym snem, który nadchodzi tylko wtedy, kiedy jesteście absolutnie bezpieczni.

Ale Lucas nawet nie próbował zasnąć przed północą. Czytał raporty policyjne i studiował zdjęcia z miejsc zbrodni. Oglądając zwielokrotnione wizerunki Moniki, Kay, Marcii i Brynne. Zmuszał pamięć do przywoływania dawno minionych chwil.

Przez cały czas nie mógł zapomnieć, że w sypialni na końcu holu śpi Galen. Doznawał niezwykłego i zdumiewającego uczucia. Nie był sam. W miejscu, gdzie zawsze chciał być sam.

Sam. Ale nie samotny.

Aż do teraz.

Tłumił to niepokojące i zdumiewające uczucie, lecz natychmiast pojawił się jeszcze większy niepokój i jeszcze bardziej zdumiewające wrażenie, że Galen woła go w swoich snach, by przyłączył się do niej w lawendowej oazie spokoju.

W końcu pokonało go zmęczenie. Poszedł do łóżka, skuszony obietnicą pastelowych snów, choć spodziewał się raczej zwykłych conocnych koszmarów, wywołanych tym, co widział za dnia.

Tej nocy przyśnił mu się nowy koszmar. On i Galen znajdowali się w jego mieszkaniu. Nie sami. A może sami? Z pewnością był też morderca. Przez jedną chwilę, która zdawała się nie mieć końca, Lucas odniósł wrażenie, że on i tamten to jedna i ta sama osoba. Lucas był w jego wnętrzu. Czuł bicie jego serca i pożądanie. Oglądał swoje mieszkanie jego oczami. Wreszcie ujrzał jakąś rękę. Tkwił w niej nóż o lśniącym ostrzu, wzniesiony nad przejrzystym ciałem Galen. Morderca próbował zagłębić go ponownie, biały dywan płamiła już jaskrawa czerwień krwi. Także lalki zostały nią spryskane. Wszystkie były nagie, choć krew osłaniała je, niczym czerwony lśniący płaszcz.

Galen była naga. Miała długie włosy. Splywały mnóstwem krętych, ognistych płomieni/Owinęła się nimi jak miedzianym welonem, jakby skromność więcej dla niej znaczyła niż krew wypływająca z rany na szyi, sercu i z oczu.

Jej oczu. Biegnąc, bo Galen teraz biegła, osłaniała skromnie swe jaśniejące ciało. W końcu dopadła do windy. Zaraz będzie wolna. Ale drzwi nie chcą się otworzyć! Ona błaga, prosi, modli się. Wreszcie rzuca się w stronę kuchni.

Ale to nie jego kuchnia, lecz małe pomieszczenie w kolorze awokado. Szafki i półki, niegdyś zielonkawe, teraz są poszarzałe. Na blacie koło zlewozmywaka coś się srebry. Wielki rzeźnicki nóż. Galen spostrzega go. Morderca również. I Lucas patrzący jego oczami.

Potwór rzuca jej wyzwanie. Niech spróbuje schwycić nóż. Niech rozpląta jego ciało, jak on rozplątał jej. „Uderz w oczy”, podjudza. „Przebij mi oczy”. Lucas widzi jej wahanie, pokusę i przerażenie. Słyszy jej krzyk: „Nie! Nie!”.

Wybiegła z kuchni... Jest znowu w salonie, gdzie leżą nagie lalki Barbie. Krwawią bezustannie. Galen waha się. Chciałaby im pomóc, okryć je płaszczem nylonowych włosów, by odzyskały skromność. Nie odważyła się jednak zatrzymać. Morderca jest tuż za nią. Czuje jej strach, delektuje się nim, napawa się wizją mordy.

Galen wybiega na wyłożony białymi płytkami taras, dwadzieścia dwa piętra nad ulicą. Pada śnieg. Wirują błyszczące kryształowe płatki. Galen nie odczuwa zimna. Jest teraz Wenus. Powstała właśnie z morskiej piany. Czerwonowłosa bogini oceanów przechodzi kolejną metamorfozę. Przemienia się w anioła śniegu. Zaraz wzięci do nieba na śnieżnej chmurze. Musi tylko zrobić krok z tarasu w przestrzeń wypełnioną płatkami śniegu.

„Nie uda ci się!” krzyczy Lucas. „Spadniesz! Umrzesz!”. Galen go nie słyszy, bo Lucas przebywa ciągle we wnętrzu mordercy. Więzień w cudzym ciele. Teraz ona patrzy na mordercę tak, jakby patrzyła na Lucasa - z nadzieją, nie zaś ze strachem.

Jej oczy dostrzegły pierwszą zapowiedź wiosny. Nareszcie! Dostrzegły i uwierzyły. Uśmiecha się, jest szczęśliwa i... prawie wolna. Wolna od niego... Od nich obu.

Staje na niskim obmurowaniu tarasu z szeroko rozłożonymi ramionami. Czy już nie wstydzi się swej nagości? Ciągle okrywa ją miedziana peleryna z włosów. Będzie ją okrywać nawet wtedy, kiedy Galen polecą i zacznie spadać.

Teraz podejmuje decyzję. Polecą. Spadnie. Zostawi go tu samego. Tak bardzo samotnego.

Lucas zbudził się przerażony, wyrwany ze snu niemy krzykiem odbijającym się echem od ciemnych ścian jego duszy. Nie sięgnął do wyłącznika nocnej lampki. Jej światło rozproszyłoby mrok i lęk. Nigdy jednak tego nie robił.

Usiadł w ciemności. Próbował się uspokoić, wrócić do realnego świata, przegnać senne upiory, nawet jeśli miałyby to oznaczać powrót do równie upornej rzeczywistości.

W pokoju nie było zegara ani budzika. W ciemności nie lśniły zielone cyfry. Na nocnym stoliku leżał tylko ręczny zegarek. Lucas dokładnie wiedział, która jest godzina, zanim na niego spojrział.

Trzecia trzynaście.

Czy zabójca kobiet wyruszył na polowanie? Tak szybko? Nie, doszedł do wniosku Lucas. On tylko mnie prześladowuje. Tak jak ja jego. A może to Galen wdarła się w jego sny? Galen. Taka krucha, odważna i śliczna.

I naga.

Czas wstawać, pomyślał. Najwyższy czas.

Wziął prysznic i ubrał się z wprawą długoletniego więźnia stojącego do apelu.

Drzwi do jej pokoju były uchylone. Zaproszenie? Czy sygnał ostrzegawczy? Lucas musiał zajrzeć. Zobaczył odcisnięty ślad na samym brzegu wielkiego łóżka, jakby Galen wciąż była w swoim małym mieszkanku i musiała dzielić łóżko ze zwojami materiałów zajmujących większą jego część.

W pokoju nie było nikogo. Pewnie szyje, pomyślał. Szyje, otoczona lalkami. Chce dotrzymać terminu obiecanego Casey i dziewczynkom.

Ale kartonowe pudła nie zostały jeszcze rozpakowane. Lalki spały spokojnie w ich wnętrzach. Pewnie jest w kuchni. Kolacja składająca się z herbaty i batonika okazała się niewystarczająca nawet dla kogoś o tak wątej posturze.

Kuchnia także była pusta. Akcesoria kuchenne połyskiwały w ciemnościach jak opiekuńcze duchy.

Czyżby Galen złamała daną mu obietnicę? Poszła na spotkanie z zabójcą

O trzeciej trzynaście nad ranem, szantażowana groźbą kolejnego morderstwa?

Schwytany w sieć rozpiętą między jawą a snem, Lucas uświadomił sobie, że Galen nie mogła uciec na potajemne spotkanie z mordercą, bo nie umiała otworzyć windy. Przecież nie pomogły żadne błagania, prośby, modlitwy. Ta uspokajająca myśl wywołała jednak inną, która napętniła go przerażeniem. Skoro Galen nie dała sobie rady z drzwiami windy, pozostawała jej jedyna droga, jaką mogła dotrzeć na spotkanie ze śmiercią.

To był tylko koszmarny sen. Lucas przywołał się do porządku. Mimo to szybkim krokiem przeszedł przez salon, gdzie w jego śnie lalki krzyczały

1 krwawiły, w stronę szklanych drzwi, prowadzących na taras.



Padał śnieg. Białe płatki kryształową mgiełką leciały z nieba miękko i nieprzerwanie. Zdążyło napadać kilka centymetrów. Kiedy Lucas spał, szalała zadymka.

Ślady sportowych butów odcisnęły się na warstwie świeżo spadłego puchu. Czy osoba, która je zostawiła, pędziła na ślepo? Nie. Galen po prostu szła krokiem zdecydowanym, lecz spokojnym, od drzwi do fontanny. Zatrzymała się przy niej, ominęła i ruszyła dalej, aż na koniec tarasu. Tam Lucas ją zobaczył. Otulona w szlafrok sylwetka rysowała się na tle ciemnego zimowego nieba. We włosach migotały kryształki śniegu.

Wokół tarasu ciągnie się niskie obmurowanie. Łatwo się na nie wspiąć i... spaść. Teraz jednak nie stała tu upiorna bogini z nocnego koszmaru, tylko łagodna czarodziejka z bajki. Poczowała jego obecność i odwróciła się wdzięcznie. Powitała go uśmiechem niebieskich oczu.

- Lucas!

- Cześć. Nie mogłaś spać? Wyglądał na zmartwionego.

- Właściwie - odpowiedziała - spałam bardzo dobrze, aż...

Czy i ją dręczyły kosmary? Lucas dostrzegł jej ściągnięte brwi. Czy śruło jej się lśniące ostrze noża i nagie lalki Barbie? Niemożliwe, żeby łowca i śnieżny anioł mieli ten sam koszmarny sen.

- ... Aż przyśnił ci się zły sen - uzupełnił łagodnie. Zmarszczka między jej brwiami nieznacznie się pogłębiła.

- Nie. Chyba nie. - Rozpogodziła się chcąc dodać mu, a może sobie, otuchy, powiedziała: - Nie o to chodzi. Po prostu obudziłam się. Wiem, że spodziewamy się telefonu od niego dopiero jutro, ale postanowiłam wstać. Na wszelki wypadek. Wyrzałam przez okno, zobaczyłam śnieg i nasza mnie ochota, żeby popatrzeć na niego z bliska. Obudziłam cię?

Czy obudził go odgłos adidasów? Tak, wizja, w której ona, zrozpaczona i przerażona, biegnie, by od niego uciec.

- Nie - skłamał i już zgodnie z prawdą dodał: - Zazwyczaj wstaję o tej porze. Zwłaszcza gdy pracuję nad jakąś sprawą. Chodź, pokażę ci, jak obsługiwać windę.

Szczere zdumienie Galen dowodziło, że w zakamarkach jej podświadomości nie czaiło się żadne wspomnienie koszmaru.

- Czy to bardzo trudne? Lucas wreszcie się uśmiechnął.

- Ani trochę.

- Po prostu zwykła winda?

- Najzwyklejsza.

- Chcesz mi ją pokazać teraz?

- Niekoniecznie. - Nie było pośpiechu. Galen nic nie groziło. - Nie zimno ci?

Już chciała odpowiedzieć, że nie, gdy uświadomiła sobie, że jeszcze przed chwilą nie było jej zimno, teraz natomiast przenika ją ziąb. Płatki śniegu na włosach i ramionach zaczynały topnieć. Poruszyła się i kilka lodowatych kropli spadło na jej odsłoniętą szyję.

- Może trochę. Ale tak tu pięknie. - Wskazała na fontannę, cichą w zimie, i otaczający ją gazon pokryty warstwą śniegu. Fontanna wyglądała jak tort weselny. Kiedy otaczają ją wiosenne kwiaty przypomina pewnie bukiet panny młodej. - Twój ogród musi być przepiękny wiosną.

- Wygląda tak samo przez cały rok, tyle tylko że zimą przysypuje go śnieg.

- Och.

- A co sobie wyobrażałaś?

- Szemrzącą fontannę, oczywiście.

- Nigdy jej nie włączam. I co jeszcze?

- No wiesz, tysiące cebulek kwiatowych pod ziemią, czekających tylko, by rozkwitnąć. - Ale co on mógł o tym wiedzieć? - To tylko taki pomysł.

- Bardzo dobry pomysł.

Galen wzruszyła ramionami. Płatek topniejącego śniegu spadł z ognistego kosmyka włosów na jej twarz i lodowatą łzą spłynął na drżące wargi. Lucas powiódł palcem po tej wilgotnej smudze, dogonił ją i delikatnie zatrzymał koło jej ust.

- Zsiniły ci wargi.

- Naprawdę?

- Tak, nawet bardzo. - Wpatrywał się w nie kilka długich sekund. Jego usta były zmysłowe i twarde. Odwrócił wzrok. Strzepnął czułym gestem drobne kryształki z miedzianych włosów. Spadały dokoła jak lodowate łzy. - Czas do łóżka - powiedział miękko, lecz zdecydowanie.

- Do łóżka? - powtórzyła Galen zdumiona.

Lucas przeniósł wzrok z ognistych włosów na jej błyszczące oczy i zobaczył w nich wiosenną jasność, pełną obietnic i nadziei. Ta sama nadzieja rozświetlała jej oczy w koszmarnym śnie, gdy Galen - prawie wolna - stała na obmurowaniu tarasu. Ale teraz nie chciała od niego uciec.

Czas do łóżka. Nie z nim. Niechętnie cofnęła rękę. Zaciśniętą pięść opuścił wzdłuż ciała.

Galen drżała.

- Ale ty... masz zamiar pracować nad tą sprawą. Nad naszą sprawą.

- Owszem. - Zabrzmiało to chłodno. Uśmiechnął się więc i dodał: -Chciałbym, żeby przestudiowała pani materiały, pani detektyw. Najpierw muszę sam nad nimi trochę posiedzieć.

## 12

Lucas usunął wszystkie zdjęcia z segregatorów i zamknął je w szafce. Ułożył segregatory w porządku chronologicznym. Kiedy skończył, postanowił zapomnieć na chwilę o śmierci i wrócić do życia. Do Galen. Przeczytał wszystkie zjadliwe komentarze w rubryce „Dzielimy się nowinami”, obejrzał kasety wideo z KCOR i Gavel-to-Gavel - szczególnie interesowały go nagrania z rozprawy Karolina Północna przeciw Vernon. Pasjonowała się nią umierająca Marianna McLain.

Pracując dla Gavel-to-Gavel, Galen nosiła długie włosy. Tak jak w jego śnie. Okrywały ją skromnie ognistym płaszczem. Mogła się pod nimi bezpiecznie schować. Nie pasowały jednak, jak mu wyjaśniła, do stylu obowiązującego na Manhattanie.

Na kasetach KCOR jej stylowi nie można już było niczego zarzucić, ale wyglądała jak przebrana i dziwnie zagubiona. Jakby przeczuwała, że modnie podcięte włosy nie osłonią jej nagości w koszmarach sennych.

Galen miała rację. Rosalyn St. John się nie myliła: jako prezenterka wiadomości Galen była beznadziejna. Śliczna, odważna, ale beznadziejna.

- Co robisz?

Głos dobiegał z przedpokoju oddzielającego pomieszczenie, w którym siedział Lucas, od głównego holu. Porucznik wstał i natknął się na zdradzone błękitne oczy.

- Próbuję się czegoś o tobie dowiedzieć - odparł miękko. A przy okazji, pomyślał, rozkoszuję się widokiem twojej twarzy. - To konieczne, Galen, bo kto wie, czy on nie postanowił włączyć cię do swoich planów już wcześniej, jeszcze przed niedzielą.

Niewykluczone, pomyślała. Każde z jej żalonych wystąpień przed kamerami mogło sprowokować zabójcę do wykorzystania jej po powrocie Lucasa do miasta. No i co z tego? Tak czy inaczej wybrał ją, bo była do niczego. O czym Lucas miał okazję właśnie się przekonać.

- Kiedy zaproponowano ci pracę w KCOR?

- Co? - Potrząsnęła głową, zdumiona jego sugestią, że może zabójca wybrać ją, zanim jeszcze zaczęła występować w wiadomościach. - John zadzwonił do mnie następnego dnia po tym, jak zapadł werdykt.

Następnego dnia po śmierci Marianny, dodał w myślach Lucas.

- Co mówił?

- Że on, Viveca i Adam widzieli moje sprawozdania z procesu i chcieliby się dowiedzieć, czy jestem zainteresowana pracą w KCOR.

- I?

- Pochlebilo mi to, ale byłam zdumiona i nastawiona raczej niechętnie. Proponowali mi zupełnie inną robotę niż ta, jaką do tej pory wykonywałam. John nalegał, żebym się przynajmniej zastanowiła. Zgodziłam się na spotkanie po ogłoszeniu sądowego wyroku. A potem stałam się persona non grata w Gavel-to-Gavel.

Ona taka właśnie jest, pomyślał Lucas. Opisuje siebie obiektywnie, analitycznie, z dziennikarskim dystansem - a nie umie tego robić, gdy mówi o innych.

- Dlaczego?

- Bo potwierdziły się moje przewidywania co do wyroku.

- I nie zgadzały się - uzupełnił - z tym, co przypuszczali prezydentzy stacji i autorytety prawnicze. - Obejrzał już wystarczająco dużo kaset, by wiedzieć, że to prawda. Galen uznała przysięgłych za znacznie inteligentniejszych, niż sądzili inni, za wystarczająco inteligentnych, by pojęli całą złożoność sprawy i dostrzegli w pełnym wdzięku oskarżonym socjopatę. Galen twardo broniła swojego zdania mimo jawnej pogardy ze strony prawnych wyroczeni. -1 miałaś rację - dorzucił.

- Przysięgli mieli rację.

- Kiedy przyjechałaś do Nowego Jorku?

- Dwudziestego pierwszego grudnia.

- A kiedy przyjęłaś propozycję KCOR?

- Dwudziestego drugiego - powiedziała cicho.

Wiedziała, jakie ta data ma dla niego znaczenie. Tej nocy, nieprzypadkowo zaledwie w kilka godzin po nadaniu przez media wiadomości, że następnego dnia rano Lucas Hunter wyjeżdża do Australii, zabójca kobiet dokonał pierwszego mordu. Sytuacja w Queensland weszła w fazę krytyczną. Potrzebny był nowy negocjator i Lucas zgodził się jechać. O zabójstwie Kay dowiedział się tuż przed wejściem do samolotu. Pięć dni później zginęła Monika, a Rosalyn St. John otrzymała wiadomość od zabójcy: „Kobiety Huntera umierają”. Dla Lucasa zaczęły się tortury. I o to właśnie mordercy chodziło.

Teraz, stosując stare, sprawdzone metody śledcze, porucznik próbował ustalić, kiedy i dlaczego zabójca wybrał Galen. Odczuła ciężar spoczywającej na nim odpowiedzialności.

- Może ma to jakiś związek ze mną - powiedziała. Lucas uśmiechnął się łagodnie.
- Wątpię. Ale dla zasady opowiedz mi, jak dostałaś pracę w Gavel-to-Gavel. Nie jesteś prawnikiem.
- Nie. To był fuks. Mówiłam ci o mojej karierze sprzątaczkki?
- Zagrożonej upodobaniem do artystycznych wzorów? - Śnieżne anioły w wykonaniu śnieżnego anioła, pomyślał. - Mówiłaś.
- Trzymałam swoje artystyczne ciągoty na wodzy. Potrzebowałam pracy. Mieszkałam w Chicago i zatrudniałam się w firmie zajmującej się sprzątaniami mieszkań. Pracowałyśmy we dwie. Naszymi klientami byli bardzo bogaci ludzie. Praca we dwie miała chronić obie strony.
- Chyba że obie sprzątaczkki kradły.
- Albo się leniły. To jeszcze większy problem dla właścicielki. Dobierała więc tę drugą bardzo starannie.
- Na zasadzie przeciwności, żeby nie mogły się dogadać?
- Właśnie. W każdym razie mnie wybrała na swoją partnerkę.
- Nie wyglądasz na złodziejkę ani obiboka.
- Dziękuję. Dlatego mnie wybrała. Pracowałam ciężko, a ona mogła sobie trochę odpuścić. Pozwalała oglądać telewizję u klienta.
- Na przykład Gavel-to-Gavel?
- Tak. Nigdy przedtem nie słyszałam o tej stacji. Ale strasznie mnie to wciągnęło. Kiedy się dowiedziałam, że mają swoją siedzibę w Chicago, poszłam zapytać, czy nie znalazłaby się dla mnie praca. Nie potrzebowali stróżów ani sprzątaczek, ale akurat brakowało kogoś w ekipie produkcyjnej.
- Przeszłaś ciężką drogę z kamerą przed kamerą.
- To znowu był fuks. Relacjonowaliśmy proces w Alburquerque. Reporterka się zatrzała. Nie było nikogo, kto by ją zastąpił, a ktoś musiał, bo dowiedzieliśmy się o niespodziewanym zwrocie w sprawie, o którym inne stacje jeszcze nie wiedziały.
- I tak zostałam dziennikarką.
- Z przypadku.
- Zdawałaś sprawę z tego, co widziałaś i słyszałaś. - Lucas wiedział już, że Galen Chandler potrafiła przekazać widzom także to, w co wierzyła.
- To była dobra praca - powiedziała Galen cicho. - Naprawdę ją lubiłam.

- Chcesz tam wrócić?

- Nie. Wiesz, że oni mnie nie chcą.

- Nie po tym.

Nie po tym, jak z niejasnych powodów została wybrana przez psychopatycznego mordercę z Manhattanu.

- Nie wyobrażam sobie, żebym mogła coś takiego wykorzystać dla osobistych korzyści. Poza tym, wszyscy dziennikarze Gavel-to-Gavel kończyli prawo. Ja nie skończyłam college'u. - Zawahała się: - Ani szkoły średniej.

- Opuściłaś szkołę średnią w maju, w ostatniej klasie.

- Nie mogę uwierzyć, że udało ci się ustalić takie rzeczy.

- Muszę sprawdzić, czy jego wybór nie padł na ciebie jeszcze przed ubiegłą niedzielą. Nie mogę, to znaczy nie możemy, niczego zlekceważyć.

My, my!

- Rozumiem. Zgoda.

- Dziękuję. Rzuciłaś szkołę średnią na miesiąc przed końcem roku. Dlaczego?

Galen znowu się zawahała. Tym razem milczała dłużej.

- Nigdy nie uczyłam się najlepiej. To też już pewnie wiesz. Wiedział. Był tylko ciekaw, czy zawahała się, bo nie chciała się do tego przyznać, czy z innego powodu. Postanowił dłużej nie naciskać. I tak już mocno naruszył granice jej prywatności. Pewnie znowu zatęskniła za długimi włosami, którymi mogłaby osłonić swoją nagość. Jej sylwetkę dokładnie skrywały workowate džinsy, za duża bawełniana bluza i pozwijane wełniane skarpety. Ale uczucia...

- Mogłaś uczyć się dużo lepiej, gdybyś tylko chciała.

To wotum zaufania opierało się, w odczuciu Galen, na faktach. Skoro porucznik Hunter znał dokładną datę opuszczenia przez nią szkoły, z pewnością też wiedział, że wyniki standardowych testów, które rozwiązywała przez wszystkie te lata, stały w rażącej sprzeczności z marnymi ocenami na świadectwach.

- Chyba mnie to za bardzo nie interesowało.

- Ale chodziłaś do szkoły.

Galen szeroko otworzyła błękitne oczy.

- Nigdy nie przyszło mi do głowy, że mogłabym nie chodzić. Byłam tam dzień w dzień, obowiązkowo, i marzyłam.

Spuściła głowę.

- O czym marzyłaś? - Pytanie wykraczało poza najszerzej nawet pojęte zainteresowanie zawodowe.

Pokaż mi się, Galen. Wiem, jaka jesteś piękna.

W odpowiedzi na niemą prośbę Galen podniosła głowę, ukazując zamyśloną twarz, jakby na nowo była tamtą dziewczynką, która siedziała w szkole i spoglądała przez okno, zafascynowana widokiem tysięcy stokrotek rozkwitłych na łące pod błękitnym kansaskim niebem.

- O mojej matce. Że jest szczęśliwa.

- A nie była?

- Nie. Była samotna. Chociaż miała mnie.

Ta bolesna myśl, choć Galen do niej przywykła, dziwnie nie pasowała do dziewczynki gapiącej się na stokrotki.

- Tęskniła za twoim ojcem? Wiem, że się rozwiedli, kiedy miałaś dwa lata.

- Nie tęskniła za nim, jak ja. Tęskniła za miłością.

- Więc marzyłaś, żeby kogoś znalazła?

Galen wzruszyła ramionami, potrząsnęła kędzierzawą czupryną i uśmiechnęła się. Ale nie potwierdziła jego domysłu.

- Nie. To i tak już wkrótce miało się stać. Pojawił się rycerz na białym koniu, by porwać ją ze sobą. Ja marzyłam o ślubnej sukni dla mamy, sukni, którą sama bym zaprojektowała i uszyła.

- I o sukni dla dziewczynki sypiącej płatki kwiatów na ślubie matki.

- Och, nie.

Uśmiech Galen zniknął, twarz pociemniała. Nie powiedziała prawdy. Próbowwała uciec od tego, o czym chciała zapomnieć. Ale ta dziewczynka, którą kiedyś była, pamiętała wszystko: dawno przebrzmiały śmiech i zapomnianą miłość między samotną matką i jej córką marzycielką.

Lucas dostrzegł jej nagły smutek, zagubienie i poczucie straty. Czekał.

Powiedz mi, Galen. Pozwól mi zrozumieć, nalegał w myślach.

Galen milczała. Nie mogła mu powiedzieć. Jeszcze nie.

- Czy miałaś jakieś przedmioty, które lubiłaś? - zapytał w końcu, choć wiedział, że był taki przedmiot. Mistrz śledztwa znał nawet jego nazwę, tyle że nie miał pojęcia, co się za nią kryje. - Chodzi mi o zajęcia tak interesujące, że podczas nich nigdy nie oddawałaś się marzeniom.

- Tak. ZPD.

- To znaczy?

- Nie wiesz?

- Nie. Jeśli ZPD należało do przedmiotów wykładanych w brytyjskich szkołach dla chłopców, do których uczęszczałem, to najwyraźniej nosiło inną nazwę.

- Wątpię, czy w szkole dla chłopców prowadzą takie zajęcia. Nie jestem nawet pewna, czy wszędzie w Stanach tego uczono. Już wtedy wiele szkół rezygnowało z tego typu zajęć. Ale w rolniczym Kansas ZPD, czyli zajęcia praktyczno-domowe, miały się bardzo dobrze. To był rodzaj kursu dla dziewcząt, przyszłych żon, matek i pań domu. Uczyłyśmy się, jak rozporządzać domowym budżetem, sprzątać, gotować i szyć. Myślę jednak, że nawet w Kansas ZPD już dawno zastąpiono WS.

- Czyli?

- Wychowaniem seksualnym, lekcjami na temat planowania rodziny, zapobiegania ciąży, AIDS i tak dalej.

- Rozumiem. Czemu byłaś taka dobra akurat z ZPD? - Lucas spodziewał się usłyszeć z jej ust wyznanie: „Bo ceniłam takie tradycyjne wartości jak małżeństwo, macierzyństwo, dom”.

- Miałam tu pewną przewagę nad innymi. Owszem, miałaś: swoje marzenia.

- Jaką?

- Moja matka była, to znaczy jest nauczycielką. Uczyła właśnie ZPD.

- Więc teraz uczy WS?

- Nie wiem. Pewnie tak.

- Nie utrzymujecie kontaktów?

- Nie. - Galen uniosła głowę. - Czy jest jeszcze coś, czego chciałbyś się o mnie dowiedzieć?

Tak. Mnóstwo rzeczy. -Nie.

Galen przeniosła wzrok z jego twarzy i szarych oczu, których spojrzenie stawało się zbyt intensywne, na porządnie ułożone segregatory. Były poukładane inaczej niż za pierwszym razem, gdy je widziała. Na biurku leżały jakieś dokumenty i białe wydruki z Internetu. Rozpoznała artykuł, którego tytuł krzychał wielkimi literami: Wąska specjalizacja. Rudy kucyk zna tylko jedną sztukę,



zachęcając do lektury zjadliwej krytyki Rosalyn St. John pod adresem Galen Chandler. Było to podsumowanie pierwszych tygodni jej pracy w KCOR, rojące się od pogardliwych słów na literę „n”. Galen Chandler zna tylko jedną sztuczkę: umie komentować procesy sądowe. Sumiennie, rzetelnie i powoli. Ale tylko jeden proces naraz. Kiedy trzeba zająć się czymś innym lub przejść ze stępa do kłusa czy galopu, nogi rudego kucyka zaczynają się plątać i rozjeżdżać. Galen Chandler nie potrafi jednocześnie chodzić i żuć gumy - „przeżuwać siana” - a co dopiero skomentować kilkanaście różnych wiadomości w ciągu dziesięciu minut.

Galen odwróciła wzrok od artykułu, który Lucas już oczywiście zdążył przeczytać, i spojrzała na segregatory.

- Od czego mam zacząć?

- Od salonu. Poczwała ukłucie w sercu.

- Od salonu?

- Od rozpakowania reszty rzeczy.

Miał na myśli starannie spakowane pudła z materiałami i lalkami. Czego właściwie się spodziewała? Wiedział o niej zbyt dużo. A w dodatku znał prawdę: umiała jedynie szyć.

- Chciałeś, żebym przeczytała te akta.

- A czy mogłabyś ich słuchać? Czytałbym głośno, a ty byś szyła. Obiecałaś Casey dostawę lalek jutro po południu. Galen?

Spójrz na mnie, Galen. Pozwól mi zrozumieć.

Ustuchała w końcu tej niemej prośby. Jej smutne oczy spojrzały na niego niepewnie. Lucas uśmiechnął się do nich. A do ich właścicielki, jasnej, skomplikowanej kobiety, która marzyła o sukni ślubnej dla swej matki, powiedział:

- Jestem absolutnie pewny, że będziesz w stanie szyć i jednocześnie słuchać.

## 13

Dawno, dawno temu cztery piękne kobiety wzięły Manhattan szturmem. Były nowoczesne, ponętne, wykształcone i pewne siebie. Przed pierwszą z nich, Kay, zdolną prokurator, otwierała się błyskotliwa kariera. Niewykluczone, że także polityczna, gdyby tylko miała takie ambicje.

Oczywiście w Białym Domu, jako Pierwszej Damy. Każdy mężczyzna marzyłby o kobiecie tak pięknej i wykształconej. Mogła zdobyć nie tylko prezydenta (na męża), ale i prezydenturę - dla siebie.

Z kolei Monika, znana modelka o uśmiechu dziewczyny z sąsiedztwa i takimż sercu, tuż po trzydziestce, osiągnęła właśnie szczyt kariery i nic nie wskazywało, żeby miało się to szybko zmienić.

Marcia, następna w kolejności uroczą kobietą, zamieszczała projekty swoich nowatorskich rozwiązań na łamach „Przeglądu Architektonicznego”. Równie często gościła w najelegantszych domach na Manhattanie. To właśnie dla ich właścicieli - miłych sercu przyjaciół i zarazem cennych klientów - wygrywała licytacje w słynnych domach aukcyjnych w Londynie i Nowym Jorku.

I w końcu doktor Brynne, onkolog i naukowiec, do końca oddana swym pacjentom, starająca się wlać trochę otuchy w ich serca, nawet jeśli przegrywała walkę o uzdrowienie ich ciał.

Historia jak z bajki... Aż pewnego dnia bohaterkom poderżnięto gardła, przebito oczy i nakreślono znak krzyża na sercu. W tej bajce zabrakło szczęśliwego zakończenia - chyba żeby uznać, iż tylko śmierć zdołała ukoić ich serca złamane przez czarnowłosego księcia.

Czy Lucas Hunter zamierzał którąś z nich poślubić? Takie właśnie pytanie zadała Rosalyn St. John swym czytelnikom. Ale nikt nie znał odpowiedzi, nie wyłączając autorki, która do czasu otrzymania listu od zabójcy nie wiedziała nawet, że te cztery gwiazdy Manhattanu były miłośnikami Lucasa.

Ten człowiek potrafił strzec swej prywatności, pisała. Czy był związany z nimi wszystkimi jednocześnie? To nie w jego stylu, doszła do wniosku. Skupiony, uważny łowca był równie rygorystyczny w pracy, jak i w miłości. Namiętny, przelotny romans, a potem żegnaj. Adieu. Spotkało to przynajmniej trzy spośród wspomnianych kobiet. A może jednak nadal widywał się z jedną z nich? Tego nie wiedziała ani Rosalyn St. John, ani żaden z jej czytelników.

Słuchając Lucasa czytającego akta, Galen także nie potrafiła rozwikłać tej zagadki. Optakiwał je wszystkie i chciał pomścić ich śmierć.

- Pokaż mi, co robisz.

To łagodne, choć stanowcze polecenie zabrzmiało dość dziwnie w zestawieniu z lekturą kronik policyjnych. Dopiero teraz zaczyna się prawdziwa baśń, pomyślała Galen.

Siedzieli na śnieżnobiałym dywanie naprzeciwko siebie, z wyciągniętymi nogami odzianymi w dżinsy. Między nimi rozpościerały się dwa baśniowe królestwa. Jego - królestwo policyjnych raportów; i jej - królestwo lalek i barwnych tkanin.

W granitowym kominku buzował ogień. Na szklanym blacie stolika, obok zastawy z herbatą i biszkoptowych babeczek, walały się szpulki nici. Biały zegar na gzymsie kominka co godzinę wydzwaniał kuranty.

Lucas, który pierwszy opowiedział swą baśń, poprosił ją, by mu pokazała, co robi, i patrzył na nią rozkochanym wzrokiem, jakby w tej zaczarowanej chwili ona i ubranka dla lalek były wszystkim, co miało dla niego znaczenie... Teraz i już zawsze.

- Och, nic takiego.

Nie sądzę, żeby to było „nic takiego”, pomyślał. Jej smukłe palce, poruszające się szybko i z gracją, wyczarowywały szczęście dla Sar i Rebek tego świata.

- Najpierw bierzesz wzór. - Lucas wydedukował to na podstawie starych, sprawdzonych metod śledczych, czyli obserwacji. - Wygląda na to, że wszystkie te wzory wymyśliłaś sama. To wzornictwo Galen Chandler.

- Koszule i szlafroki szyją na wzór tego, co noszą pacjenci w szpitalach. Ale nie pozostałe ubranka, pomyślał porucznik. Nie te „dzieła sztuki” -

jak je nazwała Casey - w które przebierano lalki, gdy wraz ze swymi właścicielkami opuszczały szpital. Nazwanie ubranek „wzornictwem Galen Chandler” wprawiło ją w zakłopotanie, jakby uważała piątkę z plusem z ZPD za coś trywialnego.

- W porządku - powiedział Lucas. - Teraz trochę teorii. Przypinasz szablon do materiału, żeby zrobić wykrój. To rozumiem. Ale potem, i to już dla mnie czarna magia, trzeba wiedzieć, które kawałki połączyć.

- To łatwe. Lucas uniósł brew.

- Domyślam się, że istnieje jakaś logiczna, choć dla mnie nieodgadniona metoda dopasowywania poszczególnych elementów. Załóżmy, że masz dwa kawałki, które do siebie pasują. Co dalej?

- Trzeba je spiąć w ten sposób. - Jej smukłe dłonie poruszały się szybko i sprawnie. Prawą stroną do wewnątrz, a potem zszyć pół centymetra od brzegu. O tak. Spróbuj. To wcale nietrudne.

Kawałek aksamitu w kolorze burgunda, wraz z igłą o złotym uchu, przekroczył granicę królestwa lalek i znalazł się w królestwie śmierci.

Lucas ujął igłę w palce. Choć umiały one strząsać płatki śniegu z wilgotnych loków i osuszać kryształowe łzy w mroźnym, nocnym powietrzu, choć były zręczne i pewne, teraz zachowywały się dziwnie niezgrabnie. Uśmiechnął się zniewalająco, na poły z drwiną, na poły z zażenowaniem.

- To wcale nie jest łatwe.

- Nie miałeś w szkole lekcji ZPD.

- Moim zdaniem - powiedział - chodzi tu o coś więcej, o coś pierwotnego, tajemniczego. O jedną z tych różnic między kobietą i mężczyzną, o istnieniu których nie wolno w dzisiejszych czasach nawet wspomnieć.

Mówił coś o chromosomach, że przetrwał w nich jakiś odległy genetyczny zew, który nakazywał kobiecie dbać o dom - o jaskinię - mężczyzn zaś wyganiał na polowanie.

Seksistowska uwaga? Możliwe. Ale w tej baśni zabrzmiała bardziej seksownie niż seksistowsko. Siedzi tu przed nią niezwykle mężczyzna, który nie umie zszyć dwóch kawałków materiału, i twierdzi, że ona, utalentowana krawcowa, stanowi drugi człon pierwotnego równania. Tak kobieca, jak on jest męski. Tak niepokojąco kobieca, jak tamte wspaniałe kobiety, których tragiczna śmierć była przyczyną -jedyną przyczyną -jej obecności tutaj.

Na widok Lucasa trzymającego w rękach skrawek aksamitu i igłę Galen poczuła ukłucie w sercu. Na krótką chwilę zacisnęła powieki, a kiedy je odemknęła, zobaczyła przeraźliwie jasno, jak nieprzebyty dystans dzieli królestwo śmierci od królestwa lalek.

- One wszystkie były takie niezwykle, wybitne. I Kay, i Marcia, i Monika, i Brynne.

- Były. - Lucas cicho przytaknął.

Na wspomnienie udręki, jaką już kiedyś widziała na jego twarzy, Galen pomyślała, że może ten skryty, tak ceniący swą prywatność człowiek chciałby zrzucić z siebie ponadludzki ciężar i przed kimś się wreszcie otworzyć.

- Musiałeś bardzo je kochać.

- Nie.

Oczywiście, że nie, pomyślała. Tylko w baśniach i w podręcznikach do praktycznych zajęć domowych najpierw jest miłość, a potem seks.

- Z żadną nigdy nie byłem związany.

- Niezwiązany? - powtórzyła ze zdziwieniem Galen, jakby w swej naiwności nie słyszała o związkach pozamałżeńskich, romansach i flirtach.

- Seksualnie - sprecyzował Lucas. I żeby nie pozostawić żadnej wątpliwości, dodał parę innych określeń, dla niego bez znaczenia, dla niej jednak zapewne pełnych treści. - Ani emocjonalnie, uczuciowo.

- Ale...

- To tylko Rosalyn St. John i zabójca wyszli z takiego założenia.

- Ale znałeś je?

- Niezbyt dobrze. Z żadną, z wyjątkiem Kay, nawet nie miałem okazji pokazać się publicznie. Jeśli uda nam się wyjaśnić, w jaki sposób zabójca powiązał z nimi moją osobę, odkryjemy, kim on jest.

Porucznik miał na myśli stare, sprawdzone metody detektywistyczne. I mówił „my”. Czy chodziło mu o departament policji? Czy o niezwykle drużynę złożoną z nocnego łowcy i krawcowej?

Galen szybko otrzymała odpowiedź. Lucas odłożył robótkę i sięgnął po cztery białe kartki papieru. Na każdej z nich widniało imię ofiary, niżej zaś informacje na jej temat.

- To rodzaj zestawienia - powiedział - moich kontaktów z każdą z nich. Jak widzisz, Kay i ja pracowaliśmy razem nad paroma sprawami w ciągu ostatnich kilku lat. Chodziło głównie o morderstwa, szeroko omawiane w mediach. Kay była bardzo ostra jako prokurator. W sądzie zawsze wygrywała, a oskarżeni dostawali ciężkie wyroki. Większość przestępców, których wsadziła za kratki, nadal siedzi lub nie żyje. Dotychczas nie udało mi się odszukać nikogo - ani w więzieniu, ani na wolności - kto miałby możliwość i cierpliwość odkryć moje powiązania z pozostałymi kobietami.

Lucas urwał i Galen uznała, że może sięgnąć po następną kartkę.

- Z Moniką widziałeś się po raz ostatni w marcu ubiegłego roku - powiedziała. - Spotkaliście się w samolocie z Denver.

- Byłem konsultantem w sprawie Bouldera. Ona wracała z Aspen. Przegadaliśmy całą podróż i rozeszliśmy się każde w swoją stronę. Zadzwoiła do mnie parę tygodni później. Nawiązując do rozmowy w samolocie, powiedziała, że zerwała ze swoim przyjacielem, ku czemu od pewnego czasu się skłaniała.

Data, miejsce i godzina tej rozmowy telefonicznej widniały na kartce oznaczonej hasłem „Monika”: dwunastego kwietnia w jego biurze o siedemnastej piętnaście. Kartka nie zawierała nic więcej. Galen, zdziwiona, podniosła głowę.

- Więcej się z nią nie widziałeś? Nie zaczęliście się spotykać?

- Nie! - zaprzeczył, a po chwili powtórzył cicho: - Nie. W milczeniu Galen sięgnęła po trzecią kartkę.

- Marcia przyszła do twojego mieszkania cztery lata temu, we wrześniu.

- Na moją prośbę. Właśnie kupiłem ten apartament i potrzebowałem fachowca, żeby dokonał tu zmian. Dokładnie wiedziałem, czego chcę. Miałem wszystko w głowie. Ale zrealizowanie pomysłu wymagało mnóstwa pracy, wyrzucenia absolutnie wszystkiego, co zastałem. Dla niej, architekta wewnątrz, nie była to szczególnie atrakcyjna robota. Chciałem, żeby wystrój był minimalistyczny.

- I biały.

Lucas skinął głową.

- Próbowała mnie przekonać, żebym przynajmniej zdecydował się na cieplejszy odcień bieli. - Uśmiechną się na wspomnienie tej chwili. - Była to jeszcze jedna bitwa, którą przegrała. Ale Marcia lubiła walczyć. Jeszcze długo po zakończeniu remontu przysyłała mi od czasu do czasu różne informatory i zdjęcia przedmiotów idących właśnie pod młotek, które - jej zdaniem - nie zagrączyłyby mi mieszkania. Tak właśnie trafił tu zegar kominkowy. Zobaczyła go i pomyślała, że może mi się spodobać.

Galen spojrzała na piękny antyk wydzwaniający śpiewne kuranty. Biały, prosty i elegancki.

- I spodobał ci się.

- Tak.

Słowo „zegar” i data sprzed dwóch lat były przedostatnim zapisem na kartce opatrzonej hasłem „Marcia”. Niżej, pod datą ostatniego dnia maja, figurowało jeszcze jedno słowo.

- „Paw” - wymruczała Galen.

- Był porcelanowy i bardzo stary. Marcia kupowała go dla klienta, którego akurat nie było w kraju. Słyszał jednak o pawiu i zlecił jej zakup. Miała licytować aż do skutku, chyba że cena osiągnie absurdalnie wysoki poziom. Marcii paw także bardzo się podobał. Zadzwoiła do mnie i przekonywała, że skoro pochodzę z Wielkiej Brytanii i on stamtąd pochodzi, na pewno przypadniemy sobie do gustu. Następnego dnia wstąpiłem do domu aukcyjnego Sotheby. Marcii nie zastałem. Z nikim nie rozmawiałem. Później zadzwoniłem do niej do domu. Powiedziałem, że może licytować tak długo, aż dostanie tego pawia. Gdyby jej klient go nie chciał, ja go kupię. Po paru dniach zostawiła mi wiadomość na sekretarce. Jej klient był zachwycony pawiem i postanowił go zatrzymać.

Na kartce nic więcej nie było. A więc Lucas już się z nią nie widział ani nie rozmawiał.

- Twój apartament nigdy nie był prezentowany w „Przeglądzie Architektonicznym”? - zapytała.

- Nie. Marcia nie wykorzystywała mojego nazwiska jako referencji. Przynajmniej nic mi o tym nie wiadomo. Nigdzie nie natknąłem się na wzmiankę, że coś dla mnie robiła.

Tyle o Marcii.

Została już tylko Brynne. Daty umieszczone na czwartej, ostatniej kartce dotyczyły okresu od listopada do kwietnia - siedemnaście lat temu.

- Poznałeś Brynne w college'u.

- Tak. Spotykała się z jednym z moich współlokatorów. Często u nas bywała, lecz właściwie nigdy ze sobą nie rozmawialiśmy. Aż do pewnej imprezy na wiosnę. Siedziałem sam pod domem, a ona się przysiadła. „Za dużo pijesz”, powiedziała. I zaczęliśmy rozmawiać.

- Czy to była prawda?

- Jasne. I na picu się nie kończyło. Dopuszczałem się też innych ekscesów. Aż do przesady.

- Dlaczego?

- Studiowała medycynę i była o dwa lata starsza. No i pochodziła z rodziny, w której występował problem alkoholizmu. Martwiło ją, że tyle piję i ciągle wyglądam trzeźwo.

- Chodziło mi o to - powiedziała Galen cicho - dlaczego tak dużo piłeś i dopuszczałeś się innych ekscesów?

Czy nie posunęła się za daleko w swoich dociekaniach? Nie. W szarych oczach pojawiła się iskierka rozbawienia.

- Raz, że byłem w takim głupim wieku, miałem dziewiętnaście lat i spędziłem przedtem dziewięć lat w angielskich szkołach dla chłopców. Wiesz, to takie szkoły dla przyszłych księży i parów. Panuje tam żelazna dyscyplina. Żadnego seksu i alkoholu, nie wspominając już o narkotykach.

- A dwa?

Rozbawienie zniknęło z szarych oczu. Ale odpowiedział bez wahania.

- Jak zwykle, alkohol i narkotyki to rodzaj ucieczki. Ucieczki - dodał - w krainę marzeń.

- Nadal nadużywasz alkoholu i narkotyków? Nadal marzysz?

- Narkotyków nie używam w ogóle. A alkoholu? Tak, czasami. Między jedną sprawą a drugą.

Według Rosalyn St. John, w wypadku porucznika Lucasa Huntera nie istniało żadne „między jedną sprawą a drugą”. W każdym razie od wielu lat. Tak donosiły jej dobrze poinformowane źródła. Podobno na początku współpracy z departamentem policji i innymi agencjami, które chciały skorzystać z jego zdolności, konsekwentnie robił sobie przerwy. Były to okresy, kiedy, znów według Rosalyn St. John, po prostu znikał. Widywano go ponoć w Wenecji, w Paryżu, na południu Francji. Z kobietami. Z pięknymi kobietami. Ale było to dawno, pisała Rosalyn, całe lata temu.

- Między jedną sprawą a drugą - powtórzyła Galen. - To znaczy kiedy? Lucas uśmiechnął się.

- Jakiś czas temu. - Kiedy jeszcze marzyłem, pomyślał, kiedy jeszcze sądziłem, że mogę uciec. - Piłem, żeby oderwać się od rzeczywistości. To nic chwalebного.

- Wyznałeś to Brynne?

- Nie. Musiałbym wyznać zbyt wiele. Powiedziałem tylko, że ma trochę racji, ale że jestem wystarczająco trzeźwy, by dostrzec coś, czego ona mimo swej abstynencji nie widzi, że mój współlokator nie jest dla niej odpowiedni.

- Tylko że ty jesteś?

- Nie, Galen. - Już wtedy wiedziałem, dodał w duchu, że dla nikogo nie jestem odpowiedni. - Ani mi to przez myśl nie przeszło.

- Zostaliście przyjaciółmi?

- Nie. Brynne zerwała z nim tydzień później. Nigdy potem jej nie widziałem.

- Mimo że oboje zamieszkaliście na Manhattanie?

- Mimo to.

- Czy ten twój współlokator mógłby być zabójcą?

- Mógłby. Ale nie jest. Okazał się człowiekiem o znacznie większym rozsądku i morale, niż przypuszczałem. To nie on ani żaden z moich dawnych kolegów.

- Zabójcą może być więc ktoś, kogo Brynne знаła i komu o tobie wspomniała w ciągu tych siedemnastu lat. - Galen przerwała i zmarszczyła brwi. - Albo ktoś, kogo ona wcale nie znała. Mogła jedynie napomknąć o tobie komuś, kto go zna. Tak czy inaczej, w całym tym labiryncie jest ktoś, kto naprawdę zna zabójcę. O to ci chodzi?

Lucas z uznaniem spojrział na bystrą krawcową, która tworzyła takie proste, bezbłędne ściegi... łącznie z tym ostatnim.

- Tak, pani detektyw, o to mi właśnie chodzi.

- To samo dotyczy Moniki i Marcii.

- Zgadza się.

- A czy te cztery kobiety się znały?

- Tego na razie nie ustaliłem.

Galen westchnęła. Lucas się uśmiechnął.

- Dostaniemy go, detektywie Chandler.

- Wiem. - Ty go dostaniesz, pomyślała. - Jego stosunek do ciebie wydaje się taki...

- Jaki?

- Osobisty.

- Masz rację. Wydaje się osobisty, choć może wcale taki nie jest. On uważa się za profesjonalistę, za mordercę doskonałego. Chce pobawić się ze mną w kotka i myszkę. W myśliwego i zwierzynę.

- A teraz czego chce? Zabawić się z tobą.

- Pewnie dzisiaj się dowiemy.

- Mam go zapytać?

- Jeśli chcesz.

- Boję się, że popełnię jakiś błąd.



- Niemożliwe. On będzie kontrolował tę rozmowę. Powie ci tylko to, co zechce. Staraj się mówić prawdę, Galen. I mów dużo. Trzymaj go na linii. Powiedz mu wszystko, co będzie chciał wiedzieć. Na pewno sobie poradzisz.

## 14

- Zbudziłem cię? - zapytał zmieniony głos w słuchawce. - Nie. Nie spałam. Czekałam na twój telefon.

- Chyba nie przez całą noc.

- Nie. Od trzeciej.

Budzik okazał się niepotrzebny. Jej wewnętrzny zegar obudził ją wcześniej. Zmieniła piżamę na dres i siedziała w ciemności na brzegu łóżka. Teraz wstała, otworzyła drzwi sypialni i pospieszyła korytarzem do Lucasa, który zbliżał się z przeciwnej strony, całkowicie ubrany i ze słuchawkami na uszach.

- Gdzie jesteś?

- O co ci chodzi?

- O to - w głosie zabrzmiało kontrolowane zniecierpliwienie - gdzie jesteś. W którym hotelu? Porucznik umieścił cię chyba w przyzwoitym miejscu?

- Porucznik był tak miły, że pozwolił mi zatrzymać się u siebie.

- Dam ci małą radę, Galen. Nie próbuj mnie okłamywać.

- Nie kłamię.

W słuchawce zapanowała elektroniczna cisza.

- No, no. Porucznik przechodzi sam siebie. Jest tam teraz?

- Tak.

- I słucha?

- Tak.

Galen zerknęła na Lucasa. Stał tuż obok, a był tak daleko. Miał zamknięte oczy, na twarzy wyraz nieprawdopodobnej koncentracji. Słuchał samego zła, wyczuwał je, kanalizował. Wyobraziła sobie,

jak zło zalewa go i wypełnia, przenika jego serce, płynie w żyłach. Makabryczna podróż. Ale ma cel i miejsce przeznaczenia. Każda minuta tej rozmowy przybliży Lucasa do zabójcy.

„Mów dużo”, polecił. I Galen zaczęła mówić. Własny głos wydał jej się obcy.

- Dobrze, że dzwonicz, bo mam mnóstwo pytań. Morderca zaśmiał się drwiąco.

- Przerobimy najpierw moje pytania, nie uważasz?

- Och, oczywiście. Zabójca kobiet ma pierwszeństwo.

- W porządku, Galen. To miło, że się zgadzasz. Od czego zaczniemy? Może od seksu. Jestem właśnie w nastroju, by wysłuchać absolutnie wszystkiego. Od twojego pierwszego razu do ostatniego. Czy twoja ostatnia przygoda nie wydarzyła się przypadkiem dzisiejszej pięknej nocy?

- To w ogóle nie twoja sprawa.

- Dochodzimy do sedna, Galen. To ja rozdaję karty i decyduję. W tej chwili interesujesz mnie ty. I seks. Nasza Rosalyn może sobie twierdzić, że jesteś oziębła, gdyż w przeciwnym razie wykrzesałabyś z siebie iskierkę emocji na wizji. Ja w to jednak nie wierzę. Bo widzisz, jestem twoim fanem. Twoim największym fanem. Ale nawet najbardziej oddani wielbicielowie mają wymagania. Ja domagam się szczegółów. Mówią, że diabeł tkwi w szczegółach. Zgadza się, diabeł i rozkosz. Na jedno wychodzi. Więc słucham, Galen. Zacznijmy od twojej defloracji. Poproszę o pełny dziennikarski serwis informacyjny. Z kim, jak, kiedy i gdzie. Może na polu kukurydzy, wśród złotych kolb? No i przede wszystkim, jak było? Krew? Ból? Mam nadzieję, że usłyszę coś naprawdę interesującego i wyjątkowego. Ale jeśli było zwyczajnie, też chcę wiedzieć. Byle bez koloryzowania. Nie, żebym cię o to podejrzewał - twojej dziennikarskiej wiarygodności nie można nic zarzucić - chcę tylko prawdy, Galen, nic więcej.

On chce prawdy! Nie mogę mu powiedzieć prawdy! Galen drżała jak liść, idąc w stronę salonu, do swych lalek, byle dalej od Lucasa. Od nich obu. Ale oni szli za nią. Obaj.

- Galen? Wiesz, co się stanie, jeśli odmówisz. Nasza piąta dama umrze. Dziś w nocy. Tyją zabijesz. Lepiej więc zacznij mówić, kotku. I nie kłam. Kłamstwo, tak jak odmowa, będzie karane śmiercią.

Galen weszła do salonu, który zaledwie kilka godzin temu tworzył uroczą scenerię jej królestwa baśni. Popatrzyła na lalki siedzące na śnieżnobiałej kanapce. Zdążyła ubrać je w nocne koszule i bawełniane szlafroki. Ale nie były uczesane. Musiała jeszcze opakować je w bibułki i umieścić w osobnych papierowych torbach. Lucas obiecał, że razem dostarczą lalki do szpitala.

- Galen! - Elektroniczny głos w słuchawce był już mocno zniecierpliwiony.

Królestwo baśni. Śmietankowe babeczki, herbata. Lalki i śmierć.

Podeszła do wielkiego okna po drugiej stronie pokoju, byle dalej od królestwa lalek i fantazji. I od świata Lucasa. Wyrzała na zewnątrz, w ciemność nocy.

- Ja nie... Nie było jeszcze pierwszego razu.

- O mój Boże! Jesteś naprawdę niezwykła. Wiedziałem! Dwudziesto-dziewięcioletnia dziewica. I cała należy do mnie. Ciekawi mnie, jak też Lucas zareagował na tę wiadomość. Nie, nie mów. Udawajmy, że go tam nie ma. To sprawa tylko między mną i tobą. Zwłaszcza ten pierwszy raz.

- Co? - szepnęła, patrząc na szybę tak ciemną, że wyglądała jak lustrzana tafla.

Gdzieś w głębi rysowała się wyraźnie sylwetka pantery. Drapieżnik stał koło kominka, wygasłego teraz i zimnego, lecz w jego wzroku rozbłysnął płomień wściekłości.

- Słyszałaś, Galen. Zrobimy to. Zrobimy to zaraz. Wiem, że sytuacja nie sprzyja. Będiesz udawała, że twoje ręce są moimi. Nie martw się. Przeprowadzę cię przez to, przez każdy diabelsko rozkoszny szczegół.

Galen uciekła wzrokiem poza powierzchnię lustra, w ciemną przestrzeń za oknem. Jak najdalej od Lucasa i jego rozwścieczonych, płonących oczu.

- Nie.

- Odmawiasz mi?

- Nie. Tylko że to dla mnie za szybko. Prawie się nie znamy.

- Brawo! Wstydliva dziewica. W porządku. Przedłużymy grę wstępną. Troszeczkę. Ale ostrzegam cię, że kiedy zdecyduję, że nadszedł czas, zrobisz wszystko, co ci każę. Zgoda?

Nie, nie, nie!

- Zgoda.

- Lucas? Jesteś tam? Nie waż się jej tknąć: Ona jest moja. - Głos w słuchawce umilkł, a kiedy na nowo przemówił, brzmiała w nim nuta zadowolenia. - Wystarczy tej gry wstępnej, jak na pierwszy raz. Wracając zaś do obietnicy uczynienia cię gwiazdą. Twoja droga do nagrody Emmy rozpocznie się od godzinnego programu poświęconego zabójstwu i śledztwu. A także ofiarom i ich życiorysom. Teraz to takie modne. Zastanawiam się też, czy nie zmusić porucznika do występu przed kamerami. Wiesz, parę osobistych refleksji na temat jego przyjaciółek. Zresztą, on ciągle jest ci dłużny wywiad. Wrócimy do tego pomysłu później. Mamy czas. Twój program ma być nadany w środę wieczorem. Mieszkańcy pięknego Manhattanu nie będą się mogli doczekać. A tak przy okazji: zarezerwuj pełną godzinę. Żadnych reklam ani innych przerywników. I jeszcze jedno. Nie będziesz zajmowała się innymi wiadomościami. Tylko mną i moją historią.

- Oczywiście.

- I jeszcze jedno. Podejrzewam, że twoja bielizna starej panny odznacza się wyłącznie walorami użytkowymi i jest równie siermiężna jak reszta twojej garderoby. To mi nie wystarczy, Galen. Będziesz potrzebowała wyrafinowanych negliży na nasze tete-a-tete, nie wspominając już o

wielkiej chwili we środę wieczorem przed kamerami. Muszę wiedzieć, że wystąpisz w czymś naprawdę wyjątkowym, rozkosznie seksownym. Tylko jabędę tym wiedział. Przecież w końcu tylko ja się liczę, prawda? Masz iść na zakupy, Galen. Dzisiaj. Do „Ofelii”, oczywiście.

- Do „Ofelii”?

- Daj spokój, nie powiesz chyba, że dotąd nie zauważyłaś tego butiku z ekskluzywną bielizną, tuż koło KCOR? No nic. Porucznik na pewno wie, gdzie to jest. Weź go ze sobą i niech ci pomoże wybrać coś odpowiedniego. Jest ekspertem w tej dziedzinie. Wiesz, moja cenna dziewico, na samą myśl, że jesteś tam z Lucasem... Nie dotykaj jej, poruczniku. Nie waż się.

- Jesteś chory.

- Nie. Jestem Lucasem.

- Co?

- Musisz mnie jakoś nazywać, prawda? „Zabójca kobiet” jest trochę nieporęczne. Poza tym wkrótce zostaniemy kochankami. Mów mi więc Lucas. Dotknij mnie, Lucas. Pocałuj mnie, Lucas. Tak, Lucas. Tak, tak, tak...

## 15

Lucas nie mógł dojrzeć jej twarzy ani nawet odbicia w ciemnej tafli szyby. Galen stała z pochyloną głową i twarzą ukrytą w głębokim cieniu. Za to siebie widział wyraźnie. Zło nadal napływało, zalewało go, mroziło krew w żyłach, zatruwało serce i duszę. On i zabójca stanowili jedno.

Galen podniosła głowę i zobaczyła jego wyraźne odbicie w szybie. Lucas zaś napotkał błękitne oczy, uważne, badawcze, bez lęku. Zło odpłynęło.

- Odsuwam cię od tej sprawy - powiedział.

- Muszę ci coś... - Galen odezwała się niemal równocześnie i urwała. - Co mówiłeś?

- Powiedziałem, że odsuwam cię od tej sprawy. Nie. Nie! Odwróciła się od okna.

- Wiem, że stwarzam poważny problem Ale poradzę sobie. Na pewno. To znaczy, nie muszę przecież... mogę tylko udawać, prawda? To fakt, że nie jestem szczególnie utalentowanym kłamczuchem, ale on o tym nie wie. No i jest mnóstwo filmów na ten temat, a z pomocą na przykład Viveci mogłabym...

- O czym ty, u licha, mówisz?

- O moim... braku doświadczenia.

- Skąd ci przyszło do głowy, że z tego powodu chcę cię odsunąć od tej sprawy? - zapytał miękko.

- To z jakiego? - szepnęła.

- Bo to dla ciebie okropne. Nie powinnaś brać w czymś takim udziału...

- Powinam. W tym wszystkim może rzeczywiście chodzić o mnie. Zabójca może być kimś, kogo znam lub znałam wiele lat temu.

- Człowiekiem z zielonkawej kuchni? Galen wyglądała na kompletnie zaskoczoną.

- Skąd wiesz?

- Wczorajszej nocy miałem koszmarny sen. Widziałem cię w kuchni koloru awokado. Śnił mi się też rzeźnicki nóż.

To był jej sen, koszmar prześladujący ją od jedenastu lat. Ale ostatniej nocy nic jej się nie śniło i czuła się bezpieczna.

- Czy wyczuwasz również sny i koszmary innych ludzi?

- Nie, nigdy dotąd. - Dopóki cię nie poznałem, pomyślał. - Może stało się tak dlatego, że niemal mi o nim opowiedziałaś, gdy spytałem, dlaczego rzuciłaś szkołę na miesiąc przed końcem roku.

- Tak. Rzeczywiście. Ale uznałam, że nie ma to związku z tą sprawą. To znaczy, że on nie ma z nią nic wspólnego. Że to niemożliwe. Teraz jednak... Nazywa się Mark i jest przyjacielem mojej matki. Zamieszkali razem, kiedy miałam czternaście lat. Zastanawiali się nawet, czy się nie pobrać, ale w końcu doszli do wniosku, że lepiej nie. Oboje mieli za sobą nieudane małżeństwa, a teraz wszystko układało się wspaniale i nie chcieli tego zepsuć. Mark uszczęśliwił moją matkę, a to sprawiło, że i ja byłam szczęśliwa. Nie miałam zbyt wielu przyjaciół. Właściwie w ogóle ich nie miałam, kiedy go poznałam. Byłam takim samotnym strachem na wróble. Mark sprawił, że poczułam się kimś wyjątkowym.

„Strach na wróble”. Czy nie tak właśnie dzieci w szkole przeżywały tę wysoką, chudą dziewczynkę o płomiennorudych, niesfornych włosach, marzącą o ślubnej sukni dla matki? Lucas nie miał co do tego wątpliwości. Odezwwał się łagodnie i serdecznie do tamtej rozmarzonej dziewczynki:

- Kimś zbyt wyjątkowym, Galen?

- Tak. Zglądał do mojego pokoju, kiedy się ubierałam, i był bardzo urażony, gdy mówiłam, by wyszedł. - Galen zaczęła maszerować po pokoju. Szukała przestrzeni i dystansu wobec wyznania, na jakie musiała się zdobyć. - Mówił, że jest moim ojcem. Ojcem, którego nigdy nie miałam. Jak mogę go podejrzewać o nieczyste pobudki? Wzbudził we mnie poczucie winy, rzecz jasna. Porzuciłam

myśl o zamykaniu się w pokoju na klucz. Czego zresztą nigdy wcześniej nie robiłam. Twierdził, że to ja mam jakieś dziwne zahamowania, bo tak wcześniej zostałam opuszczona przez ojca. Upierał się, że to normalne, a właściwie konieczne, by ojcowie czuwali nad fizycznym rozwojem swoich córek i w porę reagowali na zaloty ich nastoletnich kolegów. Mark wchodził do mojego pokoju, kiedy tylko miał ochotę. Gapił się na mnie i komentował.

- Co komentował?

Galen stała teraz przy lalkach, obok kanapy.

- Moją... figurę. Brak figury. Byłam chuda, niedojrzała, chociaż miałam już czternaście lat. Komentował też moje ubrania. Mówił, że są workowate. Nigdy mnie nie dotykał. Po co miałby to robić? Nie robił wtedy niczego... niczego erotycznego.

- Ale to wszystko miało podtekst erotyczny - powiedział Lucas cicho. W myślach zaś dodał: I sadystyczny. Markowi sprawiało przyjemność upokarzanie jej i wprawianie w zakłopotanie. Podobnie jak zabójcy kobiet. -Teraz już wiesz.

- Oczywiście. Chyba już wtedy podświadomie wiedziałam. Unikałam Marka i coraz więcej czasu spędzałam poza domem.

- Gdzie?

- Och - mruknęła. - Spacerowałam po polach kukurydzy, kiedy pogoda dopisywała, a zimą przesiadywałam w kręgielni albo w bibliotece, albo sklepie z zieleniną. Tam właśnie poznałam Julię. W zieleniaku.

- Julię?

- Tak. Julię i jej siostrę Edwinę. Winnie. - Galen wzięła do ręki lalkę o długich, czarnych włosach i patrząc w jej małą twarzyczkę, opowiadała dalej. - Przyszły do sklepu po tapiokę dla swojej cioci-babci Ann. Mieszkały z nią i nazywały Babunią. Julia była rok młodsza ode mnie, a Winnie miała sześć miesięcy. Julia trzymała jąna rękach i coś do niej mówiła. Wtedy podeszła do nich jakaś kobieta z małym synkiem. Chciała mu pokazać „dzidziusia”. Na widok Winnie zaczęła strasznie krzyżeć na Julię: „Jak śmiesz wychodzić z czymś takim na ulicę, do ludzi? To odrażające, ohydne. Powinnaś się wstydzić”. - Galen czule pogłaskała lalkę po czarnej główce. - Julia się nie wstydziła, oczywiście - dodała. - Patrzyła na Winnie oczami miłości, choć dla reszty świata Winnie wyglądała jak... - Galen zawahała się i urwała.

- Jak wyglądała? - zapytał Lucas głosem niemal pieszczotliwym. - Pamiętasz? Czy też widziałas w Winnie, tak jak Julia, tylko małą, kochaną dziewczynkę?

- Tak ją właśnie widziałam - szepnęła Galen. - Tym dla mnie była, choć miała bardzo widoczne i bardzo poważne wady rozwojowe w układzie kostnym i nerwowym. Kiedy przyszła na świat, lekarze dawali jej zaledwie kilka dni życia.

- Gdy ją poznałaś, miała już pół roku.

- Tak. Zdumieni lekarze zaniechali w końcu spekulacji na temat długości jej życia. Oznajmili tylko, że nigdy nie będzie chodzić. I mieli rację. Uważali również, że nigdy nie będzie widziała. Tymczasem Winnie widziała wszystko, tylko w swojej własnej gamie kolorów. W jej świecie niebo za dnia miało barwę zieloną, a nocą przybierało kolor złota. Lśnił na nim księżyc jak akwamaryna. Pola kukurydzy mieniły się jej ulubionym kolorem -turkusowoniebieskim.

Turkusowoniebieski, pomyślał Lucas. Jak pewien obszerny płaszcz i rękawiczki.

- A jej bożonarodzeniowe choinki miały kolor fuksji?

- Tak. Moje rękawiczki dostałam w prezencie od Winnie. Zrobiły je w jej imieniu Julia z Babunią.

Babunia. Ciocia-babcia Ann, z którą, jak wspomniała Galen, dziewczynki mieszkały, i której imię wymawiała z taką miłością, że problem nieobecności rodziców Edwiny i Julii schodził na dalszy plan.

Po chwili Galen podjęła przerwany wątek, uśmiechając się do swoich wspomnień.

- Przez jakiś czas wszystko układało się wspaniale. Mieszkałam w domu matki i Marka, ale większość czasu spędzałam z Winnie, Julią i Babunią. Ale potem... - Galen urwała, a jej twarz pociemniała. - Babunia umarła. Miała prawie osiemdziesiąt dwa lata i odeszła z tego świata spokojnie i cicho. Był to jednak straszny cios. Odczułam go bardzo. Umarła w marcu. Byłam wtedy w ostatniej klasie szkoły średniej. Dwa miesiące później, tej pamiętnej majowej nocy...

- Dziewiątego maja.

- Tak, dziewiątego maja - potwierdziła Galen z goryczą, jakby mocno przeżywała tamten smutny okres straty - wczesnym wieczorem wróciłam od Julii i Win. One wcześniej kładły się spać. Julia dostosowała się pod tym względem do potrzeb Winnie. Myślałam, że będę w domu sama. Matka miała zajęcia, a Mark pracował na nocną zmianę. Tak przynajmniej myślałam. Poszłam do kuchni po szklankę wody, kiedy z nienacką się pojawił. W mundurze.

- W mundurze?

- Tak. Mark był... jest policjantem.

- Coraz lepiej - mruknął Lucas.

- Tego dnia pracował na dzienną zmianę. W ostatniej chwili z kimś się zamienił. Powiedział, że już od dłuższego czasu mnie nie oglądał. To znaczy nagiej. Wprawdzie ciągle wyglądam jak strach na wróble, przynajmniej w tym luźnym ubraniu, ale mam osiemnaście lat, więc pod spodem na pewno już dojrzałam. I on to sprawdzi. Odrzekłam, że jest chory, zboczony. Że w końcu to zrozumiałam imam zamiar o wszystkim powiedzieć mamie. A także powiadomić szeryfa. Mark tylko się zaśmiał. Odparł, że to ja jestem zboczona. Że moja przyjaźń z Julią, a zwłaszcza z Winnie, jest chora, że odkrył wszystko, kiedy Babunia umarła. Nabrał wtedy obrzydliwego zwyczaju. Bardzo powoli przejeżdżał samochodem pod ich domem, gapiąc się w okna i uśmiechając drwiąco. A poza tym,

kto uwierzy, że jakkolwiek mężczyzna zechce spojrzeć dwa razy na taką dziewczynę? Tymczasem on postanowił wyświadczyć mi przysługę i mimo mojej brzydoty zrobić ze mnie kobietę. I to zaraz.

- Na blacie leżał nóż.

- Tak. Mark mnie prowokował: „Broń się, jeśli potrafisz!” Rzeczywiście sięgnęłam po nóż. W tej samej chwili wyobraziłam sobie, jak dźgam go prosto w pierś. Był to przerażający obraz. Cofnęłam dłoń. „Widzisz?”, drwił, rozpinając koszulę i pasek u spodni. „Zawsze mnie chciała”. Zaczął mnie całować i szarpać na mnie bluzkę. Wtedy do kuchni weszła matka.

A więc to wówczas, pomyślał Lucas, śmiertelny mróz ściał zielone pędy nadziei. Patrząc w chmurne błękitne oczy, zapytał łagodnie:

- I co?

- Była w szlafroku. Chyba spała. Żle się czuła i zrezygnowała z wieczornych zajęć.

- I?

- Na jej widok Mark zaczął się tłumaczyć, że wrócił do domu stęskniony za nią, poruszony tragedią, jakiej był świadkiem tego dnia w pracy - okropnym wypadkiem samochodowym na autostradzie. Zrozumiał, jak cenne jest życie i miłość. Tymczasem nie zastał jej w domu. Przynajmniej tak sądził. Ja zaś już od dawna się do niego przystawiałam. Dotąd opierał mi się i unikał mnie, ale tego wieczoru, kiedy tak bardzo jej potrzebowałam... Wie, że to go nie usprawiedliwia. Nie będzie więc miał jej za złe, jeśli go wyrzuci.

- Ale ona wyrzuciła ciebie.

- Sama opuściłam dom, zanim miała okazję to zrobić.

- Więc nie wiesz.

- Czego nie wiem?

- Co by zrobiła.

- Oczywiście, że wiem - odparła Galen bez wahania, z goryczą. Wrócił stary, dobrze znany ból. - Uwierzyłaby Markowi, którego kochała. Markowi, nie mnie.

- Ale ty jej nigdy nie powiedziałaś, że Mark przychodził do twojego pokoju, prawda?

- Nie.

Nie. Bo i tak by o to nie dbała, bo i tak by nie...

- Bo była taka szczęśliwa - dopowiedział Lucas - a ty nie chciałaś jej unieszczęśliwić.



Jego słowa zaskoczyły ją i zdumiały. W jednej chwili znowu stała się rozmarzoną dziewczynką, zapatrzoną na kwitnące stokrotki, pamiętającą śmiech i miłość matki, zanim zjawił się Mark. Ta dziewczynka, ta kochająca i kochana córka, zaczęła przypominać sobie jeszcze więcej: jak udawała, że wszystko jest w porządku, jak starała się, żeby matka o niczym się nie dowiedziała i nie nabrała podejrzeń, co robi Mark, gdy jej nie ma w domu. Ta dziewczynka utrzymywała tę straszną rzecz w sekrecie przed matką, z którą dawniej dzieliła wszystkie swoje tajemnice. Ale to się zmieniło. Ona to zmieniła. Z powodu Marka. To Galen odsunęła się od matki. Na początku, żeby ją chronić. Z czasem jednak zaczęła obwiniać Bess Chandler. Był to wyrzut skrywany głęboko, piekący i bolesny. Ukrywała go, jak tyle innych tajemnic, nie wyłączając największej i najcenniejszej - tajemnicy jej świata, świata Julii, Winnie i Babuni. Dawniej, zanim Mark wdarł się w ich życie, Galen z radością wpuściłaby matkę do tego sekretnego świata i razem szyłyby ubranka dla Winnie.

Lucas w milczeniu obserwował reakcję, jaką wywołała jego sugestia, że Galen nie chciała niszczyć szczęścia matki. Była to gwałtowna burza, mroczna i straszną. Ale w błękitnych oczach dostrzegł coś jeszcze. Błysk zastanowienia. I nadziei.

- Galen? Czy dlatego nic jej nie powiedziałaś?

- Ja... Może...

- Tamtej nocy opuściłaś dom.

- Tak. Matka i Mark wciąż siedzieli w kuchni. On bez przerwy mówił, coś wyjaśniał. Wrzuciłam trochę rzeczy do plecaka, chwyciłam mitenki i wyszłam.

- Poszłaś do Julii.

- Miałam zamiar. Mieszkała na drugim końcu miasteczka. Byłam już niemal pod jej domem, kiedy nadjechał Mark. Wyskoczył z samochodu, złapał mnie za ręce i zaczął śmiać się z mojego przerażenia. Powiedział, że nie mam się już czego bać, bo zobaczył wystarczająco dużo, by wiedzieć, że ciągle wyglądam jak strach na wróble. Nie jest już mną zainteresowany. Poza tym czeka na niego matka. Pragnie go bardziej niż kiedykolwiek i chce jeszcze czegoś. Oboje tego chcą. Krótko mówiąc, życzę sobie, żebym raz na zawsze wyniosła się z miasta. Zagroził, że jeśli natychmiast nie wyjadę lub kiedykolwiek spróbuję kontaktować się z Julią, on postara się, żeby Winnie zamknięto w zakładzie. Już on tego dopilnuje. Łatwo da się to przeprowadzić, bo do narodzin Winnie Julia uczyła się w domu z Babunią, ale potem opieka nad siostrą pochłaniała tyle czasu, że na nic innego go nie starczało. Julia nie uczyła się, a miała dopiero siedemnaście lat. Mark mógł poinformować o tym odpowiednie władze. Obiecał, że zrobi to bez wahania. Julię zmuszą do powrotu do szkoły, a Winnie wyślą do zakładu, gdzie, o czym dobrze wiedziałam, długo nie pożyje. Mark też o tym wiedział. Zagroził, że jeśli nie zrobię dokładnie tego, co mi każe, Winnie wkrótce umrze. Samotna i opuszczona.

- Mark szantażem zmusił cię do opuszczenia Julii. -1 to w chwili, pomyślał Lucas, kiedy przyjaciółka tak bardzo jej potrzebowała.

- Tak. Zawiózł mnie na dworzec autobusowy do sąsiedniego miasta, kupił bilet w jedną stronę do Chicago i czekał, aż wsiądę do autobusu i odjadę.

- Nie miałaś wyboru, Galen. Musiałaś opuścić Julię, żeby chronić ją Winnie.

- Tak, wiem. Tylko że Julia nie wie.

- Nigdy jej nie powiedziałaś?

- Nie. Nawet wtedy, jak Winnie... umarła. - Galen nie wiedziała nawet, kiedy przyjaciółka musiała zmierzyć się z tą stratą. Nie śmiała dzwonić. Ważne, że nie było jej przy Julii, gdy ona najbardziej tego potrzebowała. A pojawić się tak nagle, po latach nieobecności...

- Musisz z nią porozmawiać.

W ściętych mrozem błękitnych oczach zabłysła nieśmiała nadzieja.

- Tak uważasz?

- Oczywiście. Julia też by tego chciała. - W oczach Galen pojawiła się zapowiedź wiosny. - Zostaje jeszcze twoja matka.

- Matka? - powiedziała z powątpiewaniem, ale w jej oczach nadal lśniła nadzieja, podtrzymywana jego dodającym otuchy spojrzeniem.

- Z nią również powinnaś porozmawiać. Wyznać, co Mark ci zrobił. I dowiedzieć się, co by się stało, gdybyś wówczas nie wyjechała. No i jak potoczyły się sprawy po twoim wyjeździe. Czy ciągle jest z Markiem? Wiesz coś o tym?

- Nie jest z nim. Kilka lat temu doszłam do wniosku, że mimo troskliwej opieki, jaką Julia otaczała swą siostrę, Winnie z pewnością już nie żyje. Zadzwoiłam do biura szeryfa i do szkoły. Nie przedstawiłam się i nikt nie zapytał mnie, kim jestem. Dowiedziałam się, że Mark wyjechał do San Die-go i nadal pracuje tam w policji.

- A matka?

- Mieszka w Kansas i jest nauczycielką. - Jak dawniej, pomyślała Galen, jak przed tym okropnym dniem, kiedy zamieszkał z nimi Mark. Jak wtedy, gdy matka i córka dzieliły wszystkie swoje tajemnice, rozprawiły o stokrotkach i sukniach ślubnych, śmiały się i bardzo kochały.

- Więc? - zapytał Lucas cicho, jakby wiedział, o czym Galen rozmyślała.

- Może - Galen usłyszała, że naprawdę mówi to na głos - może pewnego dnia porozmawiam z nią o tym wszystkim.

Lucas uśmiechnął się. Galen odwzajemniła uśmiech.

Ten „pewien dzień” nie mógł jednak nadejść tak długo, jak długo na wolności pozostawał psychopatyczny morderca kobiet. Wrócili do rozważań na temat potencjalnego podejrzanego, którego Galen mogła znać w przeszłości.

- Czy kiedykolwiek informowałaś policję o tym, co zrobił Mark?

- Tak. Sześć miesięcy temu. Napisałam do szefa policji w San Diego. Pracowałam w Gavel-to-Gavel wystarczająco długo, żeby wiedzieć o domniemaniu niewinności. Byłam pewna, że nie podejmę żadnych kroków na podstawie samego doniesienia. Wyraziłam jednak nadzieję, że wezmą je pod uwagę, gdyby pod adresem tego człowieka padły podobne oskarżenia.

- Podpisałaś się?

- Tak.

- Dostałaś odpowiedź?

- Nie. Zresztą się nie spodziewałam. Sądzę, że pokazali mój list Markowi. Tak, pomyślał Lucas. Mógł cię zdradzić inny glina.

- Jeśli istotnie tak się stało, Mark był na mnie wściekły. - Galen zaczerpnęła powietrza. - Wie, że lubiłam szyć - a zabójca używa igieł; dziś w nocy robił aluzje do pól kukurydzy i luźnych ubrań... to znaczy do bielizny, jaką nosiłam.

- Ponadto obaj, Mark i zabójca, są seksualnymi sadystami. Wczoraj postanowiłaś nie wspominać mi o Marku - dodał Lucas łagodnie.

- Tak.

- Z jakiego powodu?

- Bo mogę sobie wyobrazić, że Mark napada na mnie i w jakiś sposób krzywdzi, straszy. Ale to??? To jest takie perfidne i na zimno skalkulowane.

- Tak - zgodził się Lucas. - A ponadto, gdyby chciał ustalić powiązania między mną a ofiarami, musiałyby mieszkać przez jakiś czas na Manhattanie. A to, jak wiemy, nie wchodzi w rachubę.

- Myślisz więc, że to nie on - podsumowała Galen. Rzeczywiście, to nie on. Mimo zbieżności; i tych znaczących - igła, nóż -

i tych trywialnych, jak kukurydziane pola i luźna bielizna. O pierwszych łatwo było się dowiedzieć z mieszanki domysłów i podejrzeń dostarczanych publicznie przez Rosalyn St. John. Te drugie wyglądały poważnie, bardziej przekonująco. Mimo to Lucas nie był przekonany, że zabójcą jest Mark. Czuł, że to nie on.

- Uważam, że to nie on - powiedział głośno - mimo to zamierzam ustalić, czy podczas tych nocy Mark był w San Diego na służbie. Ale tu nie chodzi o ciebie, Galen. To nie twoja walka.

- Ciągłe chcesz mnie zwolnić.

- Nie chcę, żebyś brała w tym udział. Dla twojego dobra.

Zapadła cisza. Galen słyszała tylko głośnie bicie swego serca. Lucas chciał jej oszczędzić bólu. Rezygnował z jej pomocy. Robił to dla niej.

Śnieżnobiały zegar na kominku wydzwonił kolejne kuranty, melodię radości i szczęścia, przypominając o baśniowych godzinach. A także o cierpieniu i śmierci. Marcia, zamordowana projektantka wnętrz, wiedziała, że stary, cenny zegar spodoba się Lucasowi.

- Zostaję, poruczniku - odezwała się Galen, kiedy zegar umilkł. - Robię to dla ciebie, pomyślała. By pomóc ci pomścić tę bezsensowną rzeź, zakończyć - ze względu na ciebie - to cierpienie. - Wzięło mnie to, wiesz? Chcę zobaczyć, jak się to wszystko skończy.

Obrała kurs prosto na górę lodową. Cała naprzód! Pełne obroty! Poradzi sobie. Musi sobie z tym poradzić. Na razie wołała nie definiować, co oznacza owo „z tym”.

- Zgoda? - zapytała.

- Zgoda. Na razie.

Na zawsze, poprzysięgła w duchu. Tak długo, jak będzie trzeba, i za cenę, jaką przyjdzie zapłacić. Cała naprzód.

W tym momencie jej uwagę zwrócił jakiś ruchomy obraz. Powędrowała wzrokiem ku błyszczącemu odbiciu w szybie i zobaczyła siebie: stracha na wróble w za obszernym dresie.

- Uważasz, że kupienie tych rzeczy - tej seksownej, ekskluzywnej bielizny w „Ofelii”, pomyślała - o których mówił zabójca, jest konieczne?

Wpatrywała się w swoje odbicie.

- Niekonieczne, ale wskazane - odpowiedział smukły, elegancki i zmysłowy mężczyzna.

- Żeby zminimalizować potrzebę kłamstwa?

„To, co widzisz, nie jest kłamstwem”, zdawał się mówić obraz w lustrzanej szybie. To ty. Pamiętaj o tym, kiedy przyjdzie ci do głowy marzyć o królewiczu z bajki.

- Tak? - Lucas poruszył się. Wreszcie. Nie zmniejszył jednak dzielącego ich dystansu, na co Galen od dłuższej chwili miała ochotę, lecz zasłonił sobą widok, który wprowadził ją w takie zakłopotanie. Galen jeszcze bardziej się zmieszala i wbiła wzrok w podłogę. - Nie musisz tego na siebie wkladać. Wystarczy, że opisziesz te rzeczy. To bardzo ułatwi ci rozmowę. Zawieziemy lalki do Casey o drugiej, potem wstąpimy do „Ofelii”, a następnie na Riverside Drive. Na wywiad z Janet Bell.

- Jaki wywiad? - Galen podniosła wzrok. - Kim jest Janet Bell?

- Najlepszą przyjaciółką Kay. Przebywała w Paryżu i nic nie wiedziała o jej śmierci. Wobec śledczych zajęła wrogą postawę. Uważała, że jeśli chcą się dowiedzieć, z jakiego powodu zamordowano jej przyjaciółkę, powinni mnie o to zapytać. Mogło to, oczywiście, nic nie znaczyć. Była bardzo zdenerwowana. I nadal jest. Ze mną nie zechce rozmawiać. Już próbowałem.

- Sądysz, że ze mną zechce?

W tym momencie Galen zobaczyła swoje całkiem odmienione odbicie w innym lustrze - w szarych oczach Lucasa.

- Jeśli zgodzi się z kimś rozmawiać, to tylko z tobą, Galen.

## 16

Tego zimowego, niedzielnego popołudnia Manhattan stał się krainą cudów.

Lucas i Galen maszerowali po śniegu. Wszyscy dzisiaj poruszali się pieszo albo na sankach, łyżwach lub nartach. Uszczęśliwione czworonogi o oblodzonych, śmiejących się pyskach radośnie baraszkowały w śniegu wraz ze swymi właścicielami. Psie szczekanie wtórowało radosnym piskom dzieci.

W Central Parku zgromadziły się całe rodziny - ludzie, ich zwierzęta i powiększający się z chwili na chwilę klan śniegowych bałwanów o prze-najróżniej szych kształtach i rozmiarach, bystrych oczach z guzików, uszach z czerwonych jabłek i z niedzielnym wydaniem „Timesa” pod śniegową pachą. W cudownej zimowej krainie panowały śmiech i radość.

Idący u boku Galen mężczyzna z torbą pełną lalek Barbie nie dostrzegał roztaczającej się wokół aury szczęścia, nie słyszał jego odgłosów. Ten radosny nastrój zapewne potęgował bolesne wspomnienia o kobietach, które już nigdy z niczego nie będą się cieszyły. Były martwe, bo kiedyś, dawno temu znały przelotnie Lucasa Huntera.

A może...

- Wyczuwasz jego obecność?

Zabójcy kobiet? Nie, odparł w myślach Lucas. Czuł natomiast atmosferę innego dnia i wspominał innego zabójcę, który wiele lat temu skradł mu duszę i śmiertelnie zranił serce.

Myślałem o czymś zupełnie innym. Przepraszam.

Zdobył się na uśmiech specjalnie dla Galen. Uśmiechnął się też do Ca-sey, kiedy dostarczyli lalki do szpitala punktualnie o drugiej. Poza tym był poważny, zamyślony, choć już nie tak daleki. Dotarli do „Ofelii”. Zabójca kobiet nie do końca miał rację. Galen zarejestrowała pojawienie się nowego, ekskluzywnego butik. Zarejestrowała i przestała się nim interesować. Nie dlatego jednak, że ofertę „Ofelii” uważała za wyuzdaną. Wręcz przeciwnie, był to butik z klasą i stylem, przeznaczony dla nowoczesnych kobiet, pewnych siebie w życiu zawodowym i prywatnym. Przychodziły tu i kupowały rzeczy, które pomagały im cieszyć się kobiecością, celebrować jej siłę i tajemnicę - oraz dzielić się nią z ukochanym mężczyzną.

Galen rozejrzała się po przestronnym wnętrzu i śmiało skierowała swe patykowate nogi, odziane w zgrzebny džins, prosto ku porozwieszonym i rozłożonym na ladach częściom garderoby.

- Dziel i rządź - odezwał się poważny głos tuż za nią. - Zaczynij tutaj.

W jednej chwili ruchy Galen nabrały wdzięku i gracji. Mimo workowatych spodni poruszała się niczym w tańcu, prowadzona silną i delikatną dłonią spoczywającą na jej ramieniu. Czuła jej siłę i ciepło przez gruby turkusowy płaszcz i wszystkie warstwy odzienia, jakby była jedną z tych nowoczesnych, pewnych siebie kobiet, odzianych jedynie w zwiewny śmiały skrawek jedwabiu.

Lucas zaprowadził ją do działu z bielizną dla panny młodej, przeznaczoną na dzień wesela i noc poślubną. Tradycyjną. Staromodną. We wszystkich odcieniach bieli. Z początku Galen tylko patrzyła. Jednak uroda tych rzeczy a może marzeń? - okazała się tak wielka, że zdjęła rękawiczki, by poczuć pod palcami miękkość satynowej koszuli nocnej, haftowanej w róże w odcieniu kości słoniowej. Zastanawiała się, czy pan młody dostrzeże piękno tych róż, tych delikatnych paków nadziei, i zachwyci się ręcznie wyszywanymi płatkami, zanim zsunie ten satynowy obłok z ramion drżącej panny młodej? Drżącej? No tak. Nowoczesna panna młoda drży raczej z podekscytowania niż ze strachu. Dumna i pewna siebie, sama zrzuca zwiewną satynową zasłonę.

Lucas także poddał się urokowi tej chwili i miejsca. Obserwował Galen z bezpiecznej odległości. Zbliżył się - i spłoszył czar - dopiero wtedy, gdy ból w sercu stał się nie do zniesienia.

- No i co tam, Galen?

- Obawiam się, że niewiele zdziałałam!

- Nie szkodzi. Chyba znalazłem coś, czego potrzebujemy. - W ręce, w której poprzednio niósł torbę wypełnioną lalkami, trzymał papierowe opakowanie koloru kości słoniowej. Pergamin, z którego je zrobiono, był równie wysokiej jakości, jak towar oferowany w „Ofelii”, a wytłaczane wzory tak bogate i finezyjne, że z trudnością odrywało się od nich wzrok, by zajrzeć do środka. Na opakowaniu nie figurowała nazwa butik, tylko maleńki, wytłaczany bukietik złotych fiołków. - Możemy już iść, czy chcesz jeszcze czegoś poszukać?

- Nie. Chodźmy. - Galen spojrzała na pergaminowy pakunek. - Mam to wziąć?

- Nie. Ja poniosę.

Wyszli ze sklepu i ruszyli na Riverside Drive, gdzie Galen miała przeprowadzić nieuwzględniony w harmonogramie wywiad z przyjaciółką zamordowanej pani prokurator.

- Pani Bell?

- Kto tam?

- Galen Chandler. Z KCOR.

- Wiem, kim pani jest. Przyszłaś sama?

- Nie. Jest ze mną porucznik Hunter. Głos w domofonie na chwilę zamilkł.

- Porozmawiam z panią. - Głos zabrzmiał ostro. - Tylko z panią. Zgoda?

- Zgoda.

Donośne brzęczenie dało znać, że drzwi są otwarte. Galen pytająco spojrzęła na Lucasa.

- Zaczekam tutaj.

- Na zewnątrz?

- Jasne. - Błysk w jego oczach przypomniał jej o trawiącym go od środka ogniu. - Nie zmarzę, Galen. Nie spiesz się.

Rozmowa nie zabrała wiele czasu. Przyjaciółki Kay nie trzeba było namawiać do zwierzeń.

- Nie zniosłabym jego widoku.

- Czyjego widoku?

- Lucasa Huntera.

- Zna go pani?

- Wiem o nim wystarczająco dużo. Żałuję, że kiedykolwiek usłyszałam jego imię. Niestety, wiele się o nim nasłuchałam. Wiem wszystko o tym sukinsynu, który wyjechał do Australii zaledwie parę godzin po tym, jak Kay zamordowano. Czuję się winna, że nie było mnie tutaj. Nawet nie wiedziałam, że nie żyje. Ale on wiedział. Mimo to wyjechał.

- Musiał - powiedziała Galen łagodnie. - Wzywały go obowiązki.

- Obowiązki? Lucasa Huntera? No, proszę!

- Przywódcy jakiejś sekty grozili, że pozabijają dzieci w wigilię Bożego Narodzenia. Porucznik nie miał pojęcia, że morderstwo Kay wiązało się z jego osobą. Bo niby skąd? Owszem, pracowali razem przy kilku sprawach, ale...

- Pracowali razem? Tak pani to przedstawił?

- Tak.

- I pani mu wierzy? Oczywiście, że tak! Nie rozumiem sama, czemu mnie to dziwi. Kłamstwa i seks to dwie rzeczy, do których Lucas Hunter ma prawdziwy talent. Kłamstwa. Seks. I morderstwa. Nie zapominajmy o tym. Swoim okrucieństwem i kłamstwami dobijał Kay.

- Nie rozumiem - wymamrotała Galen, choć obawiała się, że rozumie.

- Kay była w nim zakochana. A Lucas, ten prawdziwy zabójca kobiet, twierdził, że również ją kocha. Tak, tak. Wielokrotnie wypowiadał te magiczne słowa: „Kocham cię, Kay. Wyjdź za mnie”.

„Magiczne słowa”, powtórzyła Galen w myślach. Nie straszne słowa zabójcy - „krzyż na sercu” - lecz piękne, magiczne, prawdziwe.

- Opowiadał kłamstwa. Przyznał się do tego, kiedy już z nią zerwał. Kay była załamana, zrozpaczona. Bałam się, że sobie z tym nie poradzi, że ta silna, piękna i zdolna kobieta tego nie przeżyje. Ale przeżyła. Parła do przodu. Wreszcie zaczęła odzyskiwać równowagę. Poznała kogoś cudownego. Nie powiedziała, kto to jest. Tylko tyle, że to nie Lucas. Zapewniała, że po raz drugi nie popełniłaby tego samego błędu.

Janet przerwała. Galen, choć kompletnie przytłoczona usłyszanymi rewelacjami, zdołała zadać pytanie.

- Czy odkryła pani, kto to był?

- Nie. Ale...

- Tak?

- Ten związek był z jakichś względów zakazany.

- To znaczy, że on był żonaty?

- Niekoniecznie. - Janet wzruszyła ramionami. - To mógł nie być on, lecz ona. Żona jakiegoś prominenta. Czemu nie? Po tym, jak Lucas ją zranił, po co, na Boga, Kay miałyby się wiązać z kolejnym mężczyzną?

- Myśli pani, że jej nowy kochanek mógł ją zabić?

- Co? Nie! To po to tu pani przyszła!

- Przyszłam, żeby wysłuchać wszystkiego, co pani ma do powiedzenia. Nawet, jeśli to tak boli.

- Kay przez całe swoje dorosłe życie wsadzała przestępców za kratki. Wyczuwała psychopatów na kilometr. Z wyjątkiem, oczywiście, Lucasa Huntera. Ale drugi raz na pewno nie dałaby się nabrać.



Niewiele czasu ci to zajęło - powitał Galen Lucas. Spójrz na mnie, proszę niemo. Ale Galen nie spojrzała. Nie mogła.

- Rzeczywiście.

Dlaczego nie powiedziałaś mi prawdy, Lucas? - myślała.

- Czy to znaczy, że Janet Bell nie chciała mówić? - zapytał cicho. Nie będę rozczarowany, jeśli odmówiła. To nie twoja wina.

W jego głosie usłyszała łagodną zachętę. Mistrzowski uwodziciel! Odwróciła wzrok w kierunku rzeki, która jak płynne srebro przeświecała między pniami nagich drzew.

- Przeciwnie. Mówiła dużo i otwarcie - stwierdziła Galen, zwracając się do rzeki.

- Dowiedziałaś się czegoś, co może się przydać? O, tak! Wiele. Zbyt wiele.

- Chyba nie. Ona po prostu chciała dać upust nagromadzonym emocjom i żalom. Wyjawiała jednak, że Kay miała kogoś, zanim została zamordowana.

Nowego kochanka, który w przeciwieństwie do poprzedniego nie kłamał i szanował jej uczucia. Czy ten dawny kochanek, biegły w sztuce czarnej magii, okaże teraz serce? Czy na wiadomość, że Kay znalazła nową miłość, zareaguje choćby najłżejszym objawem zazdrości lub żalu?

Galen oderwała wzrok od rzeki i bacznie spojrzała na Lucasa. Ale w jego niewzruszonej twarzy nie zobaczyła nic. Nic! Posępne szare oczy pozostawały spokojne jak morska głębina - jej śmiertelne wiry kryją się pod powierzchnią i wciągają każdego, kto ośmieli się wskoczyć.

- Powiedziała, kto to był?

- Nie. Nie wie. Ten związek był zakazany. Mogło chodzić o żonatego mężczyznę. Albo o kobietę. Ktokolwiek to był, sprawił, że Kay była nieprzytomnie szczęśliwa.

Wreszcie. Bez ciebie.

- Co nie znaczy, że nowy partner, kimkolwiek był, nie mógł zabić.

- To prawda - przyznała Galen. - Chyba mamy coś, czego można się uchwycić.

- Rzeczywiście - powiedział Lucas. - Coś jeszcze? Wszystko!

-Nic.

Kłamała. Wiedział o tym. Ruszyła ośnieżonymi schodkami w stronę parku. W milczeniu minęli kilka przecznic.

- Mam dla ciebie interesującą wiadomość - odezwał się w końcu Lucas. - Dzwonili z San Diego, kiedy rozmawiałeś z Janet. Mark ma żelazne alibi na dwie spośród tych czterech nocy. Poza tym nie wie o twoim liście. Ale jest w poważnych tarapatach. Toczy się przeciwko niemu sprawa o podobne czyny.

To mogła być dobra wiadomość. Teraz jednak nauczony jednej sztuczki kucyk nie umiał się nią cieszyć, bo poprzedziła ją inna, fatalna informacja.

- Zatem Mark nie jest mordercą. Czy to znaczy, że jestem zwolniona z zajmowania się tą sprawą?

- Jeśli chcesz. Tak! Nie. Nie wiem.

Przez dłuższą chwilę szli w ciszy, ciężkiej i zimnej jak zalegający wokół śnieg. Między pniami drzew rozbłyły światła „Zielonej Tawerny”.

- Masz ochotę się napić? - spytał Lucas, spoglądając na oświetloną fasadę.

Drzwi, złotawe i bliskie, zdawały się zapraszać do środka.

Napić się? Ktoś twierdził, że nie pije podczas pracy. Że w przerwach między zadaniami pije za dużo, aby uciec w krainę marzeń. Co by to oznaczało, rozmyślała, wypić za dużo z Lucasem Hunterem? Jaką ucieczkę, j jakie marzenia, jakie kłamstwa? Ile za dużo? Czy tyle, by udawać, że są jedną z tych radosnych par, które siedzą teraz w złocisto-zielonej tawernie w zapadającym powoli zmierzchu, kończącym jeszcze jeden cudowny zimowy dzień.

- Nie - odparła w końcu. - Nie jestem w nastroju. Ale czemu ty nie miałbyś się napić? Pójdę dalej sama. Jest bezpiecznie. Dookoła mnóstwo ludzi.

Prawda. Było bezpiecznie, a ona chciała już wracać. Sama. Lucas niemal się zgodził. Widział, jak bardzo pragnęła uwolnić się od niego. A przecież nie chciał jej więzić, lecz chronić.

W zapadającym zmierzchu rozległ się jego gorzki, proszący o przebaczenie głos:

- Ja też nie jestem w nastroju. Chodźmy do domu.

„Do domu”. Te słowa bolały i piekły przez całą drogę do domu.

Lucas wziął z rąk Galen płaszcz i podał jej torbę z zakupami. Kosztowne pergaminowe opakowanie było zmięte w miejscu, gdzie silna dłoń ścisnęła papier.

Odezwał się zdławionym głosem, jakby równie mocna ręka ścisnęła go za gardło.

- Kupiłem rzeczy, które, moim zdaniem, wybrałby zabójca. Nie sąw moim guście ani w twoim, Galen. Tylko w jego.

- Sprytnie.

Wypowiedziała to słowo inaczej niż poprzednio, kiedy objaśniał jej zasadę działania białych i lawendowych telefonów. Wówczas spoglądała szeroko otwartymi oczami, zaciekawiona i pogodna. Teraz, poważna i ostrożna, oceniała wiedzę bezlitosnego łowcy, znającego się na wszystkim, co może mu się przydać w pracy. Także na erotycznych gustach morderców.

- Tłumaczyłem ci, czemu należało kupić te rzeczy. Galen wbiła wzrok w pognieciony pergamin.

- Żeby zminimalizować konieczność kłamania. To dobry pomysł.

- Czy w takim razie powiesz mi, czego jeszcze dowiedziałas się od Janet? Galen uważnie przyglądała się złotym fiołkom.

- Mogłeś mi powiedzieć prawdę o swoim związku z Kay. I z Moniką, i z Marcia, i z Brynne.

- Powiedziałem prawdę. Pracowałem z Kay nad kilkoma sprawami. Ona oskarżała, ja dostarczałem dowodów. Wygrywał stan Nowy Jork.

Galen oderwała wzrok od fiołków i spojrzała w granitowo szare oczy.

- Wersja Janet jest zupełnie inna.

- Prawda jest jedna, Galen, ale proszę, opowiedz mi wersję Janet.

- Ona twierdzi, że ty i Kay byliście kochankami.

- Nie byliśmy.

- I że poprosiłeś ją o rękę.

Lucas głęboko zaczerpnął powietrza.

- Nie.

- I że ciągle powtarzałeś, jak bardzo ją kochasz...

- Nie. - Jego oczy były czyste, szczere. - Powiedziałem ci prawdę. Zataiłem tylko jedną rzecz, ponieważ Kay poprosiła mnie, żebym zapomniał, że to się w ogóle zdarzyło. Chodzi o pewną rozmowę telefoniczną. Kay zadzwoniła do mnie w sylwestra ubiegłego roku i dała do zrozumienia, że jest mną zainteresowana.

„Zainteresowana”. Czy ten eufemizm miał oznaczać pożądanie? Miłość? Czy szlachetny dżentelmen postanowił się nim posłużyć, by nie narazić na szwank honoru kobiety, zwłaszcza że ta kobieta nie żyła? Mistrz kłamstwa mówił teraz prawdę? Stosował kolejny wybieg?

- I co odpowiedziałeś?

- Że bardzo mi pochlebia, oczywiście, ale że jestem związany z kimś innym. Co zresztą było kłamstwem.

Coraz lepiej.

- Dlaczego?

- Dlaczego skłamałem? Bo kłamstwo było lepsze i bardziej wiarygodne niż prawda.

- Mianowicie?

- Że od pewnego czasu ograniczyłem moje związki z kobietami do krótkich epizodów, kiedy wyjeżdżałem z miasta.

Jak bardzo musi mu się wydawać łatwawierna! On naprawdę sądzi, że dziewczyna z Kansas wie aż tak mało na temat seksu - a w każdym razie na temat męskiej seksualności Lucasa Huntera?

- Nie kłam, Lucas. Proszę. To zbyt poniżające dla nas obojga.

- Nie kłamię.

- Więc co, raz na jakiś czas wyjeżdżasz na tydzień lub dwa?

- Coś w tym rodzaju.

- Ale...

Jakie to smutne, jakie puste, pomyślała.

- To tylko seks, Galen. Seks z kobietami, których już nigdy potem nie widuję.

Umiała to sobie wyobrazić. Arystokrata-playboy leci odrzutowcem na południe Francji, na spotkanie z kobietami tak bogatymi i wyrafinowanymi jak on sam, i uprawia z nimi seks, tylko seks, na jego warunkach. Opalony słońcem, upojony szampanem, z nikim uczuciowo niezwiązany.

Istniał tylko jeden problem.

- Od lat nie miałeś żadnej przerwy między sprawami.

- Tak.

- Od lat!

- To prawda - potwierdził cicho. - Od lat.

Galen spuściła oczy na trzymaną w ręku torbę z zakupami.

- Jak Kay zareagowała na twoje... kłamstwo?

- Uwierzyła. Zaczęła się śmiać i poprosiła, żebym zapomniał o tej rozmowie. „Zapisz to, powiedziała, na konto nudnego życia towarzyskiego i jednej whisky za dużo”. Co też zrobiłem. Nikomu o tym nie wspominałem. Aż do teraz.

- Widywałaś się z nią później?

- Nieustannie. Pozostaliśmy kolegami. Jakby tamta rozmowa nigdy nie miała miejsca.

Lucas twierdził (oprócz innych, jeszcze bardziej nieprawdopodobnych rzeczy), że wersja Janet i Kay to wykwit kobiecej fantazji i marzeń. Czy inteligentna, atrakcyjna Kay dałaby się tak zwodzić? Była beznadziejnie zakochana? To dość naciągane. Galen nie miała jednak wątpliwości, czego potwierdzeniem był jej własny dojmujący ból, że szarooki czarodziej może głęboko zapaść w serce każdej kobiecie. Także takiej chudej, wyglądającej jak strach na wróble krawcowej, która wszystko w życiu osiągała fuksem. Jej samotne serce widziało w jego szarych oczach cudowne rzeczy. Tęsknotę, czułość, pragnienie. To wszystko złudzenie, myślała, ułuda. Mimo to pozwalała się zwodzić. Och, Lucas, czego ty ode mnie chcesz?

- To bardzo ważne, Galen, żebyś mi uwierzyła.

- Chciałabym.

Opowieść o Kay może i jest prawdziwa. Ale nie uwierzę, że zmysłowy mężczyzna obywatela się bez miłości i seksu przez całe lata...

- W porządku - powiedział Lucas miękko. - Przemyśl to i daj mi znać. Nie muszę nad tym myśleć! Wierzę ci. Oczywiście, że ci wierzę.

- Dobrze - wymamrotała i machnęła papierową torbą. - Zabieram to do siebie i...

- Weźmiesz gorący prysznic i położysz się spać?

To był długi dzień, począwszy od telefonu zabójcy o trzeciej trzynastce nad ranem. Wprawdzie za namową Lucasa Galen wróciła potem do łóżka, ale już nie zasnęła. Przez cały ranek przeglądała kolorowe segregatory i planowała telewizyjny wywiad, jaki miała przeprowadzić w środę wieczorem. W południe oboje rozmawiali przez telefon z Vivecą. Poinformowali ją o żądaniach zabójcy. Szefowa działu wiadomości nie kryła zadowolenia i wysuwała wiele propozycji, które w większości spotkały się ze sprzeciwem Lucasa. Do wpół do drugiej, to znaczy do wyjścia z domu, Galen czesała lalki i owijała je w bibułki. Przygotowywała się na spędzenie cudownego zimowego popołudnia, które zakończyło się tak mrocznie.

- Jestem zmęczona - powiedziała.

- Śpij dobrze, Galen.

Kiwnęła głową i pomaszerowała przez marmurowy hol. Wstąpiła na śnieżną dywanową ścieżkę wiodącą do wiosny, do złudnej wiosny panującej w jej pastelowej sypialni. Wędrownka wśród bieli napawała dziwnym smutkiem. Pozbawiony lalek i baśniowej aury salon stał pusty i chłodny. Znajdowała się już w połowie drogi, kiedy zatrzymał ją głos Lucasa.

- Galen!

Surowość i powaga w jego głosie zaskoczyły ją. Odwróciła się. Taka sama surowość i powaga wyzierała z jego oczu.

- Słucham?

- Nigdy nie byłem w nikim zakochany.

Niemal rzuciła się w jego stronę. Cała naprzód! Ciągle stał w tym samym miejscu, z jej turkusowym płaszczem w rękach. Trzymał go delikatnie, niemal czule. Także wtedy, gdy zarzucała mu kłamstwo. Był nieporuszony i lodowato spokojny. Historycy utrzymują, że tamtej zdradliwej nocy, gdy „Titanic” spoczął na dnie oceanu, też panował niezwykle spokój. Gdyby wówczas Atlantyk nie był taki cichy, gdyby zerwał się wiatr i podniosły fale, może kapitan dostrzegłby spienioną wodę w miejscu, gdzie sterczała lodowa góra... Może dojrzałby niebezpieczeństwo, zanim było za późno.

. - Ja też nie - odpowiedziała Galen, w pełni świadoma niebezpieczeństwa. Dla niej też było już za późno. Stanowczo za późno.

Po raz drugi wyszeptwała: „Ja też nie”, a radosny chór w jej sercu podjął melodię i dokończył pieśni: „...póki nie poznałam ciebie”.

## 18

- Aż poznałam ciebie!

Chór wyśpiewywał niezmienny refren buńczucznie i pewnie. Także przy akompaniamencie, spadających kropel, gdy Galen brała prysznic, a nawet wówczas, kiedy rozsądek nakazywał przestać.

Dobrze, wspaniale. Kochasz go. Nie ty pierwsza i pewnie nie ostatnia. Znalazłaś się w doborowym towarzystwie. Wystarczy spojrzeć na utalentowaną, olśniewającą Kay. Lepiej weź się w garść. To tylko mrzonka, śmieszna i trywialna w porównaniu z problemem, który należy rozwiązać. Pamiętasz? Chodzi o morderstwo.

Weźmie się w garść. Musi się tylko trochę przespać. Nie będzie to takie trudne, pomyślała, wynurzając się z kłębów pary wypełniających łazienkę. Pobiegła do łóżka, wsunęła się pod miękką kołdrę i zwinęła w kłębek, jak cebulka wiosennego kwiatu, drzemiąca pod puszystą warstwą śniegu. Dość kanciasta cebulka, jeśli takie w ogóle istnieją. Oczywiście, że istnieją, przypomniała sobie mgliście. Cebulki tulipanów są okrągłe i gładkie jak wyłuskane orzechy laskowe; hiacyntowe przypominają jadalną cebulę o tuszczących się, fioletowawych łupinach. Cebulki żonkili natomiast

są nieregularne i trochę dziwaczne. Jak ona sama. W takim razie będzie cebulką żonkila. A teraz spać!

Pozostała jeszcze tylko jedna przeszkoda. Na środku łóżka ciągle leżała zmięta pergaminowa torba. Strąci ją na podłogę i w stosownym momencie obejrzy zawartość. Mimo tego postanowienia Galen zaczęła odginać zgnieciony brzeg torby. Błysnęły żywe barwy jedwabnej satyny. „Nie w moim guście, powiedział Lucas, i nie w twoim”. Za to na pewno właściwym w jej rozmiarze - dokładnie takim, jaki nosił strach na wróble o małych piersiach i kościstych biodrach - mimo że przecież wcale nie musiała się ubierać w te rzeczy. Miały jej tylko pomóc w rozmowie z zabójcą.

Lucas Hunter dostrzegł to, co ukrywała pod luźnymi ubraniami, i znalazł śmiałą, seksowną bieliznę. Wprawdzie nie w jego guście ani nie w jej, lecz za to w jej rozmiarze! I gdyby Galen dobrze poszukała, pewnie znalazłaby w swoim rozmiarze także bieliznę dla panny młodej, całą haftowaną w różę. Bieliznę w jej guście. I w jego?

„Póki cię nie poznałam...”

Przy łóżku zadzwonił telefon. Elektroniczny głos nie musiał czekać, aż Galen zaśnie, aby zbudzić ją ze snów. Wbiła wzrok w aparat, którego bładoliliowy kolor nagle wydał się złowróżbny. Zaczerpnęła głęboko powietrza i podniosła słuchawkę.

- Galen?

- Julia???

- Tak, cześć, to ja.

- O Boże, wprost nie wierzę, że... Mów, co u ciebie?

- Martwię się o ciebie. Oglądałam właśnie lokalne wiadomości. Podobno jakiś zabójca terroryzuje Nowy Jork i wydzwania do ciebie?

Do nas, skorygowała Galen w myślach. Miała ochotę wśliznąć się pod miękkie przykrycie, nie po to jednak, by spać, lecz rozmawiać z dawno utraconą przyjaciółką. Zamiast tego otworzyła drzwi i zobaczyła, że Lucas oddała się do swojego pokoju. Zdjął już słuchawki i trzymał je w dłoni, by nie naruszać jej prywatności. Odwrócił się na moment, słysząc ją za plecami, i zaraz podjął dalszą wędrówkę w głąb korytarza. Ta krótka chwila wystarczyła, by w oczach człowieka, od którego jeszcze tak niedawno chciała uciec, Galen zobaczyła tak wiele. Lucas cieszył się, rozumiał, ile ten telefon dla niej znaczy, oczekiwał go. Szare oczy wyrażały coś jeszcze. Samotność i tęsknotę.

Znowu ulegasz złudzeniom, Galen, pomyślała.

- Galen? - Julia przerwała przedłużającą się ciszę. - Nie masz mi za złe, że dzwonię? Ostatniej niedzieli oglądałam wiadomości w KCOR i wydawało mi się, że nosisz tamte rękawiczki.

- Rzeczywiście, stale je noszę. To cudownie, że dzwonicz -powiedziała uszczęśliwiona, zamykając drzwi. - Naprawdę usłyszałaś o tym wszystkim w telewizji? Lucas nie dzwonił do ciebie?

- Lucas? Masz na myśli tego porucznika? Nie. Nie dzwonił. A prosiłaś go?
- Nie. On wie, ile to dla mnie znaczy, że mogę z tobą rozmawiać. Julio, ja musiałam wtedy wyjechać. Nie mogłam się nawet pożegnać.
- Wiem.
- Wiesz?
- Nie znam szczegółów. To się stało z powodu Marka, prawda?
- Skąd wiesz?
- Nachodził nas w domu. Szukał cię. I to wielokrotnie.
- Groził ci?
- Tobie też groził, prawda? Że coś się z nami stanie, jeśli nie zrobisz tego, czego żądał?
- Tak. Tak. Powiedział, że jeśli kiedykolwiek spróbuję się z wami skontaktować... Obmyślałam rozmaite sposoby przekazania wam wiadomości. Wydawały mi się sprytne. Mogłam się jednak mylić. I co wtedy? Za duże ryzyko. To byłoby bardzo egoistyczne z mojej strony. Naraziłabym na niebezpieczeństwo Winnie.
- Wiem, Galen. Ja też nie znalazłam dość odwagi, by powiadomić szeryfa. Choćby z budki telefonicznej i zmienionym głosem. Nienawidziłam siebie za to.
- Szeryfa? Nienawidziłaś siebie? Za co?
- No, bo gdyby Mark cię zabił... Uspokajałam się, że gdyby to zrobił, nie krążyłby wokół naszego domu i nie węszył. Z drugiej strony, mógł się sprytnie kamuflować.
- Nigdy nie przyszło mi do głowy, że tak się o mnie martwisz.
- Ty wiedziałaś, że z tobą wszystko w porządku.
- ~ Żyję - zaprotestowała Galen. - Ale nie wszystko było w porządku.
- Powiesz, co się wtedy stało?
- Tak - odpowiedziała Galen. - Jeśli ty opowiesz mi o naszej małej Win. Przegadały kilka godzin. A kiedy wreszcie się pożegnały, obiecując wkrótce znów się skontaktować, Galen odłożyła słuchawkę i poszła do niego.
- Do niego.
- Wierzę ci, Lucas, i ufam. Miałaś rację. Musiałam porozmawiać z Julią.



Winnie żyła siedem lat, choć miała nie dożyć nawet roku. Umarła przed sześciu laty, dwanaście dni przed dwudziestymi pierwszymi urodzinami Julii. Julia podjęła pracę jako salowa, głównie na nocnych dyżurach i w weekendy. Jej życie po śmierci siostry musiało być bardzo samotne. Po drodze z lawendowej sypialni do „centrum dowodzenia” Galen postanowiła, że opowie Lucasowi o Julii i Winnie, a także o swoich planach. Pojedzie do Kansas. Ale jeszcze nie teraz. Zobaczy się z Julią, a może nawet z matką. Czy Lucasa zainteresują jej plany odbycia takiej emocjonalnej podróży? Na pewno.

Wierzę ci, Lucas. Wierzę.

- Cześć - powiedziała, stając w drzwiach jego pokoju. Lucas odwrócił się i wstał.

- Cześć.

Wydawał się zmęczony i samotny. Od kilku godzin przebywał tu sam na sam ze śmiercią.

- Cały czas rozmawialiśmy.

- Wyglądasz na zadowoloną.

- I to bardzo.

Interesowało go to! Dobrze zrobiła, że mu zaufała. Znowu wzbierała w niej pieśń radosnego chóru, tym razem z akompaniamentem orkiestralnym - z oddali dobiegały dźwięki kurantu kominkowego zegara.

Weźmie się w garść, pozbędzie złudzeń, zejdzie na ziemię. Potem. Kiedy to wszystko już się skończy. Po Lucasie. Przez resztę życia. Ale teraz, kiedy tylko uspokoi serce i oddech, powie mu wszystko, powtórzy rozmowę z Julią.

Lucas odezwał się pierwszy.

- Muszę ci coś wyznać.

Och, nie! Galen poczuła nagłe ukłucie w sercu na myśl o wyznaniu, którego nie chciała usłyszeć: „Kay i ja byliśmy kochankami. Tak, Galen, powiedziałem jej te magiczne słowa. Zawsze to robię. Cóż jeszcze dodać? Jestem draniem”.

- Przejdziemy do salonu?

Galen kiwnęła głową. Żadne słowo nie przeszłoby jej przez ściśnięte gardło. Nareszcie usłyszy prawdę: „One wszystkie były moimi kochankami, Galen. Nie chciałem ci o tym mówić. Nie byłem pewny, czy zrozumiesz. Twoja naiwność rodem ze Środkowego Zachodu, twoje kansaskie...” Zaraz, zaraz! Przecież to szydercze słowa zabójcy. Nie Lucasa. Nie Lucasa!

W cichym i nieskazitelnie białym salonie Galen dostrzegła coś, czego przedtem tu nie było: barwną jak kępka krokusów plamę na szklanym blacie stolika. Była to kolorowa fotografia. Zdjęcie Kay?

Może pośmiertny portret, którego widoku porucznik chciał jej wcześniej oszczędzić. Teraz posłuży się nim, by przekonać ją, że powinna nadal mu pomagać, mimo że ją okłamywał.

Galen nie potrzebowała aż tak konkretnej zachęty. Dla jej serca nie było już ratunku.

Pomogę ci, Lucas. I tak ci pomogę. Opadła na sofę, nie patrząc na fotografię.

- To zdjęcie zrobiono dwadzieścia siedem lat temu, tego samego dnia co dzisiaj - powiedział Lucas, podając jej fotografię.

Tego samego dnia, powtórzyła Galen w myślach, a spojrzawszy na zdjęcie zobaczyła, że był równie piękny i śnieżny jak dzisiejszy. Fotografia nie przedstawiała miejsca zbrodni, lecz czwórkę uroczych dzieci: trzy uśmiechnięte dziewczynki i poważnego chłopczyka. Dziewczynki zbliżyły się już do tej subtelnej granicy wieku, jaka oddziela dzieciństwo od kobiecości, choć wciąż jeszcze były dziewczynkami. Miały zaróżowione policzki. Wyglądały na bardzo dumne ze śnieżnego zamku, przy którym stały. Chłopiec był młodszy. Ile mógł mieć lat? Galen dokładnie znała jego wiek. Skoro Lucas miał teraz trzydzieści sześć lat, a zdjęcie zrobiono dwadzieścia siedem lat temu, ów chłopczyk liczył wówczas lat dziewięć. Był śliczny i poważny. Spoglądał prosto w obiektyw, bez uśmiechu. Buzię miał bladą, bez rumieńców. Wydawał się znużony i zarazem ciekawy świata. Zraniony i nie-ulękły. Zdesperowany i dziwnie wyciszony.

- To ty.

- Tak. I Marianna. - Lucas wskazał najwyższą z dziewcząt, która już wtedy wyglądała jak Grace Kelly. Stała obok drugiej pod względem wzrostu dziewczynki, także blondynki o arystokratycznym wyglądem, delikatnej i kruchej. - A to Nancy.

A trzecia dziewczynka? Pełne wdzięku dziecko o oryginalnej urodzie i obsypanej piegami buzi, rumianej i wesolej?

- Jenny - wyszeptał Lucas z czułością. - To jest Jenny. Galen także zniżyła głos do szeptu.

- Twoja siostra.

- Emocjonalnie, tak. Miała sześć lat, kiedy się poznaliśmy, a ja trzy. Moją matką jest Helena Sinclair.

- Jak w... - Galen urwała.

Ujmowanie skomplikowanych spraw w paru słowach nie stanowiło jej najmocniejszej strony, co słusznie wytknął Paul. Helena Sinclair, sławna brytyjska aktorka, nadal odnosiła sukcesy. Publiczność niezmiennie ją uwielbiała, podobnie jak zmieniający się i coraz młodszy sceniczni partnerzy.

- Tak. - Lucas uśmiechnął się słabo. - Tak czasem bywa. Mój ojciec był księciem, żonatym i dużo od Heleny starszym. Ten romans nie był w jego życiu niczym nadzwyczajnym. Tyle tylko że jego przyjaciółka zaszła w ciążę.

- Planowaną?

- W żadnym razie. Pierwszy mąż zostawił jej spory majątek i jedyny tytuł, na jakim jej zależało. Tak naprawdę chciała tylko jednego: bez przeszkód kontynuować karierę.

- Bez przeszkód - powtórzyła Galen cicho. Zaczynała rozumieć, dlaczego Lucas mówi o matce po imieniu, jak o obcej osobie. - Bez dziecka?

- Bez dziecka. Księżę jednak był innego zdania i nie zaakceptował pomysłu aborcji. Byłem w końcu krwią z jego krwi i kością z jego kości. Ani myślał, oczywiście, przyjmować syna z nieprawego łóża pod swój dach - miał już dwóch ślubnych. - Uważał jednak, że mam prawo przyjść na świat, on natomiast nie ma prawa mi w tym przeszkodzić. Helena wściekała się i cudowała. Księżę wziął na siebie finansową odpowiedzialność za moje wychowanie. Postanowił zapewnić mi najlepszą opiekę, nianie i drogie szkoły, a także dać nazwisko, choć nie tytuł, i spory majątek, który miał czekać w funduszu powierniczym, aż stanę się pełnoletni. Helena wysunęła jeszcze jedno żądanie. Chciała mianowicie, aby księżę użył swych wpływów i załatwił jej główną rolę w planowanym przedstawieniu na West Endzie. Miała talent. Ale potrzebowała przerwy.

- Cięża dostarczyła okazji.

- I tak, i nie. Księżę zmarł, podczas gry w polo, cztery miesiące przed moim urodzeniem. Zdążył jeszcze mnie zabezpieczyć, lecz zabrakło mu czasu na rozmowy z przyjaciółmi z West Endu.

- Och. - Galen przypuszczała, że Lucas i księżę stali się sobie bliscy, że Helena zniknęła z ich życia, by poświęcić się bez reszty karierze, a ich połączyła męska, arystokratyczna więź. Skoro jednak księżę zmarł, zanim Lucas przyszedł na świat... - Skąd wiesz o rozmowach, które toczyły się przed twoimi narodzinami?

- Od Heleny.

- Powiedziała ci, że chciała usunąć ciążę?

- Oczywiście. Nie było w tym nic osobistego. Bo i jak? Naszych wzajemnych stosunków nigdy nie cechowało nic osobistego.

- Ile miałaś lat, kiedy ci powiedziała?

- Prawie osiemnaście. Tydzień przed objęciem majątku. Obstawała, bym nim dysponował.

- Spodziewała się wdzięczności w zamian za obdarowanie cię bogactwem? Mimo że nie chciała cię urodzić! - Stwierdzeniu temu towarzyszył wybuch gniewu, jakby dla Galen prawdziwą tragedię stanowił fakt, że Lucasa mogło nie być na świecie.

- Nie oczekiwała wdzięczności. To ja, w pewnym sensie, byłem jej wdzięczny za szczerość. Dzięki temu dowiedziałem się czegoś o ojcu, którego nigdy nie znałem.

- I to sprawiło, że stałeś się taki jak on?

- Możliwe. - Lucas urwał i zmarszczył brwi. Po chwili dodał cicho: -Ale to, o czym naprawdę chcę ci opowiedzieć, to Jenny.

Jenny. Jennifer Louisa Kincaid. Ukochana córka dramaturga Lawrence'a i baleriny Isabelle, która zmarła wydając ją na świat. Po śmierci żony Lawrence wycofał się z życia na Broadwayu i całkowicie poświęcił opiece nad małą dziewczynką. Zamieszkali w Chatsworth w hrabstwie Westchester, elitarniej enklawie ludzi zamożnych i wpływowych, położonej na tyle blisko Nowego Jorku, żeby mógł stąd doglądać swoich interesów. To tu, w wielkiej posiadłości zwanej Bellemeade, pisał wieczorami, kiedy Jenny już spała, swoją najlepszą sztukę, poświęconą pamięci zmarłej żony. „Piruet” został właściwie zbudowany wokół jednej roli. Kiedy przyszło do wyboru odtwórczyni, Lawrence bez wahania zwrócił się do artystki od trzech lat święcącej tryumfy na londyńskich scenach - Heleny Sinclair.

Półtora miesiąca później sześciolatka Jenny Kincaid poznała Lucasa Huntera, wówczas trzyletniego, który poddał się bez reszty jej urokowi. Zawładnęła całkowicie tym poważnym małym chłopcem, z rzadka się odzywającym, choć wyglądało na to, że posiada jakąś głęboką, wrodzoną wiedzę. Wychowywały go zmieniające się nieustannie nianie, terroryzowane przez Helenę i nieprzepadające za swoim milczącym wychowankiem.

Lucas był cichym i milczącym dzieckiem. Jenny również - tyle że ona w sensie dosłownym, gdyż urodziła się głuchoniema. Mimo to potrafiła wszystko wyrazić za pomocą małych, migających z zawrotną prędkością rączek. Robiła to z nieporównanym wdziękiem, gracją i radością.

Szybko zawładnęła przybrany braciszkiem, swym małym paziem. Polecenia i reprimendy, choć kierowane do niego, adresowała w tej samej mierze do siebie: „Lucas! Musimy dobrze wytrzeć nasze ubłocone buciki!”. Lub - z rączkami wspartymi na biodrach między jednym gestem a drugim: „Jeśli zjemy naraz wszystkie świąteczne przysmaki, Lucas, naprawdę poważnie się pochorujemy!”.

Jenny rozprawiała bezustannie za pomocą swoich rąk tancerki, odziedziczonych po Isabelle. I tańczyła jak matka, nieustannie kręciła się i pląsała. Zatrzymywała się jednak natychmiast, wszystko nagle się zatrzymywało, kiedy Lucas miał coś do powiedzenia. Lub do pokazania.

Wiele lat później Lucas bezbłędnie opanował język angielski, nieskazitelny brytyjski akcent, nienaganną dykcję i styl. Ale angielski pozostał dla niego już zawsze drugim językiem. Pierwszym był migowy język Jenny. Używał go bez przerwy, tak jak ona i jej ojciec. Dziewczynka, choć nigdy nie wypowiedziała ani jednego słowa, szybko nauczyła się czytać z ruchu warg. Miała sokoli wzrok i często czerpała prawdziwą, choć wyzbytą jakiegokolwiek złośliwości przyjemność z poznawania treści rozmów, których inni nie mieli szansy słyszeć. „Słyszysz to, pytała gestem, co ja widzę?”.

Lucas spędził w Bellemeade sześć lat wraz z Jenny i Lawrence'em. A Helena? Chętnie zagrałaby rolę pani na Bellemeade, ale nic z tego nie wyszło. Lawrence kochał tylko Isabelle. Na zawsze.

Helena mieszkała na Manhattanie i przez sześć idyllicznych lat Bellemeade było jedynym domem jej syna. Lucas na zawsze zapamiętał tamtą atmosferę - czystą, jasną, pogodną i ciepłą. Jenny była roztańconą gwiazdą, słońcem, które spadło na ziemię z galaktyki radości, a on był małym,

dumnym księżycem na jej orbicie. Tworzyli rodzinę i stanowili część większej społeczności Chatsworth, bogatej i uprzywilejowanej, w której wszyscy czuli się bezpiecznie.

Wkrótce Lucas miał już niejedną, lecz trzy starsze siostry: Jenny, Mariannę i Nancy. To on umożliwił Jenny nawiązanie przyjaźni z dziewczętami. Ani Nancy, ani Marianna nie znały języka migowego i właściwie nie musiały się go uczyć. Jenny bezbłędnie czytała z ruchu warg, odpowiadała gestem swych zręcznych rąk, a Lucas tłumaczył, co powiedziała.

Jego świat w tamtym okresie był doskonały, czysty i tak oślepiająco jasny, że czający się w pobliżu mrok nie został w porę zauważony. Potem było już za późno. Lucas wyczuł nadchodzące niebezpieczeństwo, zło osaczające ich niepostrzeżenie, dwa dni przed tym, jak ciemność pochłonęła światło... Był to ostatni tydzień stycznia. Jenny miała lat dwanaście, a on dziewięć... Spadł śnieg, biały i czysty...

Lucas nie miał wówczas pojęcia, czym był i co mówił ten mrok. Wiele lat później, kiedy stał się już ekspertem w takich sprawach, poznał język, który nie był ani językiem Jenny, ani królowej brytyjskiej. Był to język zła. Jako dziewięcioletni chłopiec wyczuwał tylko jego istnienie zarówno wokół siebie, jak i we własnej duszy.

Zło uderzyło nagle. Przeszyło jego serce nieznośnym bólem, zmroziło krew w jego żyłach, przyniosło poznanie nienazwanych jeszcze wówczas uczuć: pożądania, wściekłości, szaleństwa, rozkoszy. Ich nazwy poznał później.

Wtedy jednak nie wierzył, że nastąpi jakieś „później”. Był pewny, że tego nie przeżyje. Chciał umrzeć. Zasłużył na śmierć. Bo te nienazwane uczucia nie powinny żyć. Nawiedziły go po raz pierwszy późną nocą i po chwili długiej jak wieczność odeszły, odpłynęły. Bezlitośnie wróciły ze zdwojoną siłą następnej nocy, tym razem na dłużej, zostawiając na nim swe plugawe piętno i zmieniając go na zawsze.

Za dnia zło wycofywało się i kryło. Ale nawet tego cudownego zimowego dnia jego cień czał się w pobliżu. Lucas towarzyszył Jenny podczas spaceru do parku, czyli na wielką łąkę między posiadłościami, gdzie dzieci z Chatsworth chodziły się bawić. Jenny uparła się, żeby z nią poszedł. Nie po to, by tłumaczyć - ona, Mariannę i Nancy świetnie radziły sobie same -lecz po to, żeby cieszyć się wspólnie tym cudownym dniem.

Dziewczęta liczyły, że pomoże im zbudować zamek ze śniegu. Tymczasem Lucas nie przyłączył się do zabawy. Stał tylko i patrzył, odległy i uważny. Był obcy w tej krainie śmiechu i radości. Obserwował, czuł, szukał... Czego?

Sam nie wiedział, aż było za późno. Nie domyślił się, że potwór, to ucieleśnione zło, skrzętnie kryjąc swą prawdziwą twarz, stoi tuż przed nim i namawia go, by się uśmiechnął do obiektywu. Aparat fotograficzny należał do Nancy, lecz na pomysł zrobienia zdjęcia wpadła Marianna. Fotografował natomiast Brandon.

Brandon Christianson miał szesnaście lat i był potomkiem rodziny tak bogatej i wpływowej, że jej członkowie często uważali, iż prawa stosowane wobec innych ich nie dotyczą.

Zaraz po tym, jak Brandon zrobił zdjęcie, zjawili się jego kumple i zaproponowali nową zabawę - ich zabawę - w której wszyscy mieli uczestniczyć. Park przekształcił się w pogańską osadę, a oni, poruszając się na nartach, ją zdobywali. Już samo pojawienie się czwórki wyrostków na stoku zakłóciło spokój tego pięknego dnia. Narciarze zaczęli jednak krążyć między śniegowymi bałwankami, ścinać im głowy kijkami, rozjeżdżać to, co z nich zostało, wywołując płacz małych budowniczych. W końcu zaatakowali zamek trzech księżniczek i samotnego, dziewięcioletniego strażnika.

Lucas walczył zawzięcie, nie bacząc na bolesne ciosy kijkami, by nie-dopuścić wandalom do śnieżnej budowli. Marianna i Nancy włączyły się do obrony wraz z młodszą siostrą Brandona, rówieśnicą Jenny. Powietrze wypełniały krzyki dziewcząt, hałaśliwy śmiech atakujących nastolatków i głuchy łoskot zawalającego się śniegu. W końcu budowla rozpadła się pod uderzeniami kijków.

Nagle zrobiło się zupełnie cicho, bo Jennifer Louisa Kincaid miała coś do powiedzenia. Do pokazania. Stała przed Brandonem i rozpoczęła zawrotny, gniewny taniec rąk. Jej tyrada trwałaby bez końca, gdyby na zboczu nie pojawiła się matka Brandona. Kobiety z klanu Christiansonów, także te, które weszły do niego tylko przez małżeństwo, były znane z pobłażliwości wobec arogancji i brutalności swych męskich potomków. I mężów.

Patricia Christianson zaprosiła do swego wielkiego, starego domu na gorącą czekoladę i ciastka zarówno wandalom, jak i ich ofiary.

Jenny zgodziła się pójść, bo przyjaźniła się z siostrą Brandona, która ogromnie przejęła się tym, co zrobił jej brat. Bała się, iż Jenny oraz koleżanki nigdy jej nie wybaczą. Tylko dlatego Jenny przyjęła zaproszenie. Podobnie Marianna i Nancy. Tylko dlatego. Bo na pewno nie z powodu przeprosin Brandona, wygłoszonych bez emocji na ruinach śniegowego zamku.

To tam właśnie, na beładnej stercie śniegu, która dziesięć minut wcześniej była dumnym zamczyskiem, Brandon wyciągnął rękę i zwichrzył czuprynę Lucasa w geście uznania dla jego odwagi.

- Niezły z ciebie zawodnik, mały. Naprawdę niezły.

Lucas drgnął i cofnął się z odrazą. Czy pod dotykiem palców Brandona poczuł sphywające zło? Nie. Ono nadal pozostawało w ukryciu. A może nie? To pytanie nigdy nie przestało dręczyć Lucasa. Bo może to on próbował się ukryć przed złem. Może przeraził się tak bardzo, że wzbronił mu dostępu do swego serca i duszy właśnie wtedy, kiedy miało to największe znaczenie i mogło zmienić bieg wydarzeń? Gdyby je wówczas wyczuł, gdyby sobie na to pozwolił, zostałby z Jenny. Nie opuściłby jej ani na chwilę, tylko bezpiecznie odprowadził do domu.

Stało się jednak inaczej. Lucas wrócił do Bellemeade sam. A kiedy zło napłynęło ponownie, zmusił swe odrętwiałe z przerażenia nogi, by zaprowadziły go do Lawrence'a, do rozświetlonego ogniem kominka gabinetu, gdzie dramaturg pracował nad kolejną sztuką.

Czy Lucas wykrzyczał swe straszne wezwanie do człowieka, który cieszył się doskonałym słuchem? Nie, jak zwykle użył języka migowego, języka Jenny. „Jenny nas potrzebuje. Pospiesz się!”. Lawrence nie zastanawiał się ani chwili. Liczyła się tylko Jenny. A potem nie liczyło się już nic.

Mężczyzna i mały chłopiec razem pobiegli w szybko zapadającym, zimowym zmierzchu przez ośnieżoną osadę do rezydencji Christiansonów. Pachniało gorącą czekoladą, w piekarniku grzała się trzecia porcja ciastek,

Marianna i Nancy pocieszały zmartwioną siostrę Brandona, on zaś z kompanami oglądał telewizję. A Jenny?

„Jest w Bellemeade”, odparł Brandon, wzruszając ramionami. Odprowadził ją do domu ponad godzinę temu. Sama go o to poprosiła, co oznaczało, że przestała się na niego boczyć. „Wszystko w porządku”, zapewniał. Jenny jest w domu, cała i zdrowa.

„Kłamca!”, wykrzyczał Lucas niemym gestem i wybiegł na zewnątrz, w ciemność. Za nim podążył Lawrence wraz z Marianną i Nancy. Wkrótce dołączyli inni. Także Brandon. Biegli w ciemnościach za Lucasem, który podążał niewidzialnym śladem - niewidzialnym dla pozostałych, nie dla niego - drogą ku cierpieniu, przemocy i śmierci, wprost do domku kąpielowego nad brzegiem zamarzniętego stawu.

Dwadzieścia siedem lat temu.

Tego samego dnia co dziś.

## 19

- Brandon ją zabił - szepnęła Galen w ciszy, jaka wypełniła biały, podniebny salon.

Znów miała przed sobą panterę, żądnego krwi i zemsty drapieznika.

- Tak. Zabił ją.

- Och, Lucas. To straszne. Tak mi przykro.

- Mnie też. Ze względu na Jenny. Och, tak, ze względu na Jenny i ciebie.

- Przyznał się do morderstwa?

- Nigdy. Wziął na siebie minimum odpowiedzialności za to, co zaszło w domku kąpielowym. To był pomysł Jenny, żeby tam pójść, twierdził. Jenny, niewinna dwunastolatka, rzekomo flirtowała z nim od Bożego Narodzenia i uwiodła go tego styczniowego dnia. Jedynym przestępstwem, do którego Brandon się przyznał, było złe rozeznanie sytuacji, spowodowane burzą hormonów, typową dla chłopców w jego wieku. Jenny umarła przez przypadek, powiedział, w trakcie seksualnej gry, w której oboje dobrowolnie brali udział.

- To... absurd.

- Owszem.

- Ale nie uszło mu to na sucho. Prawda?

- Zależy, co przez to rozumiesz. On nadal żyje.

- Ale poszedł do więzienia - upierała się Galen. - Zeznałeś na policji, że popełnił morderstwo z premedytacją, że wyczułeś to dwa dni wcześniej.

- Brandon poszedł do więzienia bez mojego udziału. Nikomu nie wspomniałem o tym, co czułem. Nie wiedziałem, czy mogę. Zresztą słowa dziewięcioletniego chłopca, zżeranego poczuciem winy, nie miałyby większego znaczenia.

- Zżeranego poczuciem winy? - Za to, pomyślała, że nie rozpoznałeś daru, który posiadasz i który nawet teraz trudno określić? Za to, że jako dziecko nie wiedziałeś, iż zło może czaić się w świetle słonecznego dnia? - Nie powinieneś być czuć się winny.

- Podobnie jak ty - odparł Lucas miękko - nie powinnaś poczuwać się do winy z powodu tego, że Mark zmusił cię do opuszczenia przyjaciółek bez pożegnania. A mimo to czułaś się winna. Ofiary przestępstw i zbrodni zawsze czują się winne. Nancy i Marianna obwinały się o to, że pozwoliły iść Jenny samej z Brandonem, mimo że ona tego chciała. A Lawrence... On też w jakiś sposób czuł się odpowiedzialny za jej śmierć. Jak my wszyscy. Z wyjątkiem Brandona.

- Ale Brandon poszedł do więzienia.

- Tak. Zapadł wyrok skazujący. Prokuratorowi sprzyjała okoliczność, że rodzina bardzo starała się uniknąć rozgłosu i nie życzyła sobie, by jej nazwisko w jakikolwiek sposób łączono z morderstwem.

- Brandon przyznał się do nieumyślnego spowodowania śmierci - wywnioskowała Galen, doświadczona reporterka Gavel-to-Gavel. W poszczególnych stanach Ameryki kary za nieumyślne spowodowanie śmierci bardzo się od siebie różniły. - Ile dostał?

- Dwadzieścia dwa lata.

Galen zdawała sobie sprawę, że był to znaczący sukces prokuratora stanowego. Znaczący sukces, wysoki wyrok. Jeśli jednak wzięto się pod uwagę, że zginęło dwunastoletnie dziecko, i pomyślało o przeżyciach bliskich... No i pozostawał jeszcze ów humanitarny zapis prawny, prześladowający rodziny ofiar jak zmore.



- Kiedy miał prawo ubiegać się o zwolnienie warunkowe?

- Po dziewięciu latach.

- Tyje spędziłeś w angielskich szkołach.

- Rzeczywiście, większość tego czasu przebywałem w Anglii. - W rzeczywistości jednak trafił do swego prywatnego więzienia. Stało się to, zanim Brandon wylądował za kratkami - już w chwili gdy zginęła Jenny. Kilka dni po morderstwie na żądanie Heleny Lucasa wysłano do Anglii. Nie prosił o litość, o zmniejszenie wyroku. Uczęszczał do elitarnych szkół, gdzie wymagano surowej dyscypliny, co mu się nawet podobało, i nienagannego akcentu, który mu się wcale nie podobał. - Kiedy miałem siedemnaście lat, dostałem ni stąd, ni zowąd list od Nancy. Przysłała mi to zdjęcie i informowała między innymi, że sprawa o zwolnienie warunkowe odbędzie się za osiemnaście miesięcy. Już wtedy myślałem trochę o college'u i studiach prawniczych, ale jeszcze się nie zdecydowałem. I wówczas wydały mi się one nagle bardzo sensowne. Na wstępnym przesłuchaniu w sprawie zwolnienia warunkowego po raz pierwszy ujawniłem, czego doznałem w czasie poprzedzającym śmierć Jenny. Niczego nie planowałem. Chciałem tylko wyrazić moje najgłębsze przekonanie, że Brandon w żadnym razie nie powinien opuścić więzienia przed czasem, choć pozornie na to zasługiwał. Był wzorowym więźniem, ukończył college i studiował.

- A ty, oprócz tego, że za dużo piłeś, byłeś wzorowym studentem?

- Nie bardzo. - Raczej wzorem autodestrukcji, chłopakiem karzącym siebie bez litości, pomyślał. - Z jakiegoś powodu ława przysięgłych uwierzyła mi. Może sprawił to mój akcent? Już wtedy wystawiałem się nienagannie...

A może sprawiła to twoja pasja, pomyślała Galen. Może opowiedziałeś przysięgłym o roztańczonych rękach Jenny i jej błyszczących oczach?

- Nie zwolnili go.

- Zgadza się. Wyznaczyli za rok kolejne przesłuchanie. - W tym miejscu na scenę wkroczyła Viveca, ale Lucas uznał, że nie ma sensu wspominać, jak próbowała go uwieść i namówić, by zrezygnował z zeznawania na przesłuchaniu. Dopóki zabójca kobiet nie zostanie schwytany, rozmyślał, muszą ze sobą współpracować wszyscy troje - on, Galen i Viveca. A sądząc po reakcji Galen na wiadomość, że jego matka chciała usunąć ciężę... - To był bardzo ważny rok dla Brandona, choć o tym nie wiedział. A także dla mnie. Poświęciłem wtedy wiele czasu, pomagając policji rozwiązać sprawę pewnego morderstwa. I udało się.

- Wyczułeś mordercę?

- Tak. Znaczyło to, że rok wcześniej na przesłuchaniu w sprawie Brandona mówiłem prawdę. Potwierdził to wobec ławy przysięgłych porucznik zajmujący się tamtym morderstwem. W miarę upływu lat przybywało takich świadectw z całego świata. Zatrzymały one Brandona Christiansona tam, gdzie było jego miejsce.

- Brandon odsiedział cały wyrok, prawda? To twoja zasługa!

- Tak.

Galen policzyła w myślach: Jenny została zamordowana dwadzieścia siedem lat temu, Brandon siedział dwadzieścia dwa lata, czyli od pięciu lat przebywa na wolności.

- A jak się zachowuje, odkąd został zwolniony?

- Wzorowo. Dzieli swój czas między Marbellę i Greenwich. Marbella leży daleko, w Hiszpanii. Ale Greenwich?

- Mieszka w Connecticut? Tak blisko?

- Tak blisko. W swej rezydencji w Connecticut jest bardzo zajęty. Pisze kolejny duchowy przewodnik, który stanie się bestsellerem.

- Tylko nie to - szepnęła Galen z przerażeniem. Zrozumiała: Brandon napisał „Rozmowy z Bogiem”! Zabójca małej Jenny był anonimowym autorem, który zamiast pseudonimu używał złotego znaku krzyża. - To... obrzydliwe. On jest... - Nie znalazła właściwego określenia i tylko z nadzieją zapytała: - Czy on jest zabójcą kobiet?

- Wolałbym, żeby tak było, Galen. - Szare, lodowate oczy Lucasa powiedziały jej, jak bardzo by tego chciał. - Ale nie jest.

- Masz pewność?

- Całkowitą. Od połowy grudnia był na Costa del Sol. Wyjechał jeszcze przed śmiercią Kay. Odkąd Rosalyn St. John otrzymała pierwszy list od zabójcy po morderstwie Marcii, Brandon jest pod stałym nadzorem policji.

- Mógł się wyrwać spod nadzoru - upierała się Galen. Ogarnął ją gniew. Zapragnęła położyć kres sprawie Brandona Christiansona szybko i definitywnie.

- Owszem, ale mu się nie udało. Jest jeszcze coś. Wiem, jak odczuwam zło płynące od Brandona. Zabójca kobiet to ktoś inny.

„Ktoś inny”. Kolejny potwór. Nie ten, który zniszczył Jenny i tych, którzy ją kochali.

- Czy ty i Lawrence nadal jesteście sobie bliscy?

- Nie mam pewności, czy kiedykolwiek byliśmy, z wyjątkiem łączącego nas uczucia do Jenny.

- Ale...

- Pamiętaj, że w rodzinie, którą dotknęło nieszczęście, zwłaszcza zbrodnia popełniona na dziecku, ludzie często odsuwają się od siebie. Nadal się kochają, ale trudno im przebywać razem. Czują się winni, że żyją, a kochana osoba nie. Zadręczają się, czy zrobili wszystko, by zapobiec tragedii.

Wspomniałem, że w jakiś sposób Lawrence czuje się odpowiedzialny za śmierć Jenny. Jestem pewny, że uważa, iż nie chronił jej wystarczająco i dopuścił do zaistniałej sytuacji. Gdyby jeszcze mogła krzyknąć, wydobyć z siebie głos, może uszłaby z życiem...

- Żeby zapewnić jej absolutne bezpieczeństwo, musiałby zamknąć ją w Bellemeade. Nie pozwolić wychodzić i widywać się z przyjaciółkami. - Galen urwała raptownie, przypomniał sobie, komu Jenny zawdzięczała posiadanie przyjaciółek. Dzięki małemu poważnemu chłopcu, który został jej osobistym tłumaczem, nawiązała kontakt ze światem poza murami posiadłości ojca. - Myślisz, że Lawrence obwinia ciebie?

- Z całą pewnością nie.

- Więc wini siebie że, przyjął cię... do swego domu?

- Nie. To oczywiste, bo w rezultacie zaczęłby mnie obwiniać. Jego głos wyrażał uczucie i szacunek. I żal z powodu straty.

- Widzieliście się od tego czasu?

- Naturalnie. Lawrence zeznawał podczas wszystkich przesłuchań w sprawie warunkowego zwolnienia Brandona.

Jak ty.

Rozmawialiście wtedy? Pewnie ci dziękował, że się stawiałeś w sądzie.

- Rozmawialiśmy, ale krótko. Niewiele było do powiedzenia. Zawsze natomiast siadaliśmy koło siebie. Niemal już o tym zapomniałem. Nigdy mi nie dziękował. Nie oczekiwałem tego. Zresztą ja też mu nie dziękowałem.

Bo stanowiliście rodzinę, pomyślała Galen. Ojciec Jenny i brat Jenny. A może ojciec i syn? Sześć długich lat pod jednym dachem.

Spojrzała na zdjęcie przedstawiające jasny, zimowy dzień sprzed wielu lat i postać małego Lucasa wyczuwającego zło, ale zbyt niewinnego, by je zrozumieć. Mimo to szukał i rozpaczliwie próbował odkryć, co się dzieje. Chciał chronić tych, których kochał. Gdyby wówczas rozpoznał zło, gotów był zginąć dla Jenny. I dla Lawrence'a.

Galen podniosła wzrok znad fotografii. Miała przed sobą tamtego odważnego chłopca we wcieleniu dorosłego mężczyzny. Nieustraszonego. Całkowicie nad sobą panującego. Nawet teraz, kiedy znowu wyczuwał nadpływającą falę zła. W jego szarych oczach nastąpiła ledwo dostrzegalna zmiana. Pojawił się zimny błysk determinacji, obliczony na efekt spokój i dodający otuchy uśmiech, przeznaczony dla niej. Niewypowiedziane przerażenie wypełniło jego ciało, zanim dzwonek liliowego telefonu przerwał ciszę.

- Galen! - Lucas ponaglił ją delikatnie, idąc spieszenie po słuchawki. Nie spuszczał z niej wzroku. - Musisz odebrać.

Ale ja nie chcę! - protestowała bezgłośnie. Jeśli zabójca spróbuje zmusić mnie, bym udawała, że się z nim Kocham... nie dam rady.

- Galen! - Głos porucznika był łagodny, ale stanowczy.

Galen usłuchała. Odłożyła zdjęcie na szklany blat stolika i podeszła do telefonu.

- Halo?

- Galen, mój króliczku. - W słuchawce rozległ się elektroniczny szept. - Wydajesz się rozdrażniona. Czy dzwonię nie w porę? Zauważ, że nie użyłem słowa „przeszkadzam”. Ja nie przeszkadzam, Galen. Nigdy. Jestem twoim zbawcą, twoim kochankiem. Masz na sobie coś rozkosznie seksownego, coś z fioletowej satyny z przezroczystymi wstawkami z koronki?

Było to przypuszczenie niezwykle bliskie prawdy. Tak wyglądała jedna z rzeczy zakupionych przez Lucasa. W rozmiarze, lecz nie w guście Galen. Ani nie w jego. Za to dokładnie w guście zabójcy. Lucas nie popełnił błędu. Galen nie szukała jego wzroku. Wbiła oczy w śnieżnobiały dywan, surowy i czysty, który był w jej guście. I w jego.

- Nie - odparła - nie mam.

- Słucham??? Zawarliśmy chyba umowę, kochanie.

- Umowa dotyczyła wywiadu w środę.

- I łóżka, Galen. Masz to nosić w łóżku, dla mnie. Masz mieć to na sobie, kiedy do ciebie dzwonię.

- Nie jestem w łóżku.

- Nie? No dobrze. Nie zamorduję nikogo - dzisiaj. Trochę cię rozczaruję zmianą w naszych planach.

- Jaką zmianą?

- Nie będzie wywiadu w środę.

- Mogę zapytać dlaczego?

- Spodziewałem się, że zapytasz. Doszedłem do wniosku, że cała ta produkcja telewizyjna pod tytułem „Zabójca kobiet” wymaga trochę więcej napięcia. Widziałas „Szczerki”?

- Nie.

- A powinnaś. To dzieło sztuki. Mariaż niekwestionowanego geniuszu i przypadku. Kiedy zaczęto zdjęcia do filmu, mechaniczny rekin nie był jeszcze gotowy. Spielberg zmienił jednak niepowodzenie w sukces. Ponieważ nie mógł pokazać, ujęcie za ujęciem, krwiożerczej bestii, stworzył coś znacznie bardziej przerażającego - atmosferę napięcia, zapowiadającą pojawienie się ludojada. Złowróżbna muzyka. Pływacy w panice rozbrzygujący wodę. Plamy krwi w miejscach, gdzie ucztował. A to wszystko na powierzchni zwodniczo spokojnego oceanu, pod nieskazitelnym

błękitem letniego nieba. Widzisz, jak się buduje napięcie? Tak właśnie zrobimy, Galen. Ty i ja. Ukryję się pod powierzchnią i zrobię, co zechcę, z naszą przerażoną publicznością. Ty zaś postarasz się zrobić to samo z porucznikiem. Nie krępuj się, doprowadź go do szaleństwa. Na tym polega napięcie seksualne. Ale nie pozwól mu się tknąć. Chcę, żeby nasz film był prawdziwym majstersztykiem.

Galen ścisnęła słuchawkę telefonu z taką siłą, że aż zbieleły jej palce.

- Nasz film?

- Słyszę podniecenie w twoim głosie? Seksualne napięcie? Już? A może tylko złość? Większość kobiet dałaby się zabić, żeby je zamknięto w towarzystwie Lucasa Huntera. A ciebie to właśnie spotyka, Galen. Od tej chwili zezwalam wyłącznie na przesyłki z zewnątrz. Żadnych gości. Gdyby któreś z was spróbowało wyjść... wielki biały rekin popłynie na kolejną ucztę. Będziecie jak oblubieniec i oblubienica w apartamencie dla nowożeńców. Tylko że to nie będzie wasz miesiąc miodowy. Dopóki nie powiem „start”. Wtedy osobiście wyreżyseruję każdy rozkoszny szczegół przez telefon. Lucas mnie zastąpi. Pod każdym względem. Dotykając cię, wnikając w ciebie, poznając do głębi.

- To jest...

- Jakie, króliczku? Chore? Genialne? Niemożliwe? Myślisz, że porucznik byłby do tego niezdolny lub przeciwny pomysłowi? Co za naiwność! Nie jesteś w jego typie, Galen, ale teraz będziesz jedyna. Z każdym dniem jego celibatu coraz bardziej upragniona, nieodparcie godna pożądania. Zwłaszcza, mój kucyku odjednej sztuczki, jeśli zaczniesz go kusić swoim strojem z „Ofelii”. Wierzę, że potrafisz. Jeśli wątpisz w zainteresowanie porucznika twoją osobą, zrób wszystko, żeby zaczął cię pożądać. Bo nie chcesz chyba zobaczyć krwawej łaźni, jaką sprawię, jeśli wy dwoje nie sprostacie moim wymaganiom. Więc dręcz go, Galen. Doprowadź do obłędu. Ale nie pozwól mu się tknąć, aż powiem, że już czas. Tak. To na razie wszystko. Wracam w swoje głębinę. Wypłynę na powierzchnię, kiedy pocuję głód krwi. Lub seksu.

## 20

W poniedziałkowy późny wieczór nad Manhattanem rozszalała się śnieżna burza. W białym, podniebnym apartamencie zaczęła się już w niedzielę, w chwili kiedy zabójca kobiet zakończył rozmowę z Galen.

- Prześpij się trochę - polecił Lucas lodowatym głosem, który zwiastował pierwszy podmuch wiatru, i wyszedł. Był owładnięty jedną myślą. Skupiony i spokojny w wyścigu z nieprzewidywalnym

czasem. Rozpoczął samotne łowy. Osobistą wojnę wypowiedzianą szaleństwu. Nie pozostawało jej nic innego, jak zejść mu z drogi. Nie mogła jednak się powstrzymać i szukała jego bliskości. Bezszelestnie stąpała po grubym, białym dywanie i słuchała dźwięków dobiegających zza drzwi „centrum dowodzenia”.

Często panowała tam absolutna cisza, ciężka i gęsta od koncentracji i przemyśleń. Niekiedy rozlegał się stukot klawiatury komputera. Lucas szukał odpowiedzi na swe pytania w Internecie. Słyszała też jego głos, lecz nie rozróżniała słów. Raz brzmiał szorstko, kiedy indziej uprzejmie, zawsze w sposób opanowany. Domyślała się, że Lucas wydawał polecenia podwładnym i rozmawiał z rodzinami ofiar.

Białe telefony dzwoniły niemal bez przerwy. Od czasu do czasu rozlegał się też dźwięk dzwonka, oznaczający, że dwadzieścia dwa piętra niżej ktoś stoi za metalowymi drzwiami. Na monitorze w swoim pokoju porucznik identyfikował przybysza i wystukiwał kod zwalniający zamek. Gośćmi byli głównie policjanci. Przynosili dokumenty, które, jak sądziła Galen, nie nadawały się do przefaksowania; na przykład zwinięty rulon w plastikowej tubie długości prawie metra, zawierający plakat albo dokumentację techniczną. Pościągcy nigdy nie wchodzili do mieszkania. Czekali w windzie, aż Lucas lub ona odbiorą przesyłkę, albo po prostu kładli ją na marmurowej podłodze w holu.

Galen przygotowywała właśnie herbatę w kuchni, kiedy drzwi windy znowu się otworzyły i stanął w nich Paul. Wiedziała, że ktoś jedzie na górę, słyszała domofon, a potem windę. Ale co tu robił Paul?

Przyniósł dużą kopertę, którą by od niego odebrała, gdyby w tej samej chwili nie pojawił się Lucas. Mężczyźni wymienili kilka słów przyciszonymi głosami. Nie chcieli, żeby usłyszała? Chyba nie, skoro nie zwrócili na nią najmniejszej uwagi. Paul wyszedł, a Lucas wrócił do siebie.

Tak minęło poniedziałkowe popołudnie. Śnieżna burza zaczęła się kilka godzin później. We wtorek rano w świetle zimowego słońca ukazał się obraz zniszczenia: nieprzejezdne, pokryte grubą warstwą śniegu ulice, połamane drzewa i poprzewracane znaki drogowe. W północno-wschodniej części miasta wiatr pozrywał linie wysokiego napięcia. Mimo wszystko mieszkańcy Wielkiego Jabłka mogli mówić o szczęściu. Większość domów miała światło i ogrzewanie. W apartamencie Lucasa też było ciepło. Termostat, nastawiony zapewne z myślą o Galen, utrzymywał temperaturę wyższą niż ta, do jakiej przywykł mężczyzna, trawiony teraz wewnętrznym ogniem.

Tego wtorkowego ranka Galen czuła dziwne wewnętrzne zimno, choć w mieszkaniu było ciepło i przytulnie. Zwinęła się pod narzutą jak kanciasta i drżąca cebulka żonkila. Wstrząsały nią dreszcze, mimo że kilka razy brała gorący prysznic. Wysłała ze swego pokoju dopiero o zmierzchu, by zrobić sobie gorącej herbaty. Miała zamiar iść prosto do kuchni, ale po drodze postanowiła zerknąć na taras w niezwyklej zimowej szacie. Lśniące i przejrzyste sople lodu zdobiły fontannę w miejscach, na które rano padało słońce. Lśniły w nich cudowne tęcze, pastelowa zapowiedź uwięzionej w lodzie wiosny.

- Brakuje mi tu lalek.

Słowa Lucasa dobiegły z drugiego końca pokoju, wypowiedziane tak ciepłym tonem, że wewnętrzny chłód, jaki Galen czuła od rana, w jednej chwili ustąpił.

- Naprawdę? - zapytała, nie odrywając wzroku od pastelowych tęcz. Brakuje ci lalek? Baśni? Zaczarowanych śmietankowych babeczek i zabawek? -dopytywała się bezgłośnie.

- Tak. - Głos dobiegał już z bliska, był cichszy i emanował ciepłem. -Bardzo mi przykro, Galen, z powodu ostatniego półtora dnia.

Grzeczne i uprzejme przeprosiny dżentelmena, jakby była jego zaniedbywanym gościem lub pozostawioną samą sobie panną młodą.

Nie jesteś ani jednym, ani drugim, mówił głos rozsądku. Główny wątek tej ślicznej baśni to śmierć. Śmierć.

Rzeczywiście. Nie była opuszczoną panną młodą. Odwróciła się od ozdobionego soplami i tęczami tortu weselnego i napotkała spojrzenie chłodnych, uprzejmych oczu dżentelmena, przenikliwych oczu łowcy.

- Masz schwytać zabójcę - powiedziała i w tym samym momencie dostrzegła w jego wzroku coś jeszcze, coś bardzo odległego od tęczowych sopl, baśni i weselnych tortów. - Ty już wiesz, kto to jest!

Jeśli ten nieodgadniony człowiek był rozdrażniony, że udało jej się go przejrzeć, starannie ukrył irytację.

- Tak, detektywie Chandler, już wiem - powiedział z błyskiem w oku. - Byłoby jednak lepiej, gdybyś ty nie wiedziała. Nie możesz się jeszcze dowiedzieć, kim on jest.

- Bo nie zaliczam się do najlepszych kłamców na świecie - mruknęła. - Mogłabym mimo woli dać mu do zrozumienia, że wiem albo - co gorsza - że ty wiesz.

- Musimy przyłapać go na gorącym uczynku. Zanim dokona kolejnego morderstwa, ale w chwili gdy jego zamiary nie będą już budziły żadnych wątpliwości. Żadnych. Nic innego nie wystarczy, żeby go dopaść. Nawet obciążający dowód w postaci twojego telefonu komórkowego. Jeśli zabójca wyczuje, że się czegoś domyślamy, zniknie albo - jak w jego fantastycznym scenariuszu - ukryje się na dnie morza. Na zawsze.

- Nic nie słyszałam, poruczniku. Absolutnie nic.

- W porządku. - Uśmiechnął się słabym, zniewalającym uśmiechem, bardzo seksownym. Towarzyszyło mu spojrzenie tak poważne i badawcze, że Galen odwróciła głowę, aby w nim nie utonąć.

- Coś jeszcze, Lucas? - zapytała.

Szczupły palec dotknął jej policzka z czułością i żarem.

- Ciebie także mi brakowało. Znacznie bardziej niż lalek.

- Naprawdę?

- Tak. - Delikatnie odsunął znad jej oczu skręcony kosmyk czerwonych jak płomień włosów - Bardzo. Za bardzo.

- Za bardzo?

Tak jak czasem pijesz „za dużo”, myślała, żeby uciec i marzyć? Ucieknij ze mną, Lucas. Wspólnie oddajmy się marzeniom.

- Za bardzo - padło gwałtowne wyznanie. Męskie, pierwotne i odwieczne. Lucas nagle cofnął dłoń. Marzenie i ciepło zniknęły. - To odpowiedni wieczór, aby wypróbować kuchnię „Jean-George'a”.

Dżentelmen, gościnnie gospodarz proponował wytworną kolację dostarczoną, mimo oblodzonych ulic, przez jedną z najlepszych restauracji na Manhattanie. Galen prawie nic tego dnia nie jadła, lecz nie była głodna. W nagłym przypiływie śmiałości przyciągnęła jego dłoń z powrotem do swojego policzka.

- Powiedz, na co masz ochotę? - zapytał i z niewypowiedzianą delikatnością przesunął czubkiem palca po jej drżących wargach.

- Na ciebie - szepnęła. - Chcę ciebie. A Lucas chciał jej.

Zaczął ją całować, najpierw ostrożnie i czule, a kiedy poczuł, że oddaje pocałunki - zachłannie i płomiennie. Była w tym wiosna. I radość. I obopólne pragnienie, by nigdy nie przestać. Ale Lucas wyczuł jej zakłopotanie chwilę wcześniej, nim się od niego odsunęła. W błękitnych oczach była troska i coś znacznie gorszego: strach. Ujął jej twarz w dłonie, jakby trzymał największy skarb.

- Galen?

- A co z...

- Nie zrobimy niczego, czego nie zechcesz. Niczego. Przysięgam. -Dotknął drogich warg, wciąż wilgotnych od jego pocałunków. - Moglibyśmy spędzić całą noc, tylko się całując.

Galen zmarszczyła lekko brwi. Chciała czegoś więcej niż samych pocałunków, podobnie jak on.

- Czyżby?

Lucas roześmiał się serdecznie.

- Oczywiście.

Galen potrząsnęła głową, aż zatańczyły czerwone loki.

- Nie to mnie martwi.



- Nie?

- Nie. Chodzi o to, że nie powinniśmy...

- ...Tego robić, bo ten psychopata nam zabronił? Tu chodzi tylko o nas, Galen. O mnie i o ciebie. O nikogo więcej. Tak?

- Tak.

- Jeśli każeś mi przestać, przestanę. Choćby nie wiem co.

- Nie każę ci przestać. Nigdy.

W pastelowej sypialni, w wielkim łóżu pod osłoną baldachimu, gdzie kiedyś - dawno temu - było tak zimno, Lucas kochał się z pięknym, smukłym żonkilem.

Na jego oczach kanciasta cebulka zamieniła się w kwiat. Pod jego spojrzeniem, pod dotykiem jego rąk i ust Galen rozkwitła. Kochał się z nią z czułością, w zachwycie nad każdym skrawkiem jej szczupłego, delikatnego ciała. Pieścił jej piersi, jakby zostały stworzone właśnie dla niego, jakby przez całe życie ich szukał. Jakby szukał jej kościstych bioder i zbyt długich kończyn, i spiczastego nosa, i wielkich niebieskich oczu, i śmiałych, głodnych ust.

- Galen - szeptał, Kochając się z nią - Galen.

Należała do niego od zawsze. Wiedziała, jak rozpaczliwie jej szukał, jak długo czekał. Teraz ją odnalazł. Miał dla siebie. Nareszcie.

W końcu posiadał ją, zawładnął nią tak, jak tego chciała. Po długiej, męczącej podróży Galen znalazła się w domu. Nareszcie.

Nareszcie w domu. Z nim.

Kochali się jeszcze w ciemnościach lawendowej sypialni, kiedy Galen wyczuła inną, głębszą ciemność wypełniającą stopniowo Lucasa, który w ułamku sekundy znieruchomiał. W łóżu nie było już kochanka, tylko łowca. Nieruchomy i czujny, wsłuchany w głos słyszalny wyłącznie dla niego.

- On nie może teraz zatelefonować - wyszeptana błagalnie Galen, choć telefon właśnie zadzwonił. - Nie może!

Lucas błyskawicznie poderwał się ze zwinnością dorównującą sile, która tak ją zachwycała i której nie użył, by ją boleśnie skrzywdzić. Teraz jednak, kiedy ją opuszczał, odczuła głęboki, przejmujący ból.

- Musisz z nim porozmawiać, Galen. - Był to głos Lucasa, ale czy rzeczywiście ten sam, który jeszcze przed chwilą szeptał jej imię? - Powiedz, jak będziesz gotowa.

Nie musiał wkładać słuchawek. Były mu niepotrzebne. Już wiedział, kim jest zabójca.

Stał bez ruchu, nagi, z palcem na guziku włączającym głośne mówienie.

- Galen?

- W porządku. - Usiadła osłaniając kołdrą nagość, tak dobrze mu już znaną i upragnioną. - Jestem gotowa.... Halo?

- Krwawisz, Galen? Masz krwotok?

- Słucham?

- Nie mogłaś się powstrzymać, co? Nie próbuj mnie okłamywać. Kobieta taka jak ty, zwłaszcza taka jak ty, mogłaby się oprzeć takiemu mężczyźnie jak on.

- Nie. Mylisz się.

- Nie myślę się, króliczku. Już za późno, by powiedzieć „nie”. Nie sądzisz? Należało użyć tego słowa wobec Lucasa. Ale to okazało się za trudne, prawda? Byłaś za słaba, zbyt spragniona. Nie martw się. Nie gniewam się. Wszystko idzie zgodnie z planem.

- Zgodnie z planem?

- Nie wierzyłaś chyba ani przez chwilę, że naprawdę chciałem uratować twoją karierę? Dobry Boże! A może wierzyłaś? Twoja żałosna naiwność rzeczywiście nie zna granic. No, Dorotko, nie jesteśmy już w Kansas. To tylko gra. W niej zawodnikami jesteśmy my dwaj - ja i porucznik. Ty zaś tylko pionkiem. Gra jednak skończona. Przynajmniej dla ciebie. I dla następnej ofiary zabójcy kobiet. Twojej ofiary, Galen. Dla kobiety, która umrze przez ciebie.

Ale ona nie umrze! Lucas na to nie pozwoli! On już wie, kim jesteś! Zabójca nie może się o tym dowiedzieć, przypomniał wewnętrzny głos, nie wolno ci się przed nim zdradzić.

- Nie możesz zabić kogoś tylko dlatego, że my...

- Dlatego, że wy co, Galen? Kochaliście się? Uważasz, że to właśnie robiłaś z porucznikiem Hunterem? Przemyśl to sobie. A jeszcze lepiej - zapytaj go, podczas gdy ja będę przykrawał kolejną damę do moich potrzeb. A jeśli już o tym mowa... Muszę kończyć. Czeka na mnie kobieta.

W słuchawce rozległ się sygnał. Połączenie zostało przerwane. Galen podniosła wzrok. Lucas zdążył się już ubrać. Teraz wybierał numer. Ktoś odebrał telefon zaraz po pierwszym sygnale. Aparat w sypialni nadal był nastawiony na głośne mówienie.

- Jestem, poruczniku - odezwał się niski głos policjanta.

- Macie go?

- Jasne.

- Gdzie jest?

- W parku. Idzie w waszą stronę, tak jak pan przewidział. Za jakąś minutę, kiedy dojdzie do Piątej Alei, zobaczymy, czy skręci w prawo czy w lewo. O ile się nie zabije na tym łodzie. Idzie bardzo szybko.

- Wszyscy są na swoich miejscach? W środku też?

- Tak.

- Były jakieś problemy?

- Te, co zwykle. Na Lexington męża nie było w domu i żona nie chciała nas wpuścić. Słyszała ostrzeżenia w telewizji, żeby nie otwierać drzwi obcym, zwłaszcza jeśli podają się za funkcjonariuszy policji. Chłopcy powiedzieli jej, żeby zadzwoniła pod 911. Skończyło się na tym, że rozmawiała ze mną. Są już w środku, a pani domu przygotowuje im kawę.

- A na Park Avenue?

- Przylegające pomieszczenie nie było puste, jak się spodziewaliśmy. Właściciele dali klucze sąsiadom na wypadek jakichś nieprzewidzianych okoliczności, a burza śnieżna do takich należy. Facet, który utknął tam i został na noc, wpuścił nas bez przeszkód.

- Snajperzy?

- Rozstawieni.

- A prokurator?

- Obok mnie w furgonetce.

- Gdzie jesteście?

- Jedziemy powoli, a raczej ślizgamy się, wzdłuż alei na tyłach pańskiego domu.

- Dobra. Już idę.

Galen widziała w ciemności jego oczy - błyszczące, wypatrujące zła. Teraz spojrzały na nią. Lucas pochylił się i ujął jej twarz w dłonie.

- To już prawie koniec, Galen. Prawie koniec. Poważne przyrzeczenie. Całe jego pożegnanie.

Zaczekaj ! Nie odchodź. Jeszcze nie. Proszę - wołała bezgłośnie.

Ale Lucas odszedł.

Już dawno.

Czy w ogóle tu był?

Odpowiedź - przyszła wraz z falą szlochu tak gwałtownego, że Galen z trudnością łapała powietrze. Może to normalne, jej myśli rwały się tak jak oddech, że zaraz po tym pierwszym razie emocje spływają deszczem łez? Zwłaszcza jeśli ukochany musi odejść, gdy kobieta najbardziej go potrzebuje. Może ten potop nie ma nic wspólnego z bólem w głębi niej? Oczywiście, że ma. Jej skołatany umysł musi po prostu dogonić obolałe, zranione serce.

Przestała płakać równie nagle, jak zaczęła. Skupiona, chłodna zdobywczyni Arktyki, po raz pierwszy zupełnie sama wśród śniegów, szykowała się, by podjąć ostatnią wyprawę.

Najechać i zdobyć. Podeptać.

Tak jak ją podeptano i zdradzono.

Zarzuciła szlafrok i poszła do „centrum dowodzenia”, do pokoju Lucasa. Czego ma szukać? Dymiącego rewolweru? A może planu bitwy, nakreślonego na białym papierze jego męskim pismem?

Trzeba zidentyfikować zabójcę. To pierwszy punkt planu. Najważniejszy. Najwyraźniej został zrealizowany przez porucznika podczas dwudniowej burzy w apartamencie. Co pomogło mu zakończyć śledztwo? Stare, dobre metody detektywistyczne czy czarna magia? Czy Lucas zdołał opanować to, co dotąd wymykało mu się spod kontroli? Czy w pełni świadomie korzystał ze swego daru - talentu czy przekleństwa - by tym razem znaleźć odpowiedź?

Trzeba ustawić wszystko na właściwym miejscu. To punkt numer dwa. Także został zrealizowany. Drużyny służb specjalnych czuwały w dwóch punktach miasta. I snajperzy, na wszelki wypadek. W furgonetce był jeszcze jeden policjant i prokurator. No i porucznik Lucas Hunter, głównodowodzący akcją.

Należy uwieść Galen. Nie. Dać się jej uwieść. Najłatwiejsze ze wszystkich zadanie. Ostatni element planu, tak prosty, że niewymagający rozwinięcia.

Może detektyw Chandler dokona tu jeszcze innych odkryć? Znajdzie, skrzętnie ukryte przed nią, wskazówki zarówno w identyfikacji mordercy, jak i potencjalnych ofiar. Dwoch kobiet, które - według Lucasa - były tej nocy w największym niebezpieczeństwie.

Galen najpierw uzyskała odpowiedź na drugie pytanie. Znalazła plany budynków na Lexington i Park Avenue oraz nazwiska kobiet, które tam mieszkały. Lexington to adres Rosalyn St. John. Autorka plotkarskich felietonów bez wątpienia nadawała się na kolejną ofiarę. Nawet dla kogoś o tak skromnej jak Galen - było to oczywiste. Drugie nazwisko zaskoczyło ją: Viveca Blair. Czyżby zabójca miał powiązania z KCOR?

Niewątpliwie tak. W pokoju znajdowały się nowe segregatory, szare, zawierające dane wszystkich bez wyjątku mężczyzn pracujących w KCOR, nie wyłączając opiekującego swą zmarłą małżonkę właściciela stacji oraz najlepszego prezentera.

Na wierzchu leżało dossier Wally'ego, dość cienkie. Znajdowała się w nim tylko jedna fotografia, z taką dumą pokazywana przez Wally'ego: zdjęcie ślicznej żony i dzieci. Wykonano ją w znacznie większym formacie niż pocztówkowy i opatrzono wskazówką, skreśloną ręką Paula, by odwrócić zdjęcie. Na odwrocie widniała informacja o prawach autorskich jakiejś dużej firmy reklamowej oraz nazwiska modeli. Takie portrety idealnej rodziny sprzedawane są w ramach na całym świecie. A zatem nie była to rodzina Wally'ego ani niczyja. Czy to oznaczało, że łagodny, sympatyczny Wally zabijał z zimną krwią?

Prawda, że Wally był bardzo oddany Mariannie i zrozpaczony po jej śmierci, która poprzedziła zaledwie o osiem dni pierwsze zabójstwo. Prawda, że Viveca lekceważyła go i nie traktowała najlepiej. Wally wyglądał bardzo źle tamtego niedzielnego ranka pod szpitalem. Mówił, że nie spał całą noc, tylko rozmyślał o małych zakładniczkach i zastanawiał się, jak by się czuł, gdyby jedną z nich była jego mała Annie.

Tymczasem Wally nie miał żadnej małej Annie. To znaczy, rozumowała Galen, że nie miał również alibi na tę noc, kiedy zamordowano doktor Brynne Talbot. Wally doskonale pasował do stereotypowego wizerunku seryjnego zabójcy: typ spokojnego samotnika, dobrego sąsiada. Komu by przyszło do głowy, że nocami zabija kobiety? Mnie na pewno nie, doszła do wniosku Galen. W żadnym razie.

Porzuciła tę myśl, bo właśnie otworzyła następny segregator. Zawierał informacje na temat Paula. Paul prowadził podwójne życie: pracował w telewizji, robił zdjęcia dla departamentu policji - czyżby fascynacja śmiercią? - i znał Kay. Musiał ją dość dobrze znać, skoro zdjęcie jego autorstwa ukazywało ją nagą, śliczną i... żywą. Było jeszcze zdjęcie innej nagiej piękności - Moniki. Ją też znał. Czy był związany z obiema? Może tego pragnął, lecz został odrzucony? Czy pozujące do zdjęć kobiety opowiadały mu z zachwytem o Lucasie?

Tamtej nocy przed szpitalem Paul zostawił Galen samą na zimnie i w ciemnościach. Oznajmił, że woli spędzić noc, uszczęśliwiając jakąś kobietę. Czyżby makabrycznie żartował, mając na myśli Brynne?

Paul ostrzegał też, przewidująco i szczerze, że Lucas Hunter zrobi wszystko, by dostać zabójcę. Wszystko i każdemu. Nie zna bowiem litości. Czy to znaczy, że poszedłby do łóżka z dziewicą, żeby sprowokować mordercę? Oczywiście, że tak.

Perfekcyjnie wybrał stosowny po temu moment. Może jego kontakt z siłami zła nie był jednostronny? Może nie tylko odbierał sygnały od mordercy, ale i je nadawał? Nie musiał jednak odwoływać się aż do magii, by wiedzieć, że gra toczy się tylko między nim i mordercą. Obaj wiedzieli, że jeśli zabójca każe mu trzymać się z dala od Galen, Lucas zrobi coś wręcz przeciwnego.

Gdyby Galen lepiej kłamała - lub miała większe doświadczenie seksualne - Lucas mógłby ją poprosić, by udawała, że poszli do łóżka albo że są w łóżku, kiedy dzwoni zabójca. Niestety. W jej wypadku nie chodziło to w grę.

Tak więc, kiedy wszystko stało się jasne, policja została postawiona w stan gotowości, a Lucas Hunter zrobił, co należało. Poświęcenie jednej dziewicy to w końcu nic takiego. Nie dla łowcy i macho. Lucas złożył ją w ofierze w najstarszym z rytuałów - wrywał z piersi bijące serce dziewicy.

Teraz dostał już zabójcę. Plan wykonany. Gra skończona. Na nią też już czas. Zaraz stąd odejdzie. Za chwilę.

Wyszła z pokoju, nie czytając pozostałych informacji o współpracownikach z KCOR. Tożsamość mordercy stanie się największą sensacją dnia. Wkrótce jednak sprawa zejdzie na dalszy plan, jak inne przebrzmiałe wiadomości.

Po drodze do sypialni w kolorze hiacyntów i śniegu, pachnącej miłością i kłamstwem, Galen zatrzymała się przy drzwiach sypialni Lucasa. Musiała wejść do środka. Może spodziewała się zobaczyć zdjęcia nagich, pięknych ciał jego kochanek - Kay, Moniki, Marcii i Brynne - wykonane przez Paula. Tymczasem nie znalazła nic. Chłodu czystej bieli nie kalala ani jedna barwna plama.

Tutaj znajdowała się prawda o Lucasie Hunterze. Jedyna istotna prawda.

Był zimny i samotny. Niedostępny.

Był lodem i... burzą.

## 21

Galen szła do swego pokoju z ociąganiem, jakby miała jeszcze nadzieję, że Lucas zaraz zadzwoni i powie, że już po wszystkim, że to już koniec - dla zabójcy kobiet, nie zaś dla nich dwojga. „Zaraz wracam do domu, Galen. Do ciebie”.

Mimo że zwlekała, jak mogła, spakowanie niewielkiego dobytku zabrało jej bardzo mało czasu. To, co zostało z zawartości kartonowych pudeł, zmieściło się teraz w torbie na zakupy od „Bloomingdale'a”. Wrzuciła do niej ścinki materiałów, nici, wzory, igły i szpilki. Dwa żelazka pieczołowicie umieściła w walizce z ubraniami. Rzeczy, które większość kobiet nosi w torebce, poupychała w wewnętrznych kieszeniach turkusowego płaszcza: pieniądze, karty kredytowe, książeczkę czekową, dowód tożsamości.

W porządku. Była spakowana. Gotowa do wyjścia. Walizka i torba wraz z przerzuconym przez nie płaszczem czekały na marmurowej posadzce holu. Jeszcze coś zostało do zrobienia. Powoli. Galen ściągnęła bieliznę pościelową, zebrała kremowe i liliowe ręczniki. Pastelowy tobołek położyła na podłodze w łazience. Przeszła do kuchni. Dokładnie wytarła blat, wypatrując okruchów babeczek. Jednak nie został po nich żaden ślad. Włączyła telewizor. O tej porze szły wiadomości. Na żywo. Na wszystkich kanałach. Wybrała KCOR.

- Oczekujemy oficjalnego potwierdzenia informacji, że zabójca kobiet z Manhattanu nie żyje.

Słowa te wypowiedział Marty. To on relacjonował niedzielne wydarzenia spod szpitala. Galen nie zdążyła przejrzeć jego dossier. Marty, jak widać nie był zabójcą. A kamerzyści, których dane przejrziała? Oni nigdy nie pokazują się na ekranie, ale Galen potrafiła bez trudu rozpoznać ich robotę. Przyzwoite rzemiosło Wally'ego i artyzm Paula. Pragnęła w duchu, żeby obaj stali teraz przy budynku, spod którego mówił Marty. Cali, zdrowi i niewinni. Wally zawsze był dla niej taki miły, Paul zaś próbował ją ostrzec i chronić, jak umiał.

Kamera cofnęła się, ukazując szerszy plan. Taki prosty, poprawny manewr mógł wykonać niemal każdy. Galen zobaczyła błyskające światła samochodów policyjnych, odbijające się od pokrytej warstwą lodu nawierzchni. Rozpoznała, dobrze teraz widoczny, budynek. Stał przy Park Avenue. Mieszkała w nim Viveca. Zaledwie sześć przecznic stąd.

Lucas był tak blisko.

W drzwiach budynku ukazała się sylwetka jakiegoś wysokiego, szczupłego i eleganckiego mężczyzny. Nie był to Lucas ani nikt, kto miałby informacje dla prasy. Jego cień nie przekroczył żółtej policyjnej taśmy, tylko zniknął w mroku.

Tuż za nim pojawił się inny mężczyzna, przeszedł pod taśmą i zbliżył się do wyciągniętych w jego stronę mikrofonów. To także nie był Lucas ani żaden z policjantów, tylko prokurator, chyba ten sam, który siedział w furgonetce.

Zabójca nie żyje, potwierdził. Nie ma wątpliwości, że to był zabójca kobiet z Manhattanu. Czy ktoś jeszcze został ranny? Nie, nikt. Niedoszła ofiara jest oczywiście bardzo zdenerwowana. Ale cała i zdrowa. Nie, nie wyjawi teraz jej nazwiska ani nazwiska zabójcy. Jego tożsamość zostanie podana do wiadomości publicznej po dopełnieniu proceduralnych formalności i oficjalnym powiadomieniu rodziny.

Zabójca miał rodzinę. A więc - to chyba nie Wally. Czy fałszywa rodzina z jego zdjęcia była jedyną, jaką posiadał? Nie życzyła mu takiej samotności. Ani jemu, ani nikomu. Teraz jednak pragnęła, aby i Wally, i Paul byli kompletnie osieroceni. I John... John był osierocony. Milioner, który zaczynał od zera i do wszystkiego doszedł sam. Osiągnął tak wiele, stracił zaś jedyną osobę, na której mu zależało. Ale żyła przecież siostra Marianny, Nancy. Czy siostra żony to rodzina?

Galen wyłączyła telewizor. Nie miała ochoty zgadywać, kim jest morderca. Poza tym, podpowiadała nadzieja, Lucas zadzwoni i powie jej o wszystkim tak delikatnie, jak tylko on to potrafi. Teraz jest zajęty. Odniósł spektakularny sukces. Nie ma czasu, by myśleć o telefonie.

Ona ma tu jeszcze mnóstwo do zrobienia. Najpierw sprawa zakupów z „Ofelii”. Zwiewna bielizna nie w jej guście ani nie w guście Lucasa spoczywała teraz w swej pergaminowej torbie w holu, obok walizki. Łatwo się jej pozbyć, wrzucając do zsypu, żeby wylądowała na śmietniku dwadzieścia dwa piętra niżej. Przedtem jednak należałoby ją zniszczyć, na wypadek gdyby jakieś hieny z prasy brukowej szukały pamiątek po zabójcy kobiet.

A może należałoby wziąć ją ze sobą - w końcu to kosztowna i piękna tkanina - i uszyć z niej ubranka dla lalek Barbie.

Zastanowi się nad tym, odkurzając mieszkanie. Powinna to zrobić. Przecież była tu dość specyficznym gościem. Może zostawi na dywanie rysunek śnieżnego anioła? Lub cały anielski chór. A może, podszeptał jakiś zły głos, wielką trupią czaszkę? Dosyć, skarciła się w duchu. To koniec. Zaraz wyjeżdżasz.

Spojrzała na biały zegar kominkowy. Do północy zostało trzydzieści jeden minut. Nadzieja i rozsądek zawarły kompromis. Zadzwoń po taksówkę minutę przed północą, jak Kopciuszek wzywający powóz z dyni. Gdy zegar wybije ostatni kurant, ona będzie już w windzie, w drodze na ziemię. Najpierw lotnisko, lot do Kansas na spotkanie z Julią i, być może, z matką.

W tym momencie zadzwonił biały telefon Lucasa. Była jedenasta dwadzieścia dziewięć. Ten pierwszy dzwonek, na dźwięk którego jej usychająca nadzieja rozkwitła tysiącem białych kwiatów, stanowił zaledwie uwerturę, gdyż niemal równocześnie odezwał się dzwonek domofonu. Teraz dzwoniły oba. Za stalowymi drzwiami na dole ktoś czekał.

- Słucham?

- Pani Chandler?

- Tak?

- Tu sierżant Doyle, proszę pani, z departamentu policji stanowej. Zabójca kobiet nie żyje.

To już koniec! Wiedziałam!

- Tak, dziękuję. Oglądałam wiadomości w telewizji.

- Porucznik Hunter przysłał mnie po panią.

- Aha.

- Chce spotkać się z panią na miejscu.

- Zaraz schodzę.

- Chwileczkę, pani Chandler. Porucznik potrzebuje paru rzeczy z mieszkania. Powiedział, że pani będzie mogła mi pokazać, gdzie są.

- Ach, tak. Oczywiście. Proszę zaczekać, otworzę panu. Ostatnia winda na lewo.

Galen skierowała się do drzwi. Wiedziała, że wystarczy wystukać kod na klawiaturze białego aparatu telefonicznego, by odblokować zamek na parterze. Nie знаła go jednak, więc podeszła do panelu w holu i wcisnęła guzik pod monitorem telewizjera.



Mogła włączyć monitor. Ale nie zrobiła tego. Czy w jej głowie powstało najmniejsze podejrzenie, kiedy dwadzieścia dwa piętra niżej blokada drzwi została zwolniona? Czy usłyszała dalekie echo własnych słów i przestróg udzielanych zza pulpitu w studiu KCOR kobietom w Nowym Jorku: „Upewnij się, kto przyszedł, zanim otworzysz drzwi. Nie zaniedbuj tego, nawet jeśli głos wyda ci się znajomy. Jeśli ktoś obcy podaje się za policjanta albo inną osobę godną zaufania, nie wpuszczaj go pod żadnym pozorem”.

Nie. Galen nie miała cienia podejrzeń, uskrzydłona radością i nadzieją. To nie koniec, myślała, Lucas chce, żebym z nim była. Przysyłał kogoś, kto bezpiecznie przeprowadzi mnie śliskimi chodnikami sześć przecznic dalej.

Nie rozległ się żaden dzwonek ostrzegawczy. Nawet widok mężczyzny wychodzącego z windy (doświadczona krawcowa zauważyła płaszcz z czystego moheru, tak kontrastujący z jej własnym okryciem, pospiesznie narzuconym na ramiona) wzbudził raczej jej zaciekawienie niż przestrasz. Zdarzali się w końcu dobrze sytuowani policjanci. Na przykład Lucas. A zabójca kobiet przecież już nie żył. Poza tym był to ten sam elegancki mężczyzna, którego widziała w telewizji, gdy opuszczał dom Viveci. Dziennikarski zmysł podpowiedział jej, że nie ma do czynienia ani z sierżantem Doyle'em, za którego się podawał, ani z nikim nawykłym do używania zwrotu „proszę pani”.

- Nie jest pan sierżantem Doyle'em.

- Nie. Przepraszam za wtargnięcie. Na zewnątrz jest tak zimno. Za zimno, żeby tłumaczyć wszystko przez domofon.

- Kim pan jest?

- Nazywam się Brandon Christianson.

- Brandon - wyszeptła.

Jakiś instynkt, raczej samozachowawczy niż dziennikarski, kazał jej się cofnąć.

- Widzę - powiedział mężczyzna spokojnie - że Lucas opowiadał o mnie to i owo.

- Tak. - Cofnęła się. Wkrótce poczuła za plecami ścianę. Gdyby teraz próbowała uciec, mógłby ją schwytać bez problemu. Znalazła się w pułapce. Tymczasem Brandon Christianson, morderca, wyglądał raczej na zmartwionego niż zadowolonego z jej położenia. - Proszę wyjść - powiedziała kategorycznie.

- Za chwilę. Obiecuję. Czy możesz poświęcić mi jedną minutę? Tylko minutę, żeby wysłuchać, co mam do powiedzenia? Może lepiej nie - dodał, sam sobie odpowiadając. - Tak bardzo się mnie boisz. Zupełnie niepotrzebnie. Tylko skąd możesz to wiedzieć, prawda?

- Nie - mruknęła Galen. - Nie mogę.

- W porządku. - Cofnął się pod przeciwległą ścianę. Teraz dzieliła ich cała przestrzeń holu. - Przepraszam. To był niemądry odruch. Właśnie dzisiaj, kiedy usłyszałem w głosie Lucasa ból i

gniew, zdałem sobie sprawę, że przez te wszystkie lata on także był w więzieniu. Ja to sprawiłem, chociaż poszedł tam chętnie i sam zamknął za sobą drzwi, choć nie musiał tam wchodzić. Od tego czasu wiele się nauczyłem. Tak wiele, że postanowiłem podzielić się moją wiedzą z innymi. Dlatego napisałem książkę. Dziś na dźwięk jego głosu pomyślałem, że z twoją pomocą uda mi się go uwolnić z więziennej celi. Jesteś taka przerażona... Widzę, że to nie był dobry pomysł. -Brandon westchnął. - Dałaś mi moją minutę. Teraz już sobie pójdę. Napiszę do Lucasa. Może tym razem, jeśli mi pomożesz, list nie wróci nieodpieczętowany. Przekonaj go, Galen, żeby przeczytał. Dla jego dobra. Żeby uwolnił się wreszcie od poczucia winy, która nigdy nie powinna stać się jego udziałem. Dziękuję, że mnie wysłuchałaś. Jeszcze raz przepraszam za wtargnięcie. Nie zamierzałem cię wystraszyć.

Brandon Christianson nacisnął mosiężny guzik przy drzwiach windy. Zaraz się otworzą, on wejdzie do środka i odjedzie. Zniknie. Ona zaś będzie znowu bezpieczna. Wkrótce wyruszy na lotnisko.

Ale czy już teraz nie jest bezpieczna? Zabójca kobiet nie żyje, a Brandon Christianson nie okazał się aż takim potworem. Był potworem, lecz po dwudziestu dwu latach wyszedł z więzienia, podczas gdy człowiek, którego kochała, ciągle był uwięziony. Pod tym względem Brandon ma zupełną rację. No i gdzieś po drodze Brandon odnalazł Boga. „Rozmowy z Bogiem” nie przemówiły do niej, przemówiły natomiast do tysięcy czytelników, stając się dla nich źródłem inspiracji, przynosząc spokój i ulgę.

Brandon skłamał. Gdyby jednak przedstawił się swoim nazwiskiem, wcale by go nie wpuściła. Przecież zaraz się przyznał, kim jest. W tym, co mówił, było sporo racji. Wiele bolesnej prawdy o Lucasie. O jego gniewie, poczuciu winy, cierpieniu. Jej szarooki drapieżnik tkwił w klatce. Więziły go kraty przeszłości. A człowiek, który pomógłby go uwolnić, wychodzi. Napisze list, ale wiadomo, że Lucas nigdy go nie przeczyta.

- Zaczekaj! - Głos Galen zabrzmiał mocno i zdecydowanie. - Powiedziałaś, że potrzebujesz mojej pomocy?

- Tak. Miałem nadzieję, że przekonasz Lucasa, by się ze mną spotkał. Mogłabyś mu nawet towarzyszyć.

- Dlaczego ja?

- Bo jesteście ze sobą związani.

- Ja... my nie jesteśmy ze sobą związani... w żaden sposób.

- Nie? Lucas opowiedział ci o mnie i o Jenny. To znaczy, że jesteście blisko. Zresztą Viv jest tego samego zdania. Od niej wiem, że zamieszkałaś z Lucasem. Ona przypuszcza, że między wami dzieje się coś ważnego.

- Viveca? - Brandona i Vivecę także musiał łączyć jakiś związek. Lucas wolał o tym nie wspominać. Galen domyśliła się już wtedy, gdy Viveca oznajmiła, że może namówić autora „Rozmów z Bogiem” do ujawnienia tożsamości, ukrywanej pod godłem złotego krzyża. - Ty i Viveca jesteście...

- Kuzynami. Dziś właśnie u niej byłem. Oglądaliśmy wiadomości, żeby dowiedzieć się, jak się skończy horror z zabójcą kobiet w roli głównej. Wiesz, kto to jest?

- Nie.

- Powiem ci, jeśli chcesz. To właśnie z jego powodu znalazłem się tutaj. To on sprawił, że przyszedłem do ciebie, kiedy usłyszałem głos Lucasa. Gdybym ci opowiedział, co się wydarzyło, co usłyszałem, to może...

Galen się nie wahała. Pomoże Lucasowi, jeśli tylko będzie w stanie.

- Mów. - W tym momencie przyszło zastanowienie. Serce i rozum podjęły milczącą debatę na temat niebezpieczeństwa i ryzyka. Ostatnie słowo należało jednak do serca. - Może usiądziemy w salonie? - zaproponowała.

Jeden z lawendowych telefonów stał na szklanym blacie stolika. Łatwo do niego sięgnie z fotela. Brandona posadzi jak najdalej: na kanapie po przeciwnej stronie.

- Dziękuję - odparł cicho. - To miło z twojej strony.

Poszedł za nią do salonu. Gestem wskazała mu miejsce. Przerzucił swój moherowy płaszcz przez oparcie kanapy. Czekał, stojąc, aż ona zdejmie swój. Ale Galen usiadła w płaszczu. Wtedy on siadł również. I natychmiast zaczął mówić.

- Obiecałem opowiedzieć, co wydarzyło się u Viveci dziś wieczorem. Najpierw jednak posłuchaj, co powiedziałbym Lucasowi, gdyby dał mi szansę. Jeśli uznasz, że to nie ma sensu darujemy sobie również bolesne szczegóły dzisiejszej nocy. Zgoda?

- Zgoda.

Lucas myli się co do mnie, Galen. To najważniejsza kwestia. Widzę, że mi nie wierzysz. Zaczynasz się zastanawiać, czy nie popełniłaś błędu, pozwalając mi zostać. Wysłuchaj mnie jednak. Z mojej strony nic ci nie grozi. Tylko Lucas jest w niebezpieczeństwie. Jego serce i dusza. - Przerwał, lecz podjął wywód, gdy Galen wolno kiwnęła głową. - Nie wątpię w zdolność Lucasa do wyczuwania zła. Posiada ten dar. To fakt. Jest on błogosławieństwem dla ofiar i ich rodzin. Dla mnie natomiast i dla mojej rodziny nie był błogosławieństwem. Lucas powiedział ławie przysięgłych, że wyczuł moje złe intencje tej nocy, kiedy Jenny zginęła, a także dwa dni wcześniej. Jestem absolutnie pewny, że wierzył w to, co mówi. Miał wtedy zaledwie dziewięć lat i był zrozpaczony po śmierci Jenny. Według tego, co twierdzą psycholodzy, dziecko, które przeszło tak traumatyczne doświadczenie, czasem podświadomie kształtuje swój obraz rzeczywistości. Zmienia kolejność minionych wypadków. Przekształca nawet swoje wspomnienia. To normalna reakcja samoobrony emocjonalnej. Moim zdaniem, a eksperci, z którymi na ten temat rozmawiałem, zgadzali się ze mną, któregoś dnia - już po śmierci Jenny, lecz przed moją pierwszą rozprawą - Lucas odkrył swój dar. Ale z powodu skutków traumatycznego przeżycia, które opisałem, uwierzył, że posiadał ten dar już wcześniej. A to nieprawda, Galen. Jenny Kincaid zginęła przez przypadek - przez przypadek! - nie zaś w wyniku zaplanowanego z zimną krwią morderstwa.

„Kłamca!". To było słowo, które Lucas wykrzyczał bezgłośnie językiem migowym tamtego zimowego wieczoru, zanim wybiegł w ciemność, by odnaleźć ciało Jenny. Galen słyszała teraz ten niemy krzyk w sobie. Jednocześnie załatają fala własnych wspomnień wyniku traumatycznych przeżyć w pewnym okresie życia całkowicie wyparła z pamięci miłość, jaka łączyła ją dawniej z matką.

- Zabiłem Jenny - wyznał Brandon Christianson w ciszy, jaka zapadła po jego ostatnich słowach. - To był wypadek. Zawsze czułem się odpowiedzialny za jej śmierć. Zabiłem ją, ale jej nie zamordowałem. To duża różnica. Lucas nie był w stanie wyczuć groźby morderstwa, ponieważ taka groźba nie istniała. Nie mógł zapobiec śmierci Jenny i nie może się o to obwiniać. Powinien w końcu zrzucić z siebie wyniszczające poczucie winy. To właśnie bym mu powiedział, gdyby dał mi szansę. Sądziś, że to ma sens? Wysłucha mnie? Usłyszysz moje słowa?

Galen pomyślała o Jenny. Lucas wspominał, że czytała z ruchu warg. Odgadywała treść rozmów toczących się za oknem lub w odległym pokoju, a potem pytała z uśmiechem w oczach: „Czy słyszysz to, co ja widzę?". Może i Lucas usłyszysz słowa Brandona, jeśli zobaczy to, co widziała Galen: szczerą skruchę i nadzieję.

- Nie wiem - odparła po chwili. - Chciałabym dowiedzieć się reszty. Co się stało dziś wieczorem u Viveci?

Brandon szybko przeszedł od odległej przeszłości do najświeższej.

- Od Bożego Narodzenia przebywałem w Hiszpanii. Wróciłem dziś koło południa. Na lotnisku otrzymałem wiadomość, że w moim domu w Green-wich nie ma prądu. Przyjechałem więc do miasta. Viveca zaproponowała, że mnie przenocuje. Siedzieliśmy u niej i gadaliśmy o wszystkim, co się wydarzyło podczas mojej nieobecności. Wtedy zadzwonił Adam. Bardzo martwił się o Johna, tak powiedział. Obawiał się, że John osiągnął dno i dopuścił się strasznych czynów. Adam zamierzał go przekonać, aby obaj przyszli do Viveci i wspólnie zdecydowali, co dalej. Johna należało umieścić w jednej z prywatnych klinik psychiatrycznych, aby profesjonalnie i dyskretnie się nim zajęto. Viv doszła do wniosku, że mnie nie powinno przy tym być. Zgodziłem się, rzecz jasna. Mam wielu przyjaciół na Manhattanie, zwłaszcza jednego, którego już dawno obiecałem odwiedzić. Viveca miała klucz do mieszkania przylegającego do jej apartamentu i dała mi go na wypadek, gdyby mojego przyjaciela nie było w domu.

- Nie było go powiedziała Galen, przypominając sobie informację o mężczyźnie, którego policja zastała w apartamencie na Park Avenue.

- Nawet nie wiem. Wyszedłem z domu, ale już po minucie zrobiło mi się bardzo zimno. Różnica czasu też zaczęła dawać się we znaki. Uznałem, że zdrzemnę się w sąsiednim mieszkaniu. Nie miałem okazji wspomnieć

O tym Vivece, bo ledwie wszedłem, zaraz zjawiła się jednostka specjalna, bardzo cicho i dyskretnie. Mieli ze sobą cały arsenał broni i mnóstwo najnowocześniejszego sprzętu. Między innymi urządzenie pozwalające im - i Lucasowi, który siedział w furgonetce - obserwować wszystko, co

działo się w sąsiednim apartamencie. Adam przyszedł sam, bo John postanowił przyjść osobno. W tym czasie Adam powtórzył Vivece, co John mu wyznał - że jest zabójcą kobiet.

Galen już zaczynała się tego domyślać. Wyszepiała jednak:

- Och, nie. Tylko nie John.

- Tak samo zareagowała Viveca. Zawsze szanowała Johna. Uważała, że gdyby nie Marianna, ona i John byłiby razem. Kto wie, może to i prawda. Teraz już bez znaczenia. Ważne, że zawsze miała do niego wielki sentyment. To, co powiedział Adam, zupełnie wytrąciło ją z równowagi. Wpadła w histerię. Chciałem pójść do niej, uspokoić, ale goście z policji nie pozwolili mi opuścić mieszkania. Zresztą Adam próbował ją uspokoić i wszystko wytłumaczyć. Żebyś to pojęła, co usłyszałem i co usłyszał Lucas, będę musiał powtórzyć słowo w słowo, co Adam mówił Vivece. To dość drastyczne, więc może wolisz, żebym...

- Nie. Chcę usłyszeć to, co ty. I co usłyszał Lucas. Brandon głęboko westchnął.

- Krótko mówiąc, przyczyną całego tego szaleństwa, wszystkich morderstw dokonanych przez zabójcę kobiet, była Marianna. I Kay.

- Kay?

- Kay była kochanką Johna przez kilka miesięcy poprzedzających śmierć Marianny. Można by zrozumieć, że John szukał ucieczki i zapomnienia, gdyby romansował po raz pierwszy. Tymczasem on miał kochanki od lat. Wykazywał ogromny apetyt seksualny i dziwne skłonności. Lubił wiązać kobiety, stosować przemoc i dominować. To był jego mały, brudny sekret, którym nie mógł się podzielić ze swoją piękną, arystokratyczną małżonką. Marianna była boginią i John kochał ją bez pamięci. Przez wszystkie lata małżeństwa ukrywał swoje upodobania seksualne. Wreszcie pojawiła się Kay, najlepsza z jego kochanek, rozwiązała i zdeprawowana jak on sam. Lubiła przemoc i znała tajniki gry. Wiedziała, jak doprowadzić Johna do wariactwa. Najbardziej podniecała go opowieściami o seksualnej sprawności swoich poprzednich kochanków, zwłaszcza jednego, którego, jak mówiła, nigdy nie zapomni.

- Lucasa.

- Tak - powiedział Brandon przepraszająco. - Przykro mi, Galen.

- W porządku. Mów dalej.

- Jak powiedziałem, te opowieści stanowiły część gry. Jeśli John czuł się zagrożony takimi porównaniami, nie wspominał o tym Adamowi. Zresztą, czemu miałby to robić? Z jakichś powodów (Adamowi powiedział, że się znudził, a poza tym stan zdrowia Marianny znacznie się pogorszył) John zakończył romans z Kay. A raczej próbował zakończyć. Było to fatalne zauroczenie. Kay nie pozwalała mu odejść. Kilka dni po śmierci Marianny, kiedy cały Manhattan pogrążony był w smutku i współczuł oddanemu mężowi, Kay zagroziła, że poda wszystko do publicznej wiadomości. Że prowadzi dziennik pełen pikantnych szczegółów, w którym nazywa rzeczy po imieniu. Rosalyn St.

John przeczyta go z dużym zainteresowaniem. Podobnie jak udziałowcy imperium medialnego Johna. No i biedna, wrażliwa Nancy, która sama ledwo żyła po śmierci siostry. Kay nagrała się na automatycznej sekretarce w KCOR, na prywatnej linii Johna. John wpadł w szal. Tego samego wieczoru zabił ją. I wiesz co? To jest właśnie w tym wszystkim najgorsze. Jemu to sprawiło frajdę. Ogromną przyjemność. Teraz dopiero uzyskał pełną kontrolę nad kobietą. Spodobał mu się zwłaszcza jeden szczegół: przekłuł igłą oczy martwej Kay. Nie planował tego, działał pod wpływem impulsu. Kiedy przyszedł, Kay akurat przyszywała guzik do płaszcza. Ta zwykła domowa czynność tak nie pasowała do niezwyklej pani prokurator, że postanowił jakoś to upamiętnić. Nie mógł się powstrzymać. Galen? Ty drzysz.

- To przerażająca historia.

- Tak. Chyba powinienem na tym poprzestać. Może już wystarczy.

- Nie. Chcę usłyszeć wszystko, co mówił John, to znaczy Adam.

- Jak sobie życzysz - odpowiedział Brandon powoli. - Początkowo John zamierzał zabić tylko Kay. Skoro jednak sprawiło mu to taką frajdę, czemu nie miałby zamordować ponownie? Tylko kogo? Tamtej nocy zabrał pamiętnik Kay. Rzeczywiście zawierał mnóstwo szczegółów i dostarczył mu odpowiedzi. John postanowił, że zabije jej wrogów. Pomści pośmiertnie małą, zepsutą Kay. Jak się okazało, jej wrogami były przyjaciółki Lucasa. Kay sporządziła listę kobiet, które kiedykolwiek z nim się zetknęły. Odszukanie ich stało się jej obsesją. Nie przedstawiało zresztą trudności. Przecież pracowali razem, więc mogła wspomnieć o nim każdemu. Metoda przynosiła pożądane efekty: Kay zakładała, że każda kobieta z jej listy poszła z Lucasem do łóżka... A jej się to nie udało. Kay i Lucas nigdy nie byli kochankami. Choć ona bardzo tego chciała. Lucas odrzucił jej awanse. Pewnej sylwestrowej nocy powiedział, że jest związany z kimś innym. Kay doszła do wniosku, że z Moniką. Z przypadkowej uwagi rzuconej przez fotografa o imieniu Paul dowiedziała się, iż Monika i Lucas spotkali się w samolocie z Denver. Potem pojawiła się Marcia. Kiedyś, za namową Lucasa, kupiła porcelanowego pawia dla pewnego potentata z branży handlu nieruchomościami. Ów potentat wspominał o tym na raucie dobroczynnym, w którym uczestniczyła Kay. W taki sposób lista nazwisk stawała się coraz dłuższa. John miał w czym wybierać. Okazało się jednak, że dysponował też nazwiskiem nie pochodzącym z listy Kay. Doktor Brynne Talbot, znana onkolog, zaprzyjaźniła się z obiema siostrami w czasie wielomiesięcznej, bezskutecznej kuracji Marianny. Pewnego razu zastała Mariannę czytającą artykuł o Lucasie i sprawie, którą pomógł rozwiązać. Napomknęła więc, że znała go w czasach college'u. Zamordowanie Brynne sprawiło Johnowi wielką przyjemność.

- Tak jak znęcanie się nad Lucasem.

- Właśnie - przytaknął Brandon. - Adam nawet powiedział dlaczego: z powodu Marianny, a nie Kay. Johnowi nie zależało na Kay. Nie obeszłoby go, gdyby istotnie sypiała z Lucasem. Ale Marianna... Johnowi bardzo zależało na żonie. Kochał ją głęboko, obsesyjnie.

- Czy Adam mówił, że Lucas i Marianna byli kochankami?

- Nie. W rzeczywistości - a to akurat wiem od Viv - Marianna i Lucas widywali się bardzo rzadko i przypadkowo, na przykład z okazji różnych akcji charytatywnych. Ale dawno temu znali się bardzo dobrze, o czym zapewne wiesz. Marianna, Nancy i Lucas to ofiary, które przeżyły. Wiadomo, co dzieje się z takimi ofiarami, zwłaszcza jeśli wierzą - choć w ich wypadku bezzasadnie - że bliska osoba została zamordowana z zimną krwią. Prawda?

- Tak - odparła Galen, przypominając sobie, co mówił Lucas, gdy analizowali jego związek z Lawrence'em po śmierci Jenny. - Ci, którzy przeżyli, mogą się nie widywać, ale emocjonalna więź między nimi pozostaje równie silna, a nawet silniejsza niż przedtem.

- To prawda. W ciągu tych wszystkich lat Lucas stał się dla Marianny bohaterem. Przede wszystkim postarał się, żebym odsiedział cały wyrok, pełne dwadzieścia dwa lata. John w swoim małżeństwie musiał wysłuchiwać zachwyków żony nad Lucasem. Nad jego odwagą, szlachetnością i honorem. Jakby chodziło o mitycznego pogromcę smoka. Marianna piała z zachwytu nad porucznikiem zarówno w zaciszu domowym, jak i na wizji, ilekroć informowała o jego kolejnym sukcesie. John zaś chciał mieć Mariannę dla siebie. Całą. Tymczasem jakaś jej część należała do Lucasa, niezwykłego bohatera, z którym nikt nie mógł się równać. John nie znosił Lucasa. Wprost go nienawdził. Kiedy więc nadarzyła się okazja, żeby zabić kobiety, które znał... Tak, John czerpał wiele przyjemności z cierpienia, jakie zadawał Lucasowi. - Brandon zamilkł. Po chwili zapytał: - Co o tym myślisz?

- Co myślę?

Galen nie myślała, tylko czuła. Dygotała pod turkusowym płaszczem.

- Wierzysz w to? Sądzisz, że to może być prawda?

- Nie bardzo wiem, o co ci chodzi.

- Ci z policji też nie wiedzieli. W trakcie słuchania tej historii powiedziałem im, że jej nie kupuję, bo coś tu nie gra. Oni upierali się, że nie gra tylko jedno: John McLain wystawił wszystkich do wiatru. Najwyraźniej nie miał zamiaru dać się złapać na gorącym uczynku. I wtedy usłyszeliśmy Lucasa. Mówił przez radio z furgonetki: „Przygotujcie się. Zaraz wchodzicie”. Za chwilę wydał rozkaz snajperom na dachach po drugiej stronie ulicy. Kazał się upewnić, czy nic nie zasłania im celu. Nie zasłaniało. Mieli głowę Adama Vaughna dokładnie na celownikach.

- Adama???

- On opowiedział własną historię, nie Johna. Dzięki tej mistyfikacji Viveca nie miała się na baczności. Wstrząśnięta i zaskoczona, nie zauważyła wyraźnych potknięć w tej bajeczce. Ja zaś dostrzegłem je od razu, wyłącznie na podstawie tego, co ona sama kiedyś powiedziała: że znany korespondent wojenny Adam Vaughn czerpie dziwną satysfakcję ze swoich reportaży z pola bitew. Im straszniejsze rzeczy tam się działy, im więcej lało się krwi, tym lepiej. Reakcje sadysty. To samo można by powiedzieć o zabójcy kobiet, ale nigdy o Johnie McLainie. W dodatku to Nancy, a nie Marianna zachwycała się Lucasem. Sam o tym wiedziałem, ale Viv też zdawała sobie z tego sprawę. To Nancy pisała do Lucasa, czy przyjedzie na rozprawę dotyczącą mojego wcześniejszego zwolnienia.

Przychodziła na kolejne rozprawy i wiedziała, co Lucas zrobił, żeby nie wyszedł przed terminem. Każdy, kto oglądał Mariannę w telewizji, wiedział, że ona nigdy nie demonstrowała swej sympatii do Lucasa. Traktowała go tak samo jak innych, o których mówiła. Lucasem bez przerwy zachwycała się Nancy. Adam zaś tego słuchał.

- Nancy... - Galen nigdy nie spotkała żony Adama. Osierocona siostra Marianny spała niemal bez przerwy od chwili, kiedy zabójca kobiet pierwszy raz wyruszył na łowy. Widziała tylko podobiznę dziewczynki na zdjęciu zrobionym w dniu, kiedy zginęła Jenny. Już wtedy Nancy była taka krucha i delikatna. Na pewno nie była typem kobiety i żony, przed którą można odkryć anormalne upodobania seksualne męża. A tym groziła Kay. -Czy Adam się przyznał?

- Nie. Zginął kilka sekund po tym, jak snajperzy potwierdzili, że mają go na muszce, i zaledwie ułamek sekundy po wydaniu komendy przez Lucasa.

- Ale...

- Czy Lucas się nie pospieszył? Skądże. Adam po prostu przystąpił do działania. Wydobył nóż z kieszeni płaszcza tak powoli, że Viveca niczego nie spostrzegła. Jednym szybkim ruchem unieruchomił ją ramieniem i przyłożył ostrze do jej szyi. Może miał ochotę trochę z nią poigrać. A może nie. Lucas nie czekał, żeby się przekonać.

„Poigrać z nią”. Te słowa - nie magiczne, lecz złe i obłąkane - zmroziły Galen. To nie były słowa Adama. Adam nie żył. To były słowa mordercy. Brandona.

Galen zerwała się i sięgnęła po telefon. Za późno.

Brandon schwycił ją za nadgarstek i wytrącił z ręki słuchawkę. Zwinnym ruchem, jakby konkurował z Adamem, unieruchomił Galen. Wykręcił do tyłu jej ręce i skrępował białą jedwabną pończochą.

- Zabrałem to z komody w tamtym mieszkaniu, kiedy gliny poleciały zbierać to, co zostało z czaszki Adama - wyjaśnił.

- Czego chcesz? - spytała Galen, chociaż aż za dobrze wiedziała. Brandon odpowiedział drwiącym, aroganckim śmiechem; popchnął ją

na kanapę i bezczelnie oznajmił:

- „Pomsta do mnie należy, mówi Pan”.

- Więc nie do ciebie.

- To tylko jedna z wielu kwestii, na temat których Pismo Święte i ja mamy różne zdania. Jedna z wielu spraw, o których muszę porozmawiać z Bogiem.

- Jesteś szalony.



- Nawet nie wiesz, jak bardzo. Siedziałem w Marbelli i wściekałem się, że zabójca kobiet dręczy Lucasa tak, jak ja to już dawno wymyśliłem, tylko czekałem na stosowną okazję. I właśnie tej nocy podano mi na srebrnej tacy ciebie, Galen. Doznałem natchnienia. Adam też pod wpływem impulsu przekłuwał oczy swoim ofiarom. Przyszło mi to do głowy, kiedy Viveca napomknęła, że coś się kroi między tobą i Lucasem. To znaczy - przyszło mi do głowy, żeby cię zabić. Porzuciłbym tę myśl, zwłaszcza jeśli Lucas porzuciłby ciebie, ale Adam zaczął mówić o morderstwie. Morderstwo! Wiesz, jakie to podniecające? Od razu się domyśliłem, że on jest zabójcą kobiet. Zazdrościłem mu jak diabli. Tak, byłem niespokojny i żądny krwi. Minęło w końcu siedem długich miesięcy, odkąd udusiłem tę dziwkę w Cannes. Duszenie to moja specjalność; vide Jenny. Ale słuchając, jak Adam opowiada o nożu, o tym, jak miękko zagłębia się w kobiece ciało... Uprzednio pomiąłem ten szczegół. Bałem się, że mnie poniesie. Dostrzegasz perfekcję tej zemsty? Tę cudowną analogię? Adam idzie do Viveri, rozbraja ją swoimi kłamstwami. Ja przychodzę tutaj i to samo robię z tobą. Dla urozmaicenia krępuję ci ręce. No i nie ma tu policji ani snajperów. Będę wyciągał nóż z kieszeni płaszczka tak powoli, jak mi się spodoba. To dobry nóż. Pożyczyłem go od sąsiadów Vive-ci. Nasz świętej pamięci Adam byłby ze mnie dumny.

- Nie wywiniesz się z tego.

- Bez obawy, mój aniele. Tylko Lucas będzie wiedział, że to moja robota. Chcę, żeby wiedział. Tak się jednak składa, że mam przy sobie paszport i dysponuję funduszami, które pozwolą mi dostatnio żyć za oceanem do końca życia, w otoczeniu kobiet, które same będą pchały mi się w ręce. Wolałbym, żebyś była jeszcze ciepła, innymi słowy nie całkiem martwa, kiedy Lucas cię znajdzie. Nie zamierzam jednak kusić losu. Hunter wróci najwcześniej za kilka godzin - o ile długo wytrzyma skomlenie Viveri. Do tego czasu będziesz zimna jak lód. Zaczniemy?

Galen widziała w jego oczach żądzę i szaleństwo. Nie będzie już żadnych rozmów, tylko gra wstępna, powolne wyciąganie noża z kieszeni - właśnie tak jak teraz... Co robić? Powinna krzyczeć, ale to bezcelowe. Zza grubych ścian śnieżnobiałej jaskini nie wydostanie się na zewnątrz żaden dźwięk. Ręce, mocno związane na plecach białym kawałkiem jedwabiu, pończochą panny młodej, zaczynały jej już drętwieć, lecz nogi miała nieskrępowane. Mogła próbować uciec. Tylko dokąd?

Do windy? Brandon schwyta ją, zanim zamkną się drzwi, choćby nie wiem jak mocno naciskała guzik.

Więc może do sypialni? Do sanktuarium, gdzie tak niedawno kwitła miłość. Czy w drzwiach jest zamek? Nie pamiętała, bo nigdy nie przyszło jej do głowy zamykać się przed Lucasem, tak jak zamykała się przed Markiem. Wówczas nie użyła siły w swojej obronie. Teraz jednak miała czego bronić. Nie dopuści, żeby Brandon Christianson znowu zrobił to Lucasowi.

Taras. Mimo zdrętwiałych palców i skrępowanych rąk da radę otworzyć szklane drzwi. Pamięta, jak się otwierają. Kiedy znajdzie się na zewnątrz, podbiegnie do fontanny, lśniącej tęczwowymi soplami, i na jednym z nich zerwie białą pończochę z nadgarstków. Wdrapie się na murek i... w dół.

Kiedy znajdą jej roztrzaskane ciało, Lucas pomyśli, że wyszła na taras, jak któreś nocy, pośliznęła się i spadła. Będzie się czuł winny, że jej nie ostrzegł. Może nawet odczuje jej brak. Lepsze to niż

przez resztę życia miałby rozpamiętywać, jak znalazł ją, tak jak znalazł Jenny, zamordowaną przez Brandona.

- Wybierasz się gdzieś? - spytał Brandon, kiedy wstała. Nóż w jego dłoni lśnił ponuro. - Dokąd mogłabyś pójść? Ale skoro wstałaś, może zdejmijemy ten okropny płaszcz. Nie będzie ci potrzebny. Jak i reszta garderoby.

Złapał za turkusowe poły, ale niezbyt mocno. Chyba spodziewał się, że więzy i strach całkiem sparaliżowały w niej wolę oporu. Galen zaskoczyła go. Wyrwała się z taką siłą, że aż zachwiała się i potknęła. To wystarczyło. Brandon chwycił ją z wściekłością i zaczął brutalnie potrząsać.

- Słono zapłacisz za tę sztuczkę.

Trzymał ją w stalowym uścisku. Obłąd dodawał mu sił. Galen łatwiej utrzymywała teraz równowagę. Zupełnie jakby wykonywała pas-de-deux, uniosła nogę i kopnęła go z całej siły. Według speców od samoobrony taki cios zwala z nóg większość mężczyzn. Niektórych zaś doprowadza tylko do wściekłości. Brandon należał do tych drugich. Odepchnął ją z furią i cisnął dokładnie tam, gdzie zamierzał dokonać swej zemsty: pod kominek z białego marmuru. W baśniowym królestwie Galen i Lucasa rozświetlały go czer-wonozłote płomienie. Teraz stał ciemny i zimny. Mimo to Galen poczuła palący ogień w klatce piersiowej. Jej żebra zderzyły się z ostrą krawędzią marmurowej obudowy. Mięśnie ustąpiły pod tym ciosem. Złamane kości wbiły się głęboko, uszkadzając arterię, która zaczęła spływać krwią. Padając, Galen uderzyła głową w podstawę kominka. Została tam, na dywanie ze śniegu, płonąć z bólu i dysząc. Odpyływała gdzieś w przestrzeń. Śniła za ciemną zasłoną powiek, zbyt ciężkich, by dały się unieść.

Usłyszała jakiś głos i odgadła mgliście, bez lęku, że należy do diabła. Ale jej sen, jej powietrzny lot oddaliły ten głos, a potem zupełnie go wyciszyły. Dłonie diabła uwolniły ją z więzów i zaczęły rozbierać. Została naga i bezbronna. Traciła świadomość. W marzeniu sennym rozpoznała ręce innego mężczyzny, takie zmyślne ręce, oraz jego oczy rozjarzone srebrzyście pożądaniem i - wreszcie uwierzyła - miłością.

Nie wiedziała, co się dzieje, kiedy nóż zagłębił się w jej ciele i zaczął bezlitośnie ciąć jej drobne, nagie piersi. Jej przyćmiony umysł szukał jednak wyjaśnienia doznań, które nie były szczególnie bolesne w porównaniu z cierpieniem spowodowanym wbijającymi się w płuca kośćmi. Nagle odgadła: te zręczne, kochające ręce polewały jej piersi ciepłym syropem. Czuła przyjemne ciepło i słodycz. A gdyby jeszcze delikatne, zmysłowe wargi zaczęły...

Sen urwał się raptownie, kiedy śnieżnobiały zegar na kominku rozpoczął o północy wygrywać kuranty.

Sygnał dla Kopciuszka.

Pora uciekać! Musi wezwać swoją karocę z dyni i udać się w podróż do Kansas. Wróci na ziemię, gdzie jest jej miejsce. Nie tu - w białym, podniebnym apartamencie. Musi zdążyć, zanim biały zegar wybije północ.

Wezwie taksówkę, czekając na windę.

Winda już jedzie. Galen słyszy jej dźwięk na tle kurantów.

On tu jest. W domu. Wrócił do niej. Zdążył. W samą porę, by ocalić baśń.

Lucas w domu. Z nią. Nareszcie.

Galen naprawdę zaczęła śnić swój sen.

## 22

Galen śniła. Lucas Hunter przeżywał koszmar. Kiedy wysiadł z windy, ujrzał na podłodze konającego anioła śniegu. Jego skromna Wenus spoczywała naga i nieskromna na białym dywanie, z szeroko rozrzuconymi przez diabła rękami i nogami. Jej ubranie, jak turkusowy obłok, leżało obok. Krwawiła. Zupełnie tak samo jak w jego śnie o nożu i nagich lalkach. Głębokie cięcia biegly od obojczyków aż po piersi, znacząc białą, przezroczystą skórę ciemnym szkarłatem.

Naga, krwawiąca, biała Galen wciąż żyła. Zmaltretowane płuca z trudem chwytały powietrze.

Lucas podbiegł i ukląkł przy niej.

- Galen - szepnął tak jak wtedy, kiedy się kochali, i dotknął jej drogiej twarzy.

Była zimna.

Nie przestając szeptać jej imienia i czułych zapewnień, że wszystko będzie dobrze, rozpaczliwie szukał źródła krwotoku, którym uchodziło z niej życie. Ale nie znalazł. Krew tryskała ze zmiażdżonej arterii ukrytej głęboko w piersiach. Leniwymi strumyczkami czerwonych łez sączyła się z ran okrutnie zadanych nożem.

Delikatnie i czule Lucas ujął ramiona Galen i przysunął niczym białe, anielskie skrzydła bliżej ciała. Złączył zimne jak lód nogi, przywracając jej skromny i godny wygląd. Przykrył ją turkusowym płaszczem i sięgnął po telefon. To był jej telefon, lawendowy, porzucony na kanapie.

Wtedy zobaczył diabła - cień cieni, uosobienie zła - uzbrojonego w nienawiść i zakrwawiony nóż.

A co dostrzegł diabeł w lśniących oczach pantery?

Śmierć. W ułamku sekundy Brandon nabrał pewności, że Lucas gotów jest zamordować go gołymi rękami i że zaraz to zrobi. Ani nóż, ani pielęgnowana przez dwadzieścia siedem lat żądza zemsty nie wystarczą do stawienia czoła tej furii. Powinien był od razu zabić Lucasa. Mógł zaatakować go w chwili, gdy pochylał się nad skrwawionym kobiecym ciałem, które zresztą wcale nie było kobiece.

Widok cierpiącego Lucasa sprawił mu jednak niewypowiedzianą rozkosz. Nie mógł oderwać oczu. Stał i patrzył. Zresztą nawet błyskawiczny atak byłby bezcelowy: Lucas od początku wiedział, że Brandon znajduje się w mieszkaniu. I był gotów go zabić. W każdej chwili.

Brandon zerknął w kierunku windy, jedynej drogi ucieczki. Kiedy ponownie spojrzął w szare, zimne oczy, oprócz obietnicy śmierci zobaczył w nich bezgraniczną pogardę. Lucas mógł go zabić bez skrępowań. Nie-sprovokowany, nie zamierzał jednak zajmować się wymierzaniem sprawiedliwości. Każda sekunda zwłoki mogła kosztować Galen życie.

Porucznik wybierał numer, nie spuszczać wzroku z Brandona. 911. Opisał dokładnie obrażenia Galen, wydał kilka rozkazów i zażądał niezwłocznego przystania policyjnej erki. On sam znieśli ofiarę na dół. Odłożył słuchawkę.

Brandon uważnie przysłuchiwał się każdemu słowu. Nic mu nie zagrażało. Lucas nie przekazał zaszyfrowanego polecenia. Wygrałem, pomyślał. Pokonałem sukinsyna. Jeśli go nie sprowokuję, nie będzie się mną teraz zajmował. W tej chwili zależy mu na jednym: chce uratować tę beznadziejną dziennikarkę. A jeśli mu się nie uda? Jeśli ona umrze? Ta porażka stanie się dla Lucasa nieustanną torturą, większą niż śmierć Jenny. Galen znajdowała się pod jego nadzorem. Był za nią odpowiedzialny.

Brandon ze zdumieniem uświadomił sobie, że właściwie chciałby, aby Galen jakimś cudem przeżyła. Żyjąca dostarczy Lucasowi gorszej cierpienia niż martwa. Z natury nieciekawa, będzie na zawsze oszpecona ohydny, groteskowymi bliznami. Wygląd jej małych, zmasakrowanych piersi sprawi, że nie zechce jej żaden mężczyzna. Zwłaszcza taki jak Lucas. Chyba że będzie zobligowany. Może poczucie winy zmusi go do otoczenia jej opieką przez resztę życia?

Lucas troskliwie owijał turkusowym płaszczem przezroczyście ciało Galen. Uniósł je na rękach jak miękkiego kokona, przepraszając szeptem za mimowolnie sprawiony ból. Obiecywał, że wszystko będzie dobrze.

Jaka szkoda, pomyślał Brandon, że ona jest już trupem.

W drodze do windy i oczekującej na dole karetki Lucas był zupełnie bezbronny i jednocześnie całkiem obojętny na zagrożenie ze strony Brandona. Nawet nie spojrzął w jego kierunku. Po prostu odwrócił się i wyszedł.

Była chwila, gdy Brandon omal nie uległ impulsowi, by zatopić nóż w jego plecach. Gdyby nawet porucznik wyczuł jego ruch i był przygotowany na atak, nie zdążyłby delikatnie położyć Galen na podłodze i w porę zareagować.

Zdążyłby. Nie zdążyłby.

Nie zdążyłby! Zbyt późno doszedł do tego wniosku - nie dostrzegł na czas, że Lucas musiał jeszcze stawić czoła atakowi od frontu: widok zniszczonej walizki i ciasno upakowanej torby od „Bloomingdale'a” ugodził go w samo serce jak pchnięcie nożem. Gdyby Brandon przewidział, jakie zrobi to wrażenie na poruczniku, wykorzystałby ten moment i zadał śmiertelny cios. Ale nie

przewidział i dogodna chwila minęła. Trudno, pomyślał filozoficznie. Mimo wszystko był bardzo zadowolony.

Tryumfował. Zwycięstwo przeszło jego najśmielsze oczekiwania. Nieważne, czy Galen Chandler przeżyje, czy umrze. Zanim porucznik wróci i podejmie poszukiwania, po Brandonie Christiansonie nie będzie już śladu. Zniknie na zawsze.

- Zemsta należy do mnie - wyszeptał w stronę białego, zakrwawionego dywanu. - Zemsta należy do mnie.

Doświadczeni policyjni lekarze widzieli już różne rany i obrażenia. Nigdy nie komentowali stanu ofiary w jej obecności. Nawet jeśli ofiara wyglądała na martwą. Tak jak Galen Chandler, prezenterka stacji KCOR, która wzniosła się z samych nizin na szczyty sławy i skończyła z nożem w piersi.

Lekarz z zespołu karetki zaklął cicho, kiedy odgiął połę turkusowego płaszcza. Obrażenia, jakie zaobaczył - połamane żebra, płuca tonące w krwawej powodzi - spowodują śmierć. Tu tylko chirurg mógł jeszcze coś zdziałać. Ta rana zabijała. Szybko. Jeśli jednak jakimś cudem dowiozą oblodzonymi ulicami do Szpitala Memoriał pacjentkę żywą, jeśli trafi ona na stół operacyjny i przetrzyma ciężki zabieg, będzie umierała wyniszczona psychicznie, kryjąc pod bluzką zdeformowane, pokryte wstrętnymi bliznami piersi.

Lekarz spojrział znacząco na Lucasa, zadając bezgłośnie pytanie: „Czy wyświadczamy tej kobiecie przysługę ratując jej życie?”. W oczach porucznika wyczytał odpowiedź, zanim padły ciche słowa:

- Pomóżcie jej.

Lekarze próbowali dostać się do jakiejś żyły, bo wszystkie z powodu szoku stały się nitkowate. Igły cały czas wkuwały się w udręczone ciało. Kierowca jechał najszybciej, jak mógł. Lucas ukląkł przy głowie Galen.

- Dobrze ci idzie - szeptał, dotykając jej śmiertelnie zimnego, białego policzka i głaszcząc płomienne włosy. - Wytrzymasz.

- Proszę do niej mówić, poruczniku - odezwał się lekarz. - Pojawił się silniejszy puls.

Lucas przysunął się jeszcze bliżej i przytknął ciepłe wargi do jej lodowatej skroni.

- Kocham cię, Galen - wyszeptał cicho, tylko do niej, wprost do ucha i serca. - Kocham cię.

- Cokolwiek to było, proszę powtarzać. Ona pana słyszy. Udało mi się znaleźć żyłę.

Żyły Galen rozszerzyły się i przyjęły zbawczą igłę, tak jak Lucas otworzył całe swoje serce i duszę dla niej.

- Pani detektyw - wymruczał, zagłuszając własny strach. Całował jej powieki, które zatrzepotały, i usta. Okrywał pocałunkami całą jej twarz. -Wyjdiesz za mnie, Galen? Zostaniesz moją żoną?

Karetka mknęła na sygnale oblodzonymi ulicami Manhattanu. Lucas nie odrywał warg od zimnych ust Galen. Nagle wyczuł, raczej sercem niż ustami, jej nikły jak cień uśmiech.

## 23

Operacja trwała. Ze zmiążdżonej klatki piersiowej Galen chirurdzy usuwali ostre odłamki kości i podwiązywali uszkodzone naczynia. W tym samym czasie chirurdzy plastyczni zamykali rany po nożu. Za pomocą cienkich jak włos igieł zakładali szwy na pocięte mięśnie i ścięгна pod warstwę zmaltretowanej skóry. Zrobili, co się dało - przynajmniej na razie - żeby blizny były w przyszłości jak najmniej widoczne. Później, znacznie później - jeśli pacjentka przeżyje - można będzie dokonać poprawek.

Podczas gdy lekarze ratowali umęczoną Galen, pielęgniarka Casey z oddziału szóstego zajęła się ratowaniem turkusowego płaszcza. Skończyła dyżur o jedenastej, ale została w szpitalu dłużej i wraz z kilkoma innymi pielęgniarkami oglądała telewizję w bawialni. Nadal tam siedziała, czekając na ujawnienie tożsamości zabójcy kobiet, kiedy dwadzieścia dwie minuty po północy zadzwoniła koleżanka z oddziału intensywnej terapii. Casey darzyła ją dużym zaufaniem i wtajemniczyła, kim jest osoba dostarczająca lalki małym pacjentkom i że ostatnią partię przydzwigał osobiście „cudowny porucznik Hunter”.

Rzeczywiście, jest cudowny, rozmyślała pielęgniarka, czekając, aż Casey podejdzie do telefonu. Cudowny i zrozpaczony, choć przerażająco spokojny. W tym krótkim czasie, jaki Galen przebywała na izbie przyjęć, porucznik zachowywał się bez zarzutu. Bez słowa ustąpił miejsca nadbiegającym lekarzom i w milczeniu stanął pod ścianą. Także później, gdy Galen pospiesznie wieziono na salę operacyjną, wykazał opanowanie. Nie nalegał, by jej towarzyszyć. Trzem przybyłym policjantom rzeczowo podał dane człowieka, który zaatakował Galen. Wyjaśnił, gdzie to się stało, i wydał stosowne polecenia. Od tej chwili siedzi nieruchomo, jak wykuty z kamienia, splamiony krwią posąg. Milczy. Na nic nie reaguje. Może Casey uda się z nim porozumieć?

Casey szczerze w to wątpiła. Jego widok utwierdził ją w tym przekonaniu. „Cudowny porucznik Hunter” wyglądał jak śmierć lub jakby wciąż miał jej obraz przed oczami. W rękach delikatnie trzymał turkusowy płaszc, jakby tulił do siebie jego właścicielkę. Jasnoniebieską podszewkę znaczyły plamy krwi.

- Panie poruczniku? To ja, Casey. Z oddziału szóstego. Pamięta mnie pan?

Na śmiertelnie bladej twarzy również widniały ślady krwi. Oczy były puste, bezbarwne i... uprzejme.

- Pamiętam, oczywiście. - Jego głos zdawał się wydobywać z grobu.

- Czy pozwoli mi pan pozbyć się... tych plam z płaszcza Galen? Im prędy, tym lepiej. Jeśli od razu potraktuje się wodą utlenioną, płaszcz będzie jak nowy. Mam wrażenie, że on wiele dla niej znaczy. - Casey delikatnie wyjęła płaszcz z rąk Lucasa. - Dzięki. Ile kieszeni! - Obmacywała kieszenie, po kształcie domyślając się ich zawartości. - Tej wewnętrznej Galen musi używać do chowania portmonetki. Bardzo sprytnie. Myślę, że takie płaszcze rozchodziłyby się na Manhattanie jak ciepłe bułeczki, gdyby Galen chciała je sprzedawać.

Casey gadała jak najęta, podczas gdy woda utleniona dokonywała cudów - krwawe plamy zmieniały się w syczącą pianę, łatwą do usunięcia.

Lecz co zrobić z plamami krwi na jego płaszczu i twarzy? W innej sytuacji, gdyby miała do czynienia z policjantem na służbie, sama szybko doprowadziłaby go do porządku. Teraz jednak miała przed sobą nie zwykłego policjanta, lecz człowieka dręczonego strachem i przeżywającego męki niepokoju, a w dodatku prawdziwego dżentelmena. Zamoczyła czysty ręcznik w wodzie utlenionej i wsunęła mu do ręki.

- Pańska twarz, poruczniku. I płaszcz. Proszę. - Usłyszał, co wprawiło Casey niemal w stan euforii. Wytarł twarz i oczyścił płaszcz. Zakrwawiony ręcznik wrzucił do pojemnika. Casey z dumą pokazała mu moką, ale czystą podszewkę turkusowego płaszcza. - Proszę spojrzeć, jak to zadziałało. Teraz zabiorę go na górę, gdzie przewiozą Galen, i gdzieś powieszę, żeby wysechł. Po drodze pokażę panu poczekalnię. Pójdzie pan ze mną? Proszę.

Słowo „proszę” znów przyniosło zamierzony skutek. Ledwie zamknęły się za nimi drzwi, wtargnęła pierwsza grupa dziennikarzy. Casey zostawiła Lucasa w poczekalni. Tam nie wolno było wchodzić żurnalistom. Szybko odniosła płaszcz na górę i wróciła, by razem z nim czekać na wieści.

Siedzieli w milczeniu. Dla Lucasa był to czas cierpienia i lęku.

O czym on myśli? - zastanawiała się Casey. Nie sposób się zorientować. Lepiej dla niego, gdyby nie myślał w ogóle. Lecz Lucas Hunter nie wybrałby takiej drogi ucieczki.

Zresztą z miejsca, gdzie przebywał, ucieczki nie było. Żadnej drogi wyjścia z ciemnej, głębokiej jaskini bólu i kary. Żadnej. Z wyjątkiem może modlitwy.

On pierwszy wyczuł obecność osoby, która stanęła w drzwiach. Podniósł się i czekał, co ma do powiedzenia ordynator oddziału intensywnej opieki medycznej, doktor Diana Sterling. Znał ją, bo wielokrotnie spotykali się przy różnych służbowych okazjach.

- Już po operacji, Lucas. Jeśli nie nastąpią nieprzewidziane komplikacje, Galen najgorsze ma za sobą.

- Dziękuję... - szepnęła z radością. Lekarka uśmiechnęła się.

- Galen nie będzie pewnie w nastroju do podziękowań co najmniej przez najbliższe dwadzieścia cztery godziny. Znajduje się teraz pod ścisłą obserwacją - oddech i tętno wymagają...

- I ból...

- Tak, tym zajęliśmy się w pierwszej kolejności. Musimy jak najszybciej doprowadzić do prawidłowej pracy płuc i dotlenienia wszystkich partii zalanych krwią. Mechanicznie wspomagamy oddychanie, by rozluźnić mięśnie, i stosujemy silne środki przeciwbólowe, przeciwdziałając odruchowemu spłycaaniu oddechu. Środki te mają także działanie usypiające. Najbliższą dobę Galen prześpi.

- Mogę ją zobaczyć? Diana westchnęła.

- Nie mogę, Diano?

- Uratowałeś jej życie, Lucas. Twój głos dokonał cudu w karetce. -Lekarka wiedziała od kolegi z zespołu erki, że serce Galen zaczęło znowu bić i ciśnienie krwi niespodziewanie wzrosło, gdy porucznik zaczął do niej mówić. - Obawiam się jednak, że jeśli cię teraz usłyszy... Za szybko wybudziła się z narkozy. Ucieszyliśmy się, że jest przytomna, bo ma dość poważne obrażenia głowy, ale z trudnością dała się uspokoić. - Diana westchnęła ponownie. - Możesz ją zobaczyć, lecz ani słowa. I nie dotykaj jej. Niech śpi. Sen jest najważniejszy, jeśli ma z tego wyjść.

- Chcę wyłącznie tego, co dla niej najlepsze. Diana uśmiechnęła się.

- Jak się obudzi i uznamy, że najlepsze dla niej będzie towarzystwo, zawiadomię cię. Obiecuję.

- Dziękuję - szepnęła znowu porucznik.

„Dziękuję”. Słowo to Lucas wymawiał tego dnia wiele razy wobec lekarzy i pielęgniarek zajmujących się Galen. Pacjentka ciągle śpi, informowali. To dobrze, bo teraz najbardziej potrzebuje snu. Jej stan wyraźnie się poprawia.

Idąc na dyżur, zajrzała do poczekalni Casey.

- Śnieg topnieje - powiedziała. - Już prawie znikł. Była środa. Galen spała. Śnieg topniał.

O czwartej trzydzieści po południu...

- Lucas?

- Lawrence?

- Właśnie się dowiedziałem. Co z nią?

„Dobrze”. Smukłe dłonie Lucasa odpowiedziały w języku migowym. „Wyjdzie z tego”.



„Tak się cieszę”, pokazał Lawrence Kincaid i spoglądając na swoje ręce, dodał: „Od lat tego nie robiłem”. „Ja też”, odparł Lucas.

Obaj nie zapomnieli ani cudownego języka Jenny, ani tamtych roztańczonych lat, sześciu lat cichej, wielkiej radości.

Lucas odezwał się teraz w bezbłędnej brytyjskiej angielszczyźnie.

- Poprosiłem Galen o rękę. Lawrence uśmiechnął się.

- I co?

- Chyba powiedziała „tak”. - Lucas także się uśmiechnął. - Właściwie jestem pewien.

Rozmawiali o przyszłości, nie o przeszłości. O Galen. Weszła pielęgniarka z najnowszymi wieściami - Galen nadal śpi, a jej stan znacznie się poprawił. Obaj powiedzieli zgodnym chórem:

- Dziękuję. Znowu zostali sami.

- Powinienem być cię adoptować - odezwał się Lawrence, patrząc na Lucasa.

- Adoptować? Mnie?

- Chciałem tego i planowałem od jakiegoś czasu. Rozmawiałem nawet z prawnikiem. Myślałem, żeby zaproponować Helenie, abyśmy się pobrali, choćby na krótko, bo to znacznie uprościłoby sprawę. Ale wtedy właśnie...

- Umarła Jenny.

- A ty wyjechałeś. Nie powinienem być do tego dopuścić. Gdybym cię wcześniej adoptował, zostałbyś ze mną. Bez dyskusji. Nie wróciłbyś do Anglii. Nie rozstalibyśmy się tak głupio, tylko dlatego że zżerał mnie smutek. I gniew. Tak bardzo zależało mi na sprawiedliwej karze dla Brandona, że oślepiłem na wszystko inne. Nawet na najważniejsze w moim życiu sprawy. Kiedy w końcu przejrzałem, okazało się, że straciłem was oboje.

„Oboje”. Jenny i Lucasa. Jego dwoje dzieci.

- Nie wiem, co powiedzieć.

Lucas nie musiał niczego mówić. Jego szare oczy, przepiętne zdumieniem i wdzięcznością, wyrażały wszystko.

- Mógłbyś chociaż powiedzieć, że kiepski ze mnie ojciec.

- Nie, Lawrence. Nigdy tego nie powiem.

- No to słaby człowiek.

- Też nie.

- Wyduś przynajmniej, że trochę za późno ci to wszystko mówię. Prawie o trzydzieści lat za późno.
- Nie - odparł Lucas serdecznie. - Nie za późno. Zapadła cisza wypełniona wspomnieniami i radością.

W końcu dramaturg przemówił. Wkrótce zostanie wystawiona jego nowa sztuka, „Bellemeade”. Opowiada o historii rodziny, którą on, Jenny i Lucas niegdyś tworzyli. Pisanie zabrało mu wiele lat, zanim osiągnął to, co zamierzył. W końcu się udało. Jeżeli obsada aktorska i inni związani z teatrem ludzie nie porzucili jeszcze pracy - bo on wyszedł tylko na obiad i dotąd nie wrócił - „Bellemeade” spełni wszystkie jego nadzieje. Zwłaszcza jeśli Lucas i Galen przyjdą na premierę.

- Przyjdziemy - obiecał Lucas i z uśmiechem dodał: - A ja mam nadzieję, Lawrence, że ty przyjdiesz na nasz ślub.

## 24

Diana Sterling wysłała Lucasa do domu o ósmej wieczorem. Stan Galen poprawiał się z godziny na godzinę. Rano, po usunięciu respiratora, Lucas będzie mógł z nią porozmawiać.

- Do tego czasu - powiedziała Diana łagodnie - radzę ci się dobrze wyspać.

- Jasne - zgodził się Lucas potulnie. - Zaraz się położę.

Jednak nie zastosował się do tej rady. Tej nocy nie spał. Szył. Do białego rana. O świcie ubrał małą plastikową laleczkę, uczesał jej płomiennorude, sięgające pasa włosy, zapakował w ciekawą bibułę w kolorze lawendy i pojechał do szpitala.

Był już w poczekalni, kiedy anestezjolog wyciągnął Galen z gardła przezroczystą rurką.

Piętnaście minut później pozwolono mu się z nią zobaczyć. Leżała wsparta na miękkich poduszkach, niezwykle drobna i blada.

Na jego widok jej twarz ożywiła się i rozświetliła radością.

- Lucas...

- Witaj - powiedział czule. Chciał ją objąć, przytulić, ale na razie pieścił tylko głosem. - Boli?

- Tylko kiedy oddycham - uśmiechnęła się - i kiedy nie oddycham.

- Tak mi przykro.

- Nie martw się, naprawdę nieźle się czuję. Właśnie się przebudziłam po dwudziestoczworgodzinnej drzemce. Doktor Sterling mówi, że wkrótce, kiedy już zacznę normalnie oddychać, pozwolą mi iść...

- Do domu.

- Tak.

Zamiast powiedzieć „do domu”, wzruszyła ramionami, budząc palący ból w pogruchotanych piersiach. Równie bolesne było pytanie, na które wciąż nie знаła odpowiedzi. Gdzie był jej dom, to cudowne, baśniowe miejsce? W Kansas z Julią? Z matką? Tam, skąd kiedyś uciekła? A może tam, gdzie stoi fontanna jak tort weselny, wielobarwne tęcze tańczą w soplach lodu, a w białych wnętrzach mieszkają baśnie, miłość, marzenia i kłamstwa?

- Galen?

- Tak?

- Mam coś dla ciebie. - Lucas wręczył jej lawendowe zawiniątko. - Udało mi się kupić ją wczoraj. Nie wiedziałem, że są lalki Barbie tak bardzo podobne do ciebie.

- Bo nie ma - mruknęła. Chciała coś jeszcze dodać, ale zamilkła na widok rudych loków i błękitnych oczu lalki. Barbie miała na sobie identyczną jak ona szpitalną koszulę i bawełniany szlafrok. Chora dotknęła miękkiego materiału. - Sam uszyłeś...

- Próbowałem.

- I udało ci się - szepnęła. Nie był to wyrób profesjonalisty, ale czuło się, że twórca włożył w swe dzieło wiele pracy i serca. Drobne, równe ściegi biegnęły dokładnie tam, gdzie powinny. - Spójrz, jak ładnie uszyłeś rękawy.

- W pewnej chwili byłem pewny, że rękawów w ogóle nie będzie.

- Nie mogę uwierzyć... Dzięki.

- Och, Galen, nie dziękuj mi. Za nic.

Galen przeniosła wzrok z delikatnych i silnych dłoni krawca na jego skamieniałą twarz.

- Za wszystko, Lucas. Dziękuję ci za wszystko. Gdybyś nie wrócił w porę...

- Co właściwie pamiętasz?

- Chyba wszystko.

- Opowiesz mi, co się stało? Chyba że to dla ciebie zbyt straszne.

- Nie jest zbyt straszne, biorąc pod uwagę, jak się skończyło. Żyję i czuję się lepiej. A więc, było tak. Brandon zadzwonił o jedenastej dwadzieścia dziewięć. Wpuściłam go. Jak idiotka. W ogóle nie sprawdziłam, czy istotnie jest policjantem, za którego się podaje. Słyszałam przecież, jak mówili w telewizji, że zabójca kobiet nie żyje. - No, a poza tym zakwitły wtedy białe kwiaty nadziei, pomyślała. - Kiedy wszedł, szybko zdałam sobie sprawę, z kim mam do czynienia.

- Zaatakował cię?

- Nie. Oczarował. Tak przekonująco mówił o tym, że chciałby się z tobą spotkać, że takie spotkanie mogłoby ci pomóc, że oczywiście jest niewinny. Dość wiarygodnie tłumaczył, dlaczego masz inne zdanie na ten temat. Mówił o zaburzonej chronologii wydarzeń we wspomnieniach dzieci, które przeżyły szok. W każdym razie podszedł mnie. Tak jak Adam podszedł Vivecę. Czy rzeczywiście Adam okazał się zabójcą kobiet?

- Tak. To on. - Fakt ten podano do publicznej wiadomości dopiero wczorajszego popołudnia. Galen wtedy jeszcze spała. - Ktoś powiedział ci o tym dziś rano?

- Brandon mi powiedział.

- Brandon?

- On był z policjantami w sąsiednim apartamencie. Nie wiedziałaś?

- Nie.

- Więc musiałaś go wyczuć. Dlatego wróciłaś do domu tak wcześnie.

- Owszem - przyznał Lucas. - Wyczułem go. Nie dlatego jednak wróciłem - dodał miękko.

- Nie?

- Nie. Później ci opowiem, jeśli nie będziesz zbyt zmęczona.

- Nie będę. Spałam przez dwadzieścia cztery godziny. - Pomyślała, że mogłaby już nigdy nie spać, byle tylko usłyszeć, co on ma do powiedzenia. .. Usłyszeć to, co mówiły jego oczy. - Na czym to ja skończyłam? Aha, że Brandon zupełnie mnie rozbroił. No, może nie całkiem. Zaczęłam coś podejrzewać, zanim wyznał, że opowieść Adama doprowadziła go do szaleństwa. Że miał ochotę zabić. Nożem. Kiedy się zorientowałam, rzuciłam się do telefonu. Ale nic z tego nie wyszło. Związał mi ręce na plecach. Nie mogłam złapać równowagi. Kopnęłam go i wtedy pchnął mnie na kominek.

Najpierw poczułam ból w klatce piersiowej, a potem uderzyłam głową. Nie straciłam przytomności, ale wszystko wokół zaczęło pływać. Przestałam się bać. Nie bałam się nawet wtedy, kiedy mnie rozbiarał. Nie byłam w stanie walczyć, więc się poddałam. Zdawało mi się, że też gdzieś płynę.

Galen przerwała. Na moment zamknęła oczy, przywołując wspomnienie tonące w gęstej mgłę: jak Brandon - nie, jak Lucas polewa ciepłym syropem jej piersi.

- Coś jeszcze sobie przypominasz?

- Nic. - Otworzyła oczy. - Nic, co miałoby sens. - Uśmiechnęła się. - Potem zegar zaczął wydzwaniać północ i usłyszałam windę. Wracając do domu. To wszystko. - Zmarszczyła brwi.

- O co chodzi, Galen?

- Pamiętam, jak do mnie mówiłeś. Słyszałam, jak dzwoniłeś na policję. Nie pamiętam natomiast, kiedy Brandon wyszedł ani co się działo między jego wyjściem a twoim przyjściem. Więc... on nadal był w mieszkaniu?

- Był tam. Nie zamieniliśmy ani słowa. Trzymał się ode mnie z daleka. Wyszedł już po nas. - Lucas urwał, porażony świadomością, że tak precyzyjnie odgadł następne posunięcia Brandona i że z takim spokojem udzielał informacji policjantom w szpitalu. - Zabrał mój samochód i ruszył na lotnisko J.F.K.

- Po drodze został aresztowany?

- Nie. Nie zatrzymał się na wezwanie i zaczął uciekać przed policją.

- Po lodzie.

- Tak - potwierdził Lucas spokojnie. Był to bardzo niebezpieczny pościg, ale policjanci nie zaniechali go. Porucznik też by nie zaniechał. Ulice były zupełnie puste. Nie zagrażali więc bezpieczeństwu przechodniów. Ryzykowali tylko własnym życiem. Kontynuowali pościg ze względu na Lucasa Huntera i z powodu Galen. Wiedzieli, co Brandon zrobił. Oblodzona jezdnia tej nocy nie była sprzymierzeńcem zła. - Brandon stracił panowanie nad kierownicą i rozbił się na zakręcie. Zginął na miejscu. Policjanci wyszli cało.

- To dobrze. Cieszę się, że nic im się nie stało i że Brandon... - Galen wzruszyła ramionami. Tym razem ból się nie odezwał. - Niezbyt to ładnie z mojej strony.

- Zasłużył sobie. - Lucas uśmiechnął się i zaraz spoważniał. Miał jej tyle do powiedzenia. O miłości, nadziei, marzeniach. - Pamiętasz coś jeszcze?

- Na przykład co?

- To, co ci mówiłem w drodze do szpitala? Na przykład pytanie, które ci zadałem?

Jego oczy, czułe i proszące, czegoś chciały. On naprawdę jej pragnął. Właśnie jej.

- Jakie pytanie?

- Niech ci będzie. - Lucas dotknął białego, gładkiego policzka i ciepłych, drżących warg. - Powiedziałem, że cię kocham, Galen. Kocham cię z całego serca.

- Lucas...

- Zapytałem też, czy za mnie wyjdiesz. Na co ty - mam nadzieję, że pamiętasz - powiedziałaś „tak”.

- Naprawdę?

- A nie? Tak! Tak!

Zmarszczyła brwi. Chciała coś powiedzieć, ale powstrzymała ją delikatnym pocałunkiem.

- Teraz moja kolej, Galen. Wysłuchaj mnie.

- Mów.

- No więc, zakochałem się. Nie wierzyłem, że to kiedykolwiek nastąpi. Myślałem, że w moim przypadku to niemożliwe. Zamknąłem się przed miłością dawno temu. Tymczasem zakochałem się, Galen. W tobie.

- Ja też nie wierzyłam, że się kiedyś zakocham. Ale pokochałam ciebie. Bo jesteś tym, kim jesteś.

- A jednak chciałaś uciec - powiedział cicho. - Spakowałaś walizkę i torbę, wystawiłaś je do holu, a resztę rzeczy poupychałaś w kieszeniach płaszcza.

- Boja...

- Myślałaś, że kochałem się z tobą, żeby sprowokować zabójcę. - Lucas wyczytał z jej oczu potwierdzenie swych słów, Galen zaś zobaczyła w jego oczach gniew i żal do samego siebie. - Powinienem być powiedzieć ci więcej. Wyjaśnić, co wyczułem już w niedzielę: że chodzi o Adama, który wkrótce znów spróbuje kogoś zabić, bo nie będzie w stanie dłużej się powstrzymać. Musiałem jednak uzyskać pewność i jak najszybciej wszystko zorganizować. Podjąłem stosowne kroki. Przygotowania zabrały mi mniej czasu, niż się spodziewałem. Tęskniłem za tobą. Rozpaczyliwie. Nie przypuszczałem, że on zadzwoni tej nocy. Myślałem, że mam nad nim co najmniej dzień przewagi. Nie planowałem też, że będę się z tobą kochał. Wiedziałem, że ta sprawa dobiega końca i wkrótce będzie już po nim. Tymczasem...

- Ja cię uwiodłam.

- Uwiodłaś mnie dużo wcześniej. Mimo wszystko nie kochałbym się z tobą, gdybym wiedział, że nie będę mógł zostać przy tobie, okazać ci moją miłość i powiedzieć, co do ciebie czuję.

- Ale zabójca zadzwonił - szepnęła Galen. - Skąd wiedział, że się Kochamy?

- Nie wiedział. Po prostu chciał znowu zabić. Nie miało znaczenia, co byś mu powiedziała. Obojętne, co byśmy wtedy robili. Miał zamiar tej nocy zabić i sprawić, żebyś czuła się za to odpowiedzialna. Zadzwonił. A ja cię opuściłem.

- Musiałeś.

- Tak. Musiałem. Musiałem też skupić się na tym, co Adam mówił do Viveci, żeby wyczuć moment, gdy sięgnie po nóż.

- Udało ci się.

- To była męka. Cały czas myślałem o tobie. O dziewczynie, którą w szkole przeżywali strachem na wróble i którą tak okropnie skrzywdził Mark. Byłem pewny, Galen, że wiesz, co to miłość, bo doświadczyłaś jej dzięki Julii, Babuni i Win. I dzięki matce, zanim poznała Marka. Wierzyłem, że mnie kochasz i wiesz, że ja kocham ciebie. Bałem się tylko, że wskutek okrucieństwa, jakiego doznałaś od Marka, Adama, Rosalyn St. John i innych ludzi, nie rozumiesz, że ja cię pragnę. Że jeśli uznasz, że nasz seks był jednym wielkim kłamstwem, to pewnie zwątpisz we wszystko inne. Także w moją miłość. I tak się właśnie stało, kiedy cię zostawiłem.

- Ja...

Galen spojrzała na trzymaną w rękach lalkę i zmarszczyła brwi.

- Nad tym też się zastanawiałem - powiedział Lucas, odgadując jej myśli. - Podejrzewam, że twoje wyobrażenie, jak powinna wyglądać kobieta, zostało mimo wszystko ukształtowane przez ten nieosiągalny plastikowy ideał. Wiem, że mówiłaś prawdę: lalki Barbie stały się twoimi przyjaciółkami. I chyba symbolami miłości. Gdyby twoja matka miała szmacianą lalkę lub Myszkę Miki, szłybyś ubranka dla nich. Lalki Barbie zawsze ubierałaś bardzo skromnie, jak siebie.

- Myślałeś o tym wszystkim, kiedy słuchałeś Adama? Galen spojrzała w poważne, szare oczy.

- Tak. Przysięgłem sobie, że jak tylko go schwytamy, przekażę wszystko Peterowi Collingsowi, temu policjantowi, który siedział ze mną w furgonetce, i wracam do domu. Do ciebie. Peter odwalił kawał dobrej roboty przy tej sprawie. Powierzyłem mu też inne zadanie: telefon do Johna.

- Do Johna?

- Tak, żeby powiadomił Nancy.

Nancy, pomyślała Galen, krucha, delikatna żona Adama. Lucas znał ją w dzieciństwie. Wciąż był z nią emocjonalnie związany, choć się nie kontaktowali. Kiedy odkrył, że Adam jest mordercą, zaraz pomyślał o niej. Bał się o nią i chciał chronić. Uważał, że powinna dowiedzieć się prawdy o mężu w sposób najbardziej delikatny i taktowny. Ale czemu akurat od Johna? Od szwagra, który sam ledwo żył po śmierci Marianny?

- Rozmawiałem z nim w poniedziałek - kontynuował Lucas. - To była długa rozmowa telefoniczna. Poruszyliśmy wiele tematów. John nie domyślił się prawdziwego powodu mojego telefonu. Szukałem potwierdzenia pewnych faktów dotyczących Adama. Przy okazji odkryłem coś, co mnie bardzo zaskoczyło. Otóż troska Johna o Nancy była tak wielka, że mogła przyćmić nawet rozpacz po utracie żony. Początkowo zamierzałem sam jej powiedzieć o Adamie. Potem uznałem, że lepiej, jak tę straszną wiadomość przekaze John. Wiedziałem, że zrobią to ze względu na Nancy i Marianną.

- Powiedziałeś mu o Adamie?

- Nie. Poinformowałem tylko, że zbliżamy się do rozwiązania sprawy. A ze względu na rolę, jaką odgrywa w niej KCOR, muszę w każdej chwili mieć z nim kontakt. Adam celowo powiedział mi, że od śmierci Marianny John znika na całe godziny, a nawet dni. John obiecał nie wyłączać telefonu, nie opuszczać Manhattanu i zabierać komórkę na swoje długie, nocne spacery.

- Wiedziałaś więc, że John pójdzie do Nancy, kiedy tylko do niego zadzwonisz.

- Tak. Żeby jednak mieć pewność, że Nancy dowie się prawdy o mężu od Johna, a nie od Rosalyn St. John, poleciłem obserwować jej dom. Poza tym zablokowaliśmy jej telefon.

- Pomyślałaś o wszystkim.

- Nie o wszystkim. - Lucas spochmurniał, ale na widok błękitnego, ufego spojrzenia zaraz się rozpozogodził. - Rzeczywiście, z dużym wyprzedzeniem zorganizowałem wszystko wokół Nancy. I dobrze, bo tamtej nocy, kiedy słuchałem Adama u Viveci, myślałem głównie o tobie. Wymyśliłem jeszcze parę rzeczy. Chcesz posłuchać?

- Coś jeszcze?

- Tak. Zastanawiałem się, co by się stało, gdybyś jako młoda dziewczyna była niezwykle atrakcyjna i miała nieprawdopodobną figurę lalki Barbie. A mimo to twoi koledzy i koleżanki, także Mark, dokuczaliby ci z tego powodu.

- No i co?

- Doszedłem do wniosku - powiedział Lucas miękko - że również wtedy nie wiedziałabyś, jaka jesteś piękna. Jaka seksowna. - Uśmiechnął się, widząc jej zmarszczone brwi. - Nadal tego nie wiesz. Musimy nad tym popracować, Galen. W łóżku. Myślę, że tamta noc była dobrym początkiem. Czułaś moje pożądanie, moją namiętność, prawda?

- Sądzisz, że jestem... seksowna?

- Galen! - Spojrzał na nią z zachwytem. - Ja to wiem.

- Mówiłaś coś o pożądaniu?

- Tak. O pożądaniu. O namiętności. Wskutek okrucieństwa ludzi, a nie z powodu niewinnych lalek, nabrałaś fałszywych przekonań. Będę szczęśliwy, mogąc przez resztę życia udowodniać ci, jak bardzo były fałszywe. Jak by ci się to podobało?

- Ogromnie - szepnęła. - Ogromnie by mi się podobało.

- No to załatwione. - Lucas spoważniał. - Byłem już w drodze do domu, kiedy wyczułem Brandona. Zanim jeszcze wszedłem do mieszkania, widziałem, co ci zrobił.

- Widziałaś to?



- Widziałem śnieżnego anioła, krwawiącego, okrutnie poranionego nożem. - Przypomniał sobie, jak gnał po lodzie niczym wichur. Ani razu się nie potknął ani nie upadł. Łód, który okazał się zgubny dla mordercy, jemu nie przeszkodził. - Kocham cię, Galen. Kocham i pożądam. Musisz zawsze pamiętać, że nawet gdybym już nigdy miał cię nie dotknąć, chcę resztę życia spędzić z tobą. Kochając cię.

Nareszcie. W jej błękitnych oczach dojrzał obietnicę wiosny... A w jego źrenicach, uwolnionych od mroku i bólu, Galen odnalazła prawdę.

- Ale my możemy się dotykać - szepnęła.

- Och, tak. Możemy.

## 25

Galen spała, śniła i wracała do zdrowia. Budziła się, rozmawiała z ukochanym mężczyzną i znowu zapadała w sen. „Kiedy się pobierzemy?” -pytała. „Wkrótce”, obiecywał. Kiedy tylko zechce i jak zechce. Nawet dzisiaj. W szpitalu. A jeśli marzy o uroczystym, tradycyjnym ślubie, to też będzie go miała. Może sama uszyć suknię ślubną dla siebie, suknię dla drużny Julii, a także - sugerował - dla matki panny młodej.

Coś tradycyjnego. Jak brylant w pierścionku od Tiffany'ego, który dostała trzeciego dnia po operacji - pięknie rżnięty, nieskazitelny, w klasycznej złotej oprawie. Jego uroda zapierała dech w piersiach. Był jak przejrzysty odprysk lodowca, jak ogień zaklęty w lód. Jak Lucas. Jej przyszły mąż.

- Co ja będę robić? - zastanawiała się pewnego ranka.

- Robić?

- Kiedy już się pobierzemy - wyjaśniła rozmarzona - i zostanę twoją żoną.

- Co tylko zechcesz. Mogłabyś, na przykład, zostać światowej sławy projektantką mody. Bez problemu.

Mimo że powiedział to serdecznie, z czułością i dumą, jej rozmarzenie zniknęło. Tego się zresztą spodziewał. Jego utalentowana krawcowa marzyła tylko o szyciu dla tych, których kochała - dla Winnie, matki i lalek przeznaczonych dla małych, chorych dziewczynek. Owszem, uszyje sukienki na swój ślub i przyjęcie weselne, na cudowną, pełną miłości uroczystość, tak jak uszyła obszerny turkusowy płaszcz - w ulubionym kolorze Winnie -żeby pasował do rękawiczek, które dostała od niej w prezencie.

- Chciałbyś, żebym tym się zajmowała?

- Nie.

- Więc czym?

- Chcesz usłyszeć egoistyczną, maską odpowiedź?

- Tak - mruknęła Galen, a jej błękitne oczy znowu zasnuło rozmarzenie. W ustach tego mężczyzny słowo „męski” nabierało podtekstu erotycznego i było, przynajmniej z jej punktu widzenia, zupełnie pozbawione egoizmu.

Jego odpowiedź rzeczywiście nie była egoistyczna. Lucas wiedział, czego ona pragnie.

- Chciałbym, żebyś była w domu.

- W apartamencie.

- Chyba że wolisz się stamtąd wyprowadzić. Może rzeczywiście powinniśmy to zrobić z uwagi na to, co się tam wydarzyło.

- To, co się tam wydarzyło, to przede wszystkim nasza miłość. To twój dom, Lucasie. Chcę tam zamieszkać i robić wszystko, co chciałbyś, żebym robiła. Czyli?

- Żebyś zajmowała się domem, ogrodem, szyciem i dziećmi.

- Naszymi dziećmi?

- Jeśli chcesz.

- Och, tak - szepnęła - chcę. Naszymi dziećmi. I tobą. Ucałował jej oczy, nos i miękkie wygięcie warg.

- Będziesz miała wszystko, czego zapragniesz, Galen. A przede wszystkim mnie. Aż do przesytu.

- Dobrego nigdy za wiele.

- Mam nadzieję. Tym bardziej że jeszcze nie wiem czym się zajmę. Może wraz ze śmiercią Brandona utraciłem dar wyczuwania zła? Może przez te wszystkie lata, nawiedzał mnie duch Jenny, który teraz wreszcie zazna spokoju.

- Duch Jenny - powtórzyła Galen - albo twoja własna dusza.

- Tak. Pewnie moja własna dusza.

Tak czy inaczej, czuł teraz lekkość w sercu. Mrok zniknął, rozbiły światło. Może za sprawą Galen, może dzięki miłości. Każdą wolną chwilę spędzał przy łóżku chorej. Obserwował jej spokojny sen, a gdy się budziła, szeptał jej słowa miłości.

Galen wyrzucała go ze szpitala. Miał mnóstwo papierkowej roboty w związku ze sprawą Brandona Christiansona i Adama Vaughna. Gdy śledztwo zostanie zamknięte, Lucas Hunter będzie miał wreszcie czas dla siebie. Zabraniała mu ślęczyć po nocach.

Sen był mu potrzebny. Czy on w ogóle spał od czasu burzy śnieżnej? Przekonywała, że ona i lalka rzadko przebywają same i nigdy się nie nudzą.

Galen codziennie rozmawiała przez telefon z Julią, a przez jej pokój przewijał się korowód odwiedzających. Wielu przychodziło, by prosić o wybaczenie.

Pierwsza pojawiła się Viveca - odmieniona, skruszona, przepraszająca. Miała nadzieję, że pewnego dnia Galen i Lucas będą w stanie jej wybaczyć. Wierzyła swojemu kuzynowi. Wierzyła we wszystkie jego kłamstwa. Popęłniła kilka kardynalnych błędów, choćby ten pożalowania godny incydent w college'u. Galen nie chciała o tym słuchać.

- Cokolwiek się wtedy stało, to już przeszłość - powiedziała. - Brandon także należy do przeszłości. On był psychopatą, Viveco. Nie mogłaś tego wiedzieć.

Przyszedł też Paul. Również czuł się winny; przede wszystkim - przepraszal, że tak ją dawniej niegrzecznie traktował.

- Ja to rozumiem - odparła Galen. - Byłeś w złej formie. Śmierć Marianny, a wkrótce Moniki i Kay. Spójrzmy zresztą prawdzie w oczy: miałeś rację we wszystkim, co o mnie mówiłeś.

- To było niewybaczalne.

- Wybaczalne. I wybaczone.

Paul żałował, że zdradził sekret Wally'ego. To on zwrócił uwagę Lucasa na fotografię fałszywej rodziny, jakby wierzył, że Wally może być zabójcą.

- Musiałeś o tym powiedzieć - stwierdziła Galen. - Niezależnie od tego, co naprawdę czułeś. A gdyby tak Wally okazał się winny? Powiedziałeś mu, co zrobisz?

- Tak.

- I co?

- Powiedział, że odczuwa ulgę, bo nie musi już niczego udawać.

- A dlaczego udawał?

- Tak było łatwiej. Zaczęło się od kupna nowego portfela. Zanim usunął z niego to zdjęcie, ktoś je zauważył i wyraził się z uznaniem o jego „rodzinie”. I o nim. Po raz pierwszy w jego życiu. Teraz Wally musi uporać się z kilkoma problemami. Ma zamiar to zrobić. Odwiedzi cię, jak tylko wydobrzeje po grypie.

Paul nie mógł sobie darować, że mimochodem wspomniał w obecności Kay, iż Monika i Lucas lecieli razem z Denver. Na tej podstawie Kay błędnie wywnioskowała, że byli kochankami, i umieściła imię Moniki na długiej liście, z której skorzystał potem Adam.

- To nie twoja wina - dowodziła Galen. - Kay miała zaburzenia emocjonalne, a Adam był psychopatą. Skąd mogłeś wiedzieć?

Następnego dnia Paul znów przyszedł. Przyniósł podarunek świadczący o tym, jakim świetnym był fotografikiem. Wykonał portret Galen z klatki filmu kręconego tamtej niedzieli o świcie przed szpitalem, już po uwolnieniu małych zakładniczek. Lucas pojechał wtedy na oględziny zmasakrowanych zwłok doktor Brynne, a Galen postanowiła, że pokaże się na wizji w swoim turkusowym płaszczu i mitenkach. Paul, artysta, miał oczywiście rację. Na kolorowej fotografii jej blada twarz praktycznie zniknęła między turkusowym obramowaniem płaszcza i płomienną aureolą włosów. Natomiast na odbitce czarno-białej rysowała się wyraziście. Była to twarz kobiety bez pamięci zakochanej.

Lekarze bezustannie wchodzili i wychodzili z jej pokoju. Doktor Diana Sterling i inni. Osłuchiwali ją, badali serce i płuca. Zaglądali pod opasujące pierś bandaże. Zapewniali, że wszystko goi się dobrze. Bardzo dobrze. Albo Galen miała najsilniejszy organizm na świecie, albo jej obrażenia nie były tak poważne, jak na początku sądzili.

Czasem odczuwała palący ból. Uważała, że może mieć coś wspólnego ze wspomnieniem ciepłego syropu, wylewanego na jej piersi w tamtym dziwnym śnie. Czy był to tylko sen? Może Brandon rzeczywiście oblał ją jakimś gorącym płynem. Oparzone miejsca goją się, powodując czasem ból?

Tak być właśnie musiało, doszła do wniosku. Bo choć nabierała sił i nigdy o nic nie pytała, z wyjątkiem tego, kiedy wyjdzie do domu, doktor Diana Sterling przyszła porozmawiać z nią o obrażeniach.

Była to poważna rozmowa. Lekarka wyraźnie mówiła o ranach na obu piersiach... Galen nigdy ich nie widziała. Mogła co prawda spojrzeć w czasie zmian opatrunków, lecz zawsze wtedy leżała na plecach z zamkniętymi oczami. Czekwała, aż znów okryją jej nagość. Mogła sama zerknąć pod opatrunek, ale tego nie zrobiła. W czasie rozmowy z doktor Sterling kiwała głową, jakby dobrze wiedziała, o czym mówią. Lekarka powiedziała jej wszystko

O gojeniu się ran, o ziarninie tworzącej blizny i najnowocześniejszych technikach poprawiania ich wyglądu. Galen powtarzała sobie, że wkrótce dokładnie obejrzy swoje rany, ale ciągle z tym zwlekała.

Wreszcie nadeszła ta chwila. Następnego dnia Galen miała iść do domu z mężczyzną, którego kochała. Wieczorem Lucas dotknął wargami jej ust i wymówił cicho tylko jedno słowo-obietnicę: „Jutro”. Galen miała opuścić szpital w południe. Rano pielęgniarki pomogą jej umyć włosy i wziąć prysznic, tak aby tylko delikatna mgiełka opadła na piersi, gdzie rany prawie, ale jeszcze nie całkiem się zagoiły. Potem ubierze się w dżinsy i golf, które dostarczył Lucas, narzuci turkusowy płaszcz i...

Była dziewiąta wieczór. O tej porze Galen zwykle już spała. Ale w przeddzień powrotu do domu była zbyt szczęśliwa, podniecona i... ciekawa. Postanowiła zobaczyć to, co podobno tak dobrze się goiło. Jutro będzie spała z Lucasem w pastelowym łożu. Jego łóżko ma czekać na nich aż do nocy poślubnej. Na razie nie mogą się jeszcze kochać. Ale Lucas przytuli ją, będą się pieścić. Musiała wiedzieć, których miejsc pod bandażem nie należy dotykać.

W łazience przylegającej do pokoju wisi nad umywalką lustro. Lśniło srebrzyście jak oczy Lucasa, jedyne zwierciadła, w jakich chciała się przeglądać. Tak jej się w każdym razie wydawało.

Obejrzała najpierw miejsce, w którym ciągle odczuwała ból przy oddychaniu. Zobaczyła żółto-niebiesko-czarne wybroczyny na skórze, naturalne barwy znikających powoli sińców. Mały, okrągły ślad znaczył miejsce, z którego wcześniej wystawała rurka. Druga, znacznie większa blizna pozostała po interwencji chirurgów szukających uszkodzonej arterii głęboko w klatce piersiowej. Mimo że bardzo się spieszyli, sierpowaty, opasujący żebra szew był bardzo dyskretny.

Siniak i dwie nieduże blizny. To zniknie za jakiś czas.

A inne rany? Te, o których z taką powagą mówiła Diana Sterling. Lucas je widział, gdy ją ratował. Nie czuła bólu, gdy je zadawano, tylko uczucie ciepła.

Nie czuła bólu.

Wtedy.

Teraz, na widok tego, co ukrywał biały bandaż, przeszył ją ból nie do wytrzymania. To nie były ślady po oparzeniu, lecz dzieło szaleńca opętanego zemstą i wściekłością. Przypadkowe ciosy nożem, zadawane dłonią, która chciała torturować i zabić.

W łazience rozległ się krzyk i rozzdzierający jęk. Zakochanej kobiecie pękło serce.

## 26

- Witaj - odparł cicho Lucas.

Była dziesiąta rano. Śnieżnobiały zegar na kominku właśnie wydzwaniał swoje kuranty w zgodnym chórze z lawendowym telefonem. Lucas usłyszał dopiero końcówkę tego radosnego duetu, bo odkurzał. Wyłączył odkurzacz, zadowolony z rezultatów swej pracy. Nowy kawałek dywanu, wstawiony na miejsce splamionego krwią, w ogóle się nie wyróżniał. Z kwaciarni mieli dostarczyć wielki wiosenny bukiet o dziesiątej trzydzieści. Lucas umówił się poprzedniego dnia z Galen, że

przyjedzie po nią w samo południe. Postanowili, że tego dnia rezygnują z codziennej porannej pogawędki przez telefon. Tymczasem Galen zadzwoniła.

- Przyjechać po ciebie już teraz?

- Nie. Nie dzwonię ze szpitala.

Lucas Hunter nie wiedział jeszcze, czy jego zdolność wyczuwania zła umarła wraz z Brandonem. Ale w tym momencie mróz ściął całe jego ciało i wypełnił je grozą bardziej złowrobną niż wszystko, czego doświadczał do tej pory. Lucas przekonał się, że ciągle potrafi wyczuwać śmierć.

Śmierć swych marzeń.

- Gdzie jesteś, Galen?

- W drodze do Kansas.

- Galen...

- Dziewiąty maja.

- Co?

- Data naszego ślubu, jeśli nie masz nic przeciwko temu. W tym roku wypada w niedzielę. Jest to dzień, kiedy opuściłam Kansas. Powinien stać się początkiem naszego wspólnego życia. Potrzebuję czasu, Lucas. Naprawdę. Chcę uszyć ślubną suknię i suknię dla Julii. Muszę też spotkać się z matką. Może zaproszę ją na ślub i tak jak mówiłeś, uszyję dla niej suknię. Myślałam o liście gości. Lawrence, oczywiście. John, Nancy i...

- Galen!

- Chciałabym, żeby ślub odbył się na tarasie przy fontannie, jeśli to możliwe. To jeszcze jeden powód, żeby poczekać do maja. Aha! Kwiaty. Rozmawiałam już z pewnym hodowcą z Bronxville i zamówiłam mnóstwo miniaturowych tulipanów, hiacyntów i żonkili. Białych, różowych i fioletowych. Wszystkie w tych kolorach. Nawet żonkile.

Wiem, pomyślał Lucas. Mogłabyś dostać te kwiaty już dziś. Zamówiłem bukiet dla panny młodej. Moglibyśmy się pobrać jeszcze dziś.

- Kiedy chcesz je zasadzić?

- Jak wrócę. Za miesiąc. Hodowca powiedział, że lepiej poczekać z tym, aż skończą się przymrozki.

- Galen, powiedz mi, o co chodzi. Błagam.

Usłyszał, jak głęboko westchnęła, i pomyślał, że sprawiło jej to ból.

- Potrzebuję czasu, Lucas. Nie po to, żeby zdecydować, czy cię Kocham ani czy wyjść za ciebie. Kocham cię całym sercem. Ale muszę wydobrzeć... pod każdym względem. Wracam do Kansas. Spotkam się z matką.

- Czy jest jakiś powód, dla którego jedziesz sama? Dlaczego nie mogę ci towarzyszyć?

Tak. Jest taki powód.

- Po prostu muszę samodzielnie się z tym uporać.

- Czy jest coś, czego mi nie powiedziałaś? Tak. Wszystko.

- Nie, nie. Lucas, nie zamartwiaj się. Wszystko będzie dobrze. Błagam. Wybacz mi. Będę dzwoniła codziennie wieczorem. Jeśli chcesz.

- Chcę. Codziennie. A jeśli zechcesz mnie zobaczyć, natychmiast przyjadę.

- Wiem.

- Gdzie teraz jesteś?

- W drodze do Kansas.

- W samolocie?

- Nie. Lekarze zabronili mi podróży samolotem.

- Więc w pociągu?

- Tak. Będę podróżował pociągami. Bardzo powoli. Zaledwie kilka godzin dziennie. Noce spędzę w hotelach. Powiedziałam Julii, że pojawię się najwcześniej za tydzień.

- Pozwól mi być przy sobie, Galen, i opiekować się tobą.

- Nie bój się mnie. Świetnie się czuję. To długa, ale spokojna podróż. Wszystko sobie przemyślę, zanim stanę twarzą w twarz z przeszłością.

- Coś za tym się kryje.

- Lucas, zaufaj mi. Uwierz we mnie.

- Wierzę, Galen. Ale już za tobą tęsknię.

- Ja za tobą też. Myślę o dniu, gdy znów się spotkamy.

Obiecała dzwonić każdego wieczoru. Dotrzymała słowa. Zatelefonowała jeszcze tego samego dnia i nazajutrz.

Rozmawiali godzinami. O tym, jak ona się czuje, o ponownym spotkaniu, o rodzinie. Pytała go o przyrodnych braci, prawowitych synów księcia, których Lucas nigdy nie poznał. „Ty - powiedział jej - jesteś wszystkim, czego potrzebuję. Tylko ty”. Następnego dnia już się nie odezwała.

Jego świat znowu się zawalił. Wszystko wokół pociemniało. Ale porucznik Lucas Hunter postanowił odszukać Galen, korzystając z legalnych policyjnych sposobów. Sprawdził rozmowy z telefonu przy jej szpitalnym łóżku: do Julii, do niego; ostatni w dniu, kiedy opuściła szpital - do ogrodnika w Bronxville, który potwierdził, że złożyła zamówienie. To wszystko.

Rozmawiał też z Dianą. Podczas porannego obchodu Galen była już ubrana. Tak bardzo chciała wyjść do domu i tak jej na tym zależało, że ordynator Sterling z miejsca ją wypisała. Z kolei od urzędniczki z administracji szpitalnej dowiedział się, że Galen zostawiła czek na kwotę pokrywającą cały pobyt w szpitalu. Przeraził się. Dlaczego to zrobiła? Ponieważ - wyjaśniła kobieta, powtarzając słowa Galen - z czasów pracy w telewizji Gavel-to-Gavel, gdy nieustannie zmieniała hotele, pozostał jej nawyk regulowania od ręki wszystkich rachunków. Wyglądała dobrze. Była pogodna. Wydawała się wyższa niż w telewizji, delikatniejsza i bledsza. I taka ładna.

Lucas poszedł do „Ofelii”. Galen użyła tam karty kredytowej godzinę po zapłaceniu rachunku za szpital. Kierowniczką butików dobrze zapamiętała klientkę o twarzy rozświetlonej radością. Szukała satynowej bielizny na noc poślubną, haftowanej w róże. Nie było jednak jej rozmiaru, więc złożyła specjalne zamówienie. Bielizna będzie do odebrania na długo przed dziewiątym maja. Zamówiła także, za namową sprzedawczynie, bieliznę pościelową z białej, haftowanej wróże satyny. Róże na śniegu. „Będzie z niej przepiękna panna młoda”, orzekła kierowniczka. „Te płomienne włosy i nieskazitelna, jasna cera”.

Na końcu Lucas poszedł do banku. Tam ślad się urywał. Galen wyjęła sporo gotówki, ale nie zlikwidowała konta. Skorzystała też z telefonu. Rozmawiała z prywatnego biura, które chętnie udostępniło znanej, odważnej dziennikarce. Była to rozmowa miejscowa, równo o dziesiątej. Z nim.

To wszystko. Żadnych rozmów na kartę telefoniczną, żadnych zakupów na kartę kredytową, żadnych czeków. Bez względu na to, czy opuściła Nowy Jork pociągiem czy samolotem, za bilet zapłaciła gotówką.

- Przykro mi - powiedziała Julia, kiedy Lucas do niej zadzwonił. - Nie miałam od niej żadnych wieści, odkąd zatelefonowała, że przyjeżdża mniej więcej za tydzień. Nie liczyłam, że się jeszcze odezwie. Mówiła, że potrzebuje czasu i musi pomyśleć.

- Powiedziała coś jeszcze?

- Tak. Że kocha pana całym sercem. To takie dobre i oddane serce.

- Wiem - wyszeptał Lucas. - Wiem.

Minął jeszcze jeden dzień i jeszcze jedna noc. I nic. Tylko pustka. Tylko strach.



Lukas wpatrywał się właśnie w numer Bess Chandler i zastanawiał, czy go wykręcić, kiedy zadzwonił biały telefon. Zaraz potem rozległ się dzwonek domofonu.

- Tu Diana - odezwała się lekarka dwadzieścia dwa piętra niżej. - Mam wiadomości o Galen. Mogłabym...

Blokada drzwi już została zwolniona.

## 27

-Gdzie ona jest? - W Bostonie. W jednym z najlepszych na świecie szpitali. Dwa dni temu przeszła dodatkową operację i jeszcze się nie obudziła.

- Natychmiast tam jadę.

- Wiem. Zarezerwowałam ci miejsce w samolocie z La Guardia o pierwszej piętnaście. Na dole czeka taksówka, którą przyjechałam. Masz więc trochę czasu. Możesz wysłuchać co mam do powiedzenia, i zadać pytania. Może potrafię ci odpowiedzieć. Nic nie stanie się przez to prostsze i łatwiejsze, ale przynajmniej będziesz wiedział, czego się spodziewać.

- Masz rację. Dziękuję. Mów, co wiesz. Proszę.

- Zacznę od najważniejszego. W tej chwili stan Galen jest stabilny. Oddycha samodzielnie, wszystkie funkcje życiowe są w normie. Wydaje się, że ona po prostu śpi. Ale to coś głębszego niż sen. - Spokojnym gestem dłoni Diana powstrzymała pytanie, które chciał zadać Lucas, i zaraz udzieliła mu na nie odpowiedzi. - Galen została gruntownie przebadana neurologicznie przez najlepszych z najlepszych. Nic nie wskazuje na jakiegokolwiek uszkodzenie mózgu. Po prostu nie wybudziła się z narkozy. Można jednak oczekiwać, że nastąpi to w każdej chwili, zanim jeszcze dotrzesz do Bostonu.

Boston. Co ona tam robi? Z Nowego Jorku do Kansas przez Boston? A może...

- Miała wypadek?

- Nie było żadnego wypadku. Ani przypadku. Zaplanowała tą operacją, bez mojej wiedzy, ostatniej nocy w szpitalu. Wtedy po raz pierwszy zobaczyła rany od noża i zdała sobie sprawę, co Brandon jej zrobił.

- Ale...

- Wiem. Wszyscy zakładaliśmy, że Galen wie, jakich doznała obrażeń, i pamięta wszystko, co działo się tamtej nocy.
- Bo pamięta. Jest absolutnie pewna, że nie straciła przytomności. Ja ją przecież widziałem tuż po tym, jak Brandon przestał kaleczyć jej ciało. Była oszołomiona, ale świadoma. Ona wiedziała, co się stało.
- I tak, i nie. To, co robił Brandon, odczuwała jako rozlewające się ciepło. Mówiła mi, że nie bolało. Doszła do wniosku, że to wspomnienie, choć takie realne, musiało być błędne. Rozmawialiśmy o tym. Nawet wtedy nie zdawała sobie sprawy, że Brandon użył noża. Myślała, że ją poparzył. Nie odczuwała bólu, więc uznała, że oparzenia nie są poważne. Albo też - zasugerowała Diana cicho - w głębi duszy wiedziała, co się stało. Tak czy inaczej, kiedy wreszcie zobaczyła, co zrobił Brandon, poprosiła operatora sieci pagerów o kontakt z dyżurnym lekarzem na oddziale chirurgii plastycznej. Tak się złożyło, że lekarz, który się zgłosił, odbywał praktykę w bostońskim szpitalu. Opowiedział jej o obiecującej, lecz wciąż jeszcze eksperymentalnej metodzie wypróbowywanej w tamtejszym centrum medycznym.
- Eksperymentalnej metodzie... - szepnął Lucas.
- Eksperymenty są podstawą badań, wiesz przecież. Od nich zależy postęp nie tylko w medycynie. Rozpoczęcie fazy prób klinicznych poprzedza się wyczerpującymi i długotrwałymi badaniami.
- Jakimi badaniami, Diano? Jakim eksperymentom zamierzają poddać moją Galen?
- Powiedziałam Galen, że zgodnie z tradycyjnym podejściem do leczenia wszelkiego rodzaju blizn, należy pozwolić się ranom zagoić, dojrzeć. Czasem nawet po bardzo poważnych obrażeniach zostają tylko nieznaczne ślady. Trzeba uzbroić się w cierpliwość i czekać. Całymi miesiącami. Nawet latami.
- Na czym polega eksperymentalna metoda? - zapytał Lucas bardzo cicho.
- Na jak najwcześniejszej interwencji, najlepiej przed upływem dziesięciu dni, w fazie najaktywniejszej reakcji tkanki na uszkodzenie. Przerosty tkanki zostają chirurgicznie usunięte, po czym nakłada się eksperymentalny preparat. Ma on ograniczać reakcję tkanki i jeśli działa prawidłowo, może nie dopuścić do tworzenia się blizn.
- O ile działa prawidłowo. A jeśli nie działa prawidłowo?
- W takich wypadkach mogą powstać blizny znacznie gorsze niż pierwotnie.
- I?
- Iz różnych względów nie dają się już zredukować tradycyjnymi metodami.
- Coś jeszcze?

- Z powodu uszkodzenia nerwów mogą stać się źródłem chronicznego bólu. Lucas zaklął cicho, z wściekłością. Diana nie dosłyszała słów. Wystarczył toń głosu.
  - Galen wiedziała, jakie ryzyko niesie ten zabieg. Mimo to się zdecydowała.
  - Bo pierwszy lepszy lekarz na dyżurze skierował ją do Bostonu?
  - Nie, jakkolwiek lekarz ten ma poważne kłopoty. Bo to ja byłam lekarzem prowadzącym, a on nigdy przedtem nie widział pacjentki. Bez konsultacji ze mną nie powinny zapaść żadne decyzje. Bez mojej wiedzy nie powinien z nią nawet rozmawiać. Tymczasem tamtej nocy, kilkakrotnie dzwonił do Bostonu i wszystko zorganizował. O niczym nie miałam pojęcia. Dopiero dzisiaj zagadnął mnie mimochodem, czy już coś wiem o Galen. Zakładał, że ona o wszystkim mnie informowała. Twierdził, że mu obiecała. Oczywiście, to go nie usprawiedliwia. Będę musiała wyciągnąć wobec niego konsekwencje.
  - Galen na pewno mu to obiecała - powiedział Lucas z goryczą. - Nie chciała jednak, żebyś się dowiedziała, a przede wszystkim, żebym ja się dowiedział.
  - Chciała ci zrobić niespodziankę. To oczywiste. Taką właśnie przyczynę swojej decyzji podała w rozmowie z psychiatrą przed operacją.
  - Z psychiatrą?
  - Tak. To ważna część postępowania przygotowawczego. Taką konsultację przeprowadza się nawet przed zwykłym zabiegiem kosmetycznym, a cóż dopiero przed eksperymentem z możliwością wystąpienia powikłań...
  - Krótko mówiąc, w programie nie powinny brać udziału osoby, które zgłosiły się z niewłaściwych powodów.
  - Właśnie. Ani takie, które mają nierealistyczne oczekiwania lub nie poradziłyby sobie w wypadku niepowodzenia.
  - A zatem psychiatra stwierdził, że narzeczony - egoista, który będzie się brzydził blizn - to wystarczający powód do przeprowadzenia operacji?
  - Nie. Galen nie wysunęła takiego argumentu. Ona wie, że ją kochasz. Z bliznami czy bez. I ona kocha ciebie. Po prostu nie chce, żeby Brandon był częścią waszego życia. Waszej miłości. Postanowiła pozbyć się wszystkiego, co by go wam przypominało.
- Diana się myli, pomyślał Lucas. To jemu Galen chciała oszczędzić bolesnych wspomnień.
- A jeśli zabieg się nie uda? Jeśli blizny będą potem jeszcze gorsze i już nic nie da się z nimi zrobić? Jeśli będzie cierpiała przez resztę życia? Czy psychiatra i o to ją zapytał?
  - Oczywiście. To najważniejsze pytanie. Powiedziała, że i tak się pobierzecie, bo wasza miłość jest silniejsza niż nienawiść Brandona.

- Psychiatra jej uwierzył?

- Bez zastrzeżeń.

Lucas zamknął oczy. To znaczy, pomyślał, że moja najdroższa stała się mistrzynią kłamstwa. Z mojego powodu. Dla mnie. Był pewien, że Galen nie wróci do niego, jeśli eksperyment się nie powiedzie. Nie pozwoli mu przez resztę życia patrzeć na to, do czego dopuścił.

- Lucas?

- Tak?

Otworzył oczy i Diana ujrzała w nich czarną otchłań.

- Ona obudzi się z narkozy. Zobaczysz. Wiem, że nie dbasz o to, co zaraz usłyszysz. Dowiedz się jednak, że w przypadku Galen reakcja na zabieg i preparat jest najlepsza ze wszystkich, jaką dotąd lekarze obserwowali. Galen nie wahała się przed operacją. Wierzyła w powodzenie. Wygląda na to, że miała rację.

Operacja się udała, pacjent zmarł.

Diana bezbłędnie odczytała jego myśl i zręcznie skierowała rozmowę na inne tory.

- Zastanawiasz się pewnie, czemu postępuję nieetycznie i zdradzam szczegóły wywiadu psychiatrycznego. Działam z upoważnienia Bess Chandler.

- Matki Galen.

- Tak. Galen wskazała ją jako swoją najbliższą krewną.

- Matkę - szepnął Lucas - nie mnie.

- Formalnie nie jesteś jeszcze jej krewnym, a poza tym pamiętaj, że chciała ci zrobić niespodziankę.

Nie, nie chciała! - krzychało coś w sercu Lucasa. Gdyby operacja się nie udała, Galen zniknęłaby na zawsze.

- Bess Chandler przyjechała do Bostonu dziś rano. Uczestniczyła w konferencji w Kansas City i dopiero wczoraj wieczorem odebrała wiadomość zostawioną przez bostońskich lekarzy. Ledwie pojawiła się w szpitalu, zapytała o ciebie. Uważała, że niezależnie od tego, co mówiła Galen przed operacją, powinieneś zostać o wszystkim powiadomiony.

- Galen chyba z nią wcześniej rozmawiała i opowiadała o mnie.

- Nie. Wygląda na to, że nie kontaktowały się od lat. Odniosłam jednak wrażenie, że matka śledziła karierę córki od dawna. Zbierała o niej informacje na długo przed tym, jak zaczęła się sprawa z zabójcą kobiet. Poza tym, o szczęśliwym zakończeniu tej historii, czyli o waszych zaręczynach, informowały wszystkie media. Lekarze w Bostonie zastanawiali się właśnie, jak cię powiadomić,

kiedy do nich zadzwoniłam. Za zgodą Bess Chandler opowiedzieli mi o wszystkim i prosili, żebym przekazała te informacje tobie.

Właśnie to uczyniła. Mimo że Lucas się niecierpliwił, bo chciał jak naj -szybciej wyruszyć w drogę do tej, którą kochał ponad wszystko, zapytała jeszcze:

- Chciałbyś dowiedzieć się czegoś więcej?

- Nie. - Dlaczego, Galen? Dlaczego? Przecież znał odpowiedź: Galen tak bardzo go kochała. Za bardzo. Nadmierna skłonność, jak sam tego kiedyś doświadczył, pijąc za dużo, może stać się niszcząca. - Dziękuję, Diano.

- Tyle przynajmniej mogłam zrobić. Spapraliśmy sprawę. Etycznie.

- Ty nie dopuściłabyś do tej operacji, prawda?

- Nie - przyznała Diana - chociaż Galen była idealną kandydatką do tego zabiegu. Zarówno ze względów medycznych jak i psychicznych. Uważałam jednak, że waszego związku nie zniszczą żadne blizny. Po co więc ryzykować?

Na dole czekała taksówka. Było dość czasu, by podrzucić Dianę do Szpitala Memoriał, ale lekarka odmówiła. Wolała się przejść. Chciała się spokojnie zastanowić, jak rozwiązać sprawę niesubordynowanego lekarza dyżurnego z oddziału chirurgii plastycznej. Pomaszerowała więc pieszo w odświeżającym, przejrzystym chłodzie zimowego dnia, Lucas zaś wsiadł do taksówki, która ruszyła na lotnisko La Guardia. Po drodze polecił zmienić trasę i podjechać pod teatr, w którym trwały próby sztuki o pewnej rodzinie. Poprosił, by kierowca zaczekał, sam natomiast wszedł do środka.

Na widowni było zupełnie ciemno, tylko scenę oświetlał pojedynczy reflektor. Ale Lucas Hunter widział w ciemności. To był jego talent, jego przekleństwo. Tego lutowego dnia dar ten stał się udziałem także Lawren-ce'a Kincaida, który zobaczył na twarzy Lucasa identyczny wyraz, jak dawno temu w Bellemeade, gdy mały chłopiec drżącymi rękami wykrzyczał językiem migowym: „Jenny nas potrzebuje. Pospiesz się. Błagam”.

Żaden z nich się nie odezwał. Słowa nie były potrzebne. Ani znaki. Lucas odwrócił się i skierował do wyjścia. Lawrence bez wahania podążył za nim -tak samo jak przed laty w tamtą noc, po której już nic nie było takie samo.

- On bardzo ją kocha - powiedziała Bess Chandler do Lawrence'a. Podczas podróży do Bostonu Lucas opowiedział Lawrence'owi, co zaszło kiedyś między matką i córką. Była to gorzka opowieść, przesycona jego własnymi emocjami i poczuciem krzywdy.

Na tej podstawie pisarz stworzył sobie dość wyraźny wizerunek kobiety o imieniu Bess. Nie miał wprawdzie pojęcia, jak ona wygląda, lecz sądził, że wie, jakim jest typem człowieka: próżna, zajęta głównie sobą, neurotyczna i chyba nieświadoma krzywdy, jaką wyrządziła swemu dziecku. A jeśli świadoma, to nieodczuwająca wyrzutów sumienia ani wstydu.

Szybko zrewidował swoje wyobrażenia, gdy wszedł za Lucasem do szpitalnego pokoju, gdzie leżała Galen, Bess siedziała przy łóżku córki, trzymając ją za rękę, i z rozpaczą wpatrywała się w jej nieobecną twarz.

Na widok Lucasa natychmiast ustąpiła mu miejsca. Z wdzięcznością, ulgą i bez słowa. Stanęła w drzwiach, a po chwili, jakby przekonana, że nie ma prawa im przeszkadzać, wycofała się do poczekalni.

Tam znalazł ją Lawrence. Wyglądała przez okno, zatopiona w myślach i nieświadoma jego obecności. Nie mógł oderwać od niej wzroku, zdumiony i zaskoczony jej wyglądem. Bess miała niewiele ponad pięćdziesiąt lat. Była od niego nieco młodsza. Wyglądała tak, jak dzisiaj często wyglądają kobiety pięćdziesięcioletnie: szczupła, wysportowana, gotowa przeżyć następne pięćdziesiąt lat. Miała prostą, łatwą do utrzymania fryzurę, włosy krótkie, srebrne, gdzieniegdzie przetykane naturalnymi, ognistymi pasemkami, oczy błękitne, z wachlarzykami delikatnych zmarszczek powstałych wskutek śmiechu, lecz teraz nadających twarzy wyraz głębokiego zatroskania. Lawrence'owi wydawało się, że słyszy jej śmiech i widzi roześmiane usta. W krótkim przebłyску rozpoznał kim Bess Chandler jest naprawdę.

Zobaczył, jak wędruje przez las z niewielkim oddziałem harcerek, jak przystaje po drodze, by pokazać im dziwy tego świata, jak uczy je rozbijać namiot i rozpalać ognisko, jak piecze z nimi kiełbaski nad buzującym wesoło ogniem i długo w noc snuje fascynujące opowieści. Dziewczynki słuchają z otwartymi buziami i wypiekami na policzkach, bo są to przepiękne opowieści. Baśnie. Harcerki poszłyby za nią na koniec świata. Jest opiekuńcza i silna. Kwoka otoczona ciekawskimi, ruchliwymi kurczętami. Lawrence dojrzał jej prawdziwą naturę: Bess Chandler była matką. Poniosła klęskę, gdyż utraciła jedyne kurczątko, które naprawdę do niej należało.

Teraz, kiedy wspomniła o miłości Lucasa do jej dziecka, Lawrence uzmysłowił sobie, że żyła w bezbrzeżnym smutku, z poczuciem niepowetowanej straty. Jednocześnie przypomniały mu się słowa Lucasa: „Galen chciała się zobaczyć z matką”. Musiała się z nią spotkać. Był to przemożny zew miłości.

- Tak - odparł Lawrence z powagą. - Lucas kocha Galen. Tak jak jej matka.

- Kocham ją - szepnęła Bess - ale ona o tym nie wie.

- Myślę, że wie. Planowała, że po operacji pojedzie do Kansas. Do domu.

W błękitnych oczach pojawiła się nadzieja.

- Naprawdę?

- Tak, jestem pewny. Mimo okoliczności, w jakich opuściła dom, mimo tego, co się wydarzyło z Markiem, Galen pamiętała lepsze czasy, kiedy byliście dla siebie całym światem.

Bess zadziwiły jego słowa. Skąd on to wiedział. Istny czarodziej.

- Z Markiem?

- Galen opowiedziała o wszystkim Lucasowi. A on mnie. Nadzieja w jej oczach przygasła, ale Bess nie spuszczała z Lawrence'a

wzroku.

- Czy Mark... dotykał jej? Przed tamtą nocą?

- Nie. Nie robił tego. Patrzył tylko. Gapił się i komentował jej wygląd. Upokarzał ją i krzywdził. Nic więcej.

- Nic więcej... - Ulga w głosie Bess zmieszała się z goryczą. - Wystarczy. I ja do tego dopuściłam! W moim własnym domu. Moim i Galen, bo nie Marka. - Odpowiadając na pytające spojrzenie Lawrence'a, dodała: - Nic o tym nie wiedziałam. Zaczęłam coś podejrzewać dopiero tamtej nocy, kiedy Mark przedstawił swoją wersję wydarzeń. Był taki skruszony i czuły. Tak mu zależało, żebym znała prawdę. Jego prawdę.

- Dała się pani przekonać?

- Nie. Ale zajęło mi trochę czasu, zanim zrozumiałam, co właściwie do mnie mówił. Byłam zdumiona i zraniona tym, co zastałam. Kiedy w końcu dotarło do mnie, kim ten człowiek naprawdę jest, było już za późno. - Błękitne oczy pociemniały. - Jak mogłam być taka ślepa?

„Ślepa”. Lawrence także był ślepy przez długie miesiące po śmierci Jenny i pozwolił, by Lucas zniknął z jego życia.

- Niekiedy wszyscy bywamy ślepi. Zdarza się.

Ona jednak nie oczekiwała zrozumienia ani współczucia, podobnie jak Lawrence nie oczekiwał współczucia od Lucasa.

- Zdarza się, jeśli pozwolimy, żeby się zdarzyło. A ja pozwoliłam.

- Coś w tym człowieku, to znaczy w Marku, było takiego, że oślepiła pani na wszystko inne. Czy to miłość?

- Miłość? - zastanowiła się Bess. - Nie. Choć tak mi się dawniej wydawało. W rzeczywistości był we mnie jakiś egocentryzm, nawet egoizm. - Potrząsnęła głową. - Wiodłyśmy szczęśliwe życie we dwójkę. Dwie dziewczynki, Galen i ja. A jednak czegoś mi brakowało. Brakowało mi - dodała cicho - mężczyzny.

- Mogła pani spotkać porządnego człowieka, Bess. Mogliście tworzyć we troje szczęśliwą rodzinę. Mogło ułożyć się lepiej.

- Ale się nie ułożyło. - Zmarszczyła brwi. - To znaczy, z początku było dobrze. Dopiero później...

- Tak?

- Galen odsunęła się ode mnie. Dawniej byliśmy sobie bliskie, z czasem stawałyśmy się obce. Nie wiedziałam dlaczego. Galen mówiła, że wszystko w porządku zaś, choć martwiłam się i nie byłam do końca o tym przekonana, nie domyślałam się prawdy. Doszłam do wniosku, że dzieje się z nami to, co często przytrafia się matkom i dorastającym córkom. Widocznie Galen potrzebuje dystansu i przestrzeni. Musi odsunąć się ode mnie, by odkryć własną, niezwiązaną ze mną tożsamość przyszłej kobiety. Przestałam się martwić, lecz było mi smutno. Brakowało mi mojej małej dziewczynki. Świącie wierzyłam, wygodniej mi było wierzyć, że to tylko problemy dojrzewającej nastolatki.

- Bo nic nie wskazywało, że mogło chodzić o coś innego.

- Dlatego że moja kochająca, oddana córka nie chciała, żebym się dowiedziała. Chroniła mnie, mimo ja nie potrafiłam jej ochronić.

- Kochała panią.

- Tak. A ja ją. Bardziej niż kogokolwiek na świecie. Tyle że ona o tym nie wiedziała. Nie umiałam jej tego okazać. Tamtej majowej nocy doszła do przekonania, że wybrałam Marka, że kochałam go bardziej niż ją. Nie wiem, kiedy jej miłość zmieniła się w gniew. Przegapiłam ten moment. Chociaż...

- Chociaż?

- Od pewnego czasu, mimo że nadal byliśmy sobie obce, Galen zmieniła się na lepsze. Wydawała się szczęśliwsza. Pytałam, gdzie chodzi po szkole i wieczorami. Odpowiadała, że do przyjaciół. Myślę, że nie kłamała. Chyba rzeczywiście miała jakichś przyjaciół.

- Miała - potwierdził Lawrence. Lucas opowiedział mu o Julii, Win-nie i Babuni. - Wspaniałych przyjaciół.

Bess uśmiechnęła się z ulgą. Jej córka, mimo że opuszczona przez własną matkę, nie była samotna. Uśmiech zniknął, kiedy znowu się odezwała.



- Nie wiedziałam, kim oni byli. Tamtej nocy, gdy wreszcie powiedziałam Markowi, żeby się wynosił i nigdy nie wracał, odkryłam, że Galen także opuściła dom. Prawie do rana krążyłam ulicami miasta, szukając jej. Następnego dnia nie pojawiła się w szkole. Znowu zaczęłam jej szukać, ale nie wiedziałam gdzie. Mimo to szukałam dalej, wypytywałam ludzi. Nikt jej nie widział. Zniknęła.

- Ale nie zapomniała pani o niej.

- Myślałam o niej każdego dnia przez wszystkie te lata. Nie mogłam zapomnieć wzroku, jakim mnie obrzuciła, nim wybiegła z kuchni. A ja stałam jak zamurowana i jej nie powstrzymałam. Nie zdawałam sobie sprawy, co właściwie zobaczyłam w jej oczach. Nigdy wcześniej tego nie widziałam. Teraz wiem, że był to straszny ból i złość. Na mnie. Za to, co jej zrobiłam, a raczej, na co pozwoliłam Markowi. Moja ukochana córka znienawidziła mnie, bo ją zdradziłam.

Po latach zguba się odnalazła. Galen odniosła wielki sukces jako reporterka telewizji Gavel-to-Gavel. Lawrence bez pytania wiedział, co czuła Bess - ulgę, dumę i wielką pokusę, by skontaktować się z córką. Ale oparła się tej pokusie z tych samych powodów, z jakich on całymi latami, z dumą, lecz tylko z daleka, obserwował karierę Lucasa. Uważał, że to egoizm prosić o wybaczenie tego, co niewybaczalne, i pojawiać się znienacka w życiu dziecka, które odeszło, przetrwało i świetnie radziło sobie samo. Teraz wiedział, że się mylił.

- Galen wybierała się do Kansas, Bess. Chciała się z tobą zobaczyć. I zaprosić na ślub. Ona panią kocha i tęskni. Ze wszystkich rzeczy, jakie jej się przytrafiły w życiu, miłość matki pamięta najlepiej.

Torebka Bess Chandler, ręcznie uszyta z materiału, leżała na krześle obok. Dotknęła jej czule, jakby dotykała ręki córki.

- Galen zrobiła ją dla mnie, kiedy miała siedem lat. - Otworzyła torebkę i wyciągnęła z niej jasnowłosą Barbie, ubraną w długą, flanelową koszulę nocną. - Lalka należała do mnie, a potem do Galen. Przez wszystkie te lata siedziała na jej łóżku. Po odebraniu wiadomości od lekarzy w pierwszym odruchu pobiegłam do pokoju córki i chwyciłam lalkę. Ale... Zauważył pan pewnie, że koło niej leży inna lalka? Przywiozła ją z Nowego Jorku. Więc tej już nie potrzebuje.

- Owszem - sprzeciwił się Lawrence łagodnie - potrzebuje. Bess podniosła wzrok na czarodzieja.

- Jest pan dobrym człowiekiem, Lawrence.

- Jestem człowiekiem, który także popełnił w życiu wiele błędów i czegoś się nauczył. Galen potrzebuje obu lalek. I nawet teraz, kiedy śpi, potrzebuje miłości. Niech jej pani o niej mówi.

Moja miłości. Kochanie. Kocham cię.

Lucas szeptał magiczne słowa we wszystkich możliwych kombinacjach. Ale Galen ciągle spała. Już pięć dni. I pięć nocy.

Była jego Śpiącą Królowną. On był jej księciem. Bez wątpienia Lucas Hunter gotów był przedzierać się do niej przez ciernisty las, torując drogę gołymi rękami, zbrojny tylko w miłość.

Śpiąca Królowna z bajki spała sto lat. A ta śpiąca królowna? Z jego baśni?

Galen mogła przespać resztę swego życia. I jego życia. Jak lekarze mogli przewidywać, że się obudzi, skoro nie mieli bladego pojęcia, dlaczego śpi? Tak długi sen nie został wywołany narkozą. Wszystkie testy neurologiczne, od najprostszych do najbardziej skomplikowanych, dawały prawidłowe wyniki. Podobnie pozostałe badania. Śpiączki nie tłumaczyła żadna opisana dotąd reakcja organizmu na preparat, ponieważ w jego skład wchodziły wyłącznie naturalne ekstrakty tkanek. Zresztą, skóra Galen zareagowała doskonale. Efekty zabiegu były zdumiewające. Tak więc Śpiąca Królowna, wyleczona z blizn, mogła przespać resztę życia.

- Chciałbym ją zabrać do domu - powiedział księżę lekarzom siódmego dnia. - Mogę to wszystko robić sam.

Zgodzili się. Oczywiście. Niech wynajmie pielęgniarki, które otoczą ją opieką dwadzieścia cztery godziny na dobę, i rehabilitantów, którzy będą poruszali jej białymi kończynami. Ostatecznie na Manhattanie też są lekarze. Zajmą się jej dożywlnym żywieniem i...

Tymczasem Lucas Hunter miał na myśli dokładnie to, co powiedział: że wszystko może robić sam. Obserwował, co działo się wokół Galen w ciągu ostatnich dni, i wiedział, że sobie poradzi. Byłby jednak wdzięczny, gdyby przed zabraniem jej ze szpitala dali mu szczegółowe instrukcje. Chciałby mieć pewność, że wykonuje wszystko jak należy. Zwłaszcza jeśli chodzi o dożylny odżywianie. Galen dostawała nie tylko glukozę i roztwór soli. Przez umieszczony w żyłę duży wenflon podawano jej inne życiodajne płyny. Lucas musiał nauczyć się go czyścić i sterylizować przed każdorazowym założeniem igły.

Z igłami dotąd słabo sobie radził - zarówno za pierwszym razem, tamtego popołudnia, kiedy pili herbatę i jedli babeczki, jak i za drugim, kiedy spędził noc, szyjąc malutką koszulę i szlafrok dla lalki. Teraz nauczył się z nimi obchodzić, bo one będą utrzymywały przy życiu jego miłość.

Ruszyli w drogę do Nowego Jorku dwoma pojazdami. Szpitalną karetką jechała Galen w towarzystwie Lucasa (bez migającego błękitnego światła i wyjących syren ambulans przypominał raczej karawan), samochodem osobowym - Lawrence i Bess.

Karetką zatrzymała się pod domem. Dalszą drogę Galen odbyła na rękach Lucasa... Wniósł ją przez próg do windy, a potem, stąpając po marmurowej podłodze holu i śnieżnobiałym dywanie - do pastelowej sypialni. Będą ją dzielić, postanowił, aż do dnia ślubu. Delikatnie ułożył swój piękny, śpiący kwiat na szerokim łożu pod baldachimem i okrył troskliwie kołdrą.

- Co możemy dla was zrobić? - spytał stojący w drzwiach Lawrence. Lucas odwrócił się zaskoczony, jakby zapomniał, że ktoś mu towarzyszył, jakby sądził, że są już z Galen sami. Sami w swoim domu.

- Nic, Lawrence. Dzięki. Poradzimy sobie.

- Zostanę na Manhattanie - zaproponowała Bess. - Wynajmę w pobliżu pokój i będę do dyspozycji, kiedy tylko zechcesz.

- Nie. Wybacz Bess, ale nie.

Bess nie poczuła się odrzucona. Lucas zaakceptował ją. Chyba nawet uwierzył w jej miłość. Nie miała wątpliwości, że to podniebne mieszkanie, w którym Galen będzie przebywała tylko z Lucasem, jest najlepszym dla niej miejscem. Martwiła się jednak o niego. Z matczyną troską myślała o mężczyźnie, który postanowił zapewnić jej córce bezpieczeństwo i miłość.

- Może chociaż zakupy? Pieczywo, warzywa...

Pieczywo? Warzywa? Lucas osłupiał. Przecież Galen dostaje wszystko w kroplówce.

- Dla ciebie. Musisz coś jeść.

- Mam wszystko. Dziękuję.

- Powiedz w takim razie, czy jest coś, co mogłabym zrobić? Dla Galen lub dla ciebie?

Przez chwilę myślała, że Lucas powie „nie”, że straci cierpliwość, że pęknie skorupka brytyjskiej grzeczności, za którą nadal, mimo przerażenia, tak starannie się ukrywał. „Odejdź!”, krzyknie, dając upust frustracji i rozpacz. Albo zachowa się jak na dżentelmena przystało - z nienaganną uprzejmością poprosi, żeby sobie wreszcie poszła.

Tymczasem Lucas ani nie krzyczał, ani nie prosił.

- Tak - powiedział. - Możesz coś dla nas zrobić.

- Mianowicie?

- Uszyj dla niej ślubną suknię.

## 29

- Zgadza się. To ja. Już prawie dwa tygodnie minęły, odkąd dzwoniłeś, żeby zapytać, czy nie mam wiadomości od Galen. Dalej nie wiem, co się z nią dzieje. Telefonowałam parokrotnie, ale wciąż nie było cię w domu. Nagrałam się na sekretarce. Wzięliście szybki, cichy ślub i pojechaliście w romantyczną podróż? Dzwonię, żeby się upewnić, czy wszystko w porządku.

Powinien był do niej zatelefonować. Galen by sobie życzyła. Ale tego nie zrobił. Nie odsłuchał też automatycznej sekretarki. Nie spodziewał się żadnych wiadomości. Zresztą nic teraz nie miało znaczenia.

- Nie jest w porządku, Julio - powiedział przeprasząc. - Wstyd mi. Powiniennem wcześniej dać ci znać. Galen...

Galen ciągle śpi. A minął już tydzień, odkąd przywiózł ją do domu. Lucas opowiedział, co się wydarzyło, a kiedy skończył, zareagowała spontanicznie:

- Chcę z nią być. Chcę jej pomagać. Nie jestem pielęgniarką, lecz mam doświadczenie z moją siostrą... - Głos jej zadrżał.

- Z Winnie...

- Tak - szepnęła. - Z Winnie. Opiekowałam się nią, a Galen mi pomagała. Była bardzo przydatna, chociaż nieźle sobie sama radziłam. Pozwól, że przyjadę i pomogę ci. Że pomogę Galen.

- Nie. Dziękuję, Julio. Jeszcze nie teraz.

„Jeszcze nie teraz". Lucas nie przypuszczał, że kiedykolwiek wypowie te słowa. Tymczasem zaczynał po trochu oswajać się z myślą, że może przyjść taki dzień, za rok, za pięć lat, kiedy skorzysta z pomocy innych - dla dobra Galen - gdyż sam tak głęboko osunie się w ciche szaleństwo, że nie da rady zapewnić jej odpowiedniej opieki.

Teraz jednak (miał nadzieję, że tak już pozostanie) samodzielnie potrafi się zatroszczyć i chronić tę skromną kobietę, której był mężem. Jedyne, co się naprawdę liczy, to ich wzajemne obietnice.

Starał się nie myśleć o czasie, gdy Galen się obudzi - jeśli w ogóle się obudzi - jak o początku ich wspólnego życia. Jakby dopiero wtedy miało się ono zacząć. Bo przecież to co teraz trwało, było ich życiem. Ich miłością. W każdym razie z jego strony.

Gotów był uczynić dla niej wszystko. Osobiście zasadził na tarasie kwiaty, które zamówił w Bronxville. Na kawałku papieru przyklejonego do sadzonek ogrodnik skreślił kilka słów. „Galen, przesyłam najładniejsze cebulki kwiatów, jakie udało mi się znaleźć: białych, kremowych, fioletowych i różowych. Jeśli wsadzisz je teraz - a możesz, bo przymrozki już nie grożą - rozkwitną w maju, akurat na twój ślub". Dziewiątego maja zabłysną na nich krople wody z fontanny w kształcie weselnego tortu. Tego deszczowego dnia, kiedy Lucas je wsadzał, lśniły na nich krople deszczu. I jego łzy.

Lucas na krok nie odstępował Galen. Wyprawa na taras była najdłuższa ze wszystkich i napełniła go lękiem, podobnie jak to, że czasami zasypiał. Mimo to zmuszał się do snu w jej pokoju. Nigdy w łóżku. Robił to dla niej. Chciał jak najbardziej opóźnić chwilę, gdy całkowicie zawładnie nim obłęd i pochłonie go ciemność, z której nie ma odwrotu.

Obiecał, że da znać Bess i Lawrence'owi, jeśli coś się zmieni w stanie Galen. Tymczasem minął luty, zaczął się marzec. Lawrence Kincaid sam zadzwonił. Dowiedział się, że Galen ciągle śpi. Jej stan się nie zmienia. On z kolei poinformował Lucasa, że Bess wróciła do Kansas. Szyje suknię dla Galen i czeka na wiadomości. Codziennie do niego dzwoni lub on do niej. Przekazał też Lucasowi całą listę numerów telefonicznych wraz ze stanowczą prośbą kochającego ojca:

- Proszę, żebyś do mnie dzwonił przynajmniej raz w tygodniu. Nie będę ci się narzucał ani osobiście, ani przez telefon. Masz się ze mną kontaktować.

Lucas postanowił dzwonić do Lawrence'a każdego niedzielnego popołudnia. Była to rozsądna decyzja. Powinien to robić dla dobra Galen. Dzięki temu Lawrence pierwszy odkryje, jeśli z Lucasem zacznie się coś złego. On sam może w ogóle nie zauważyć agonii swego umysłu pogrążającego się w ciemność.

Teraz jego umysł funkcjonował bez zarzutu, ale mogło to być złudzenie, któremu uległ. Był wycieńczony brakiem snu i pożywienia. Miał wrażenie, że widzi wszystko z niezwykłą jasnością i wyrazistością, tak jak wtedy, gdy mieszkał w Chatsworth. Zanim zginęła Jenny.

Chociaż Lawrence niezwłocznie przekazywał każdą wiadomość Bess, Lucas dzwonił też do niej i do Julii. Nie po to, żeby wypróbować sprawność swego umysłu, lecz dlatego, że tak życzyłaby sobie Galen.

Raz w tygodniu przychodziła doktor Diana Sterling. Badała Galen i pobierała jej krew, żeby stwierdzić, czy jest prawidłowo odżywiana. Diana postanowiła zająć się też Lucasem.

- Źle wyglądasz - powiedziała bez ogródek, wchodząc do wyłożonego marmurem holu. Był dwudziesty pierwszy kwietnia. Siedemdziesiąty dzień śpiączki Galen.

- Czuję się dobrze.

- Bardzo schudłeś. Wyglądasz, jakbyś źle sypiał.

- Nic mi nie jest. - W jego zmęczonych oczach lśniło dziwne światło. - Chciałbym, żebyś coś sprawdziła.

- Mam cię zbadać? - zapytała na pozór spokojnie. Jakiś guz? Nowotwór? Czemu nie, pomyślała z nagłą złością. To by bardzo pasowało do logiki zdarzeń. Człowiek, który ratował ludzkie życie i narażał własne, tropiąc morderców, został już nagrodzony niewytłumaczalną śpiączką Galen. Teraz powinien jeszcze odkryć, że ma raka. Jeśli los nie zaprzestanie swej okrutnej zabawy, porucznik zapewne skona w chwilę po tym, jak Galen w końcu otworzy oczy. - Co ci jest, Lucas?

- Nie mnie. Galen.

Nie był to guz, tylko łagodne zaokrąglenie w podbrzuszu Galen. Jakby mała cebulka kwiatowa skryła się pod śniegiem, czekając na czas kwitnienia. Nie wyglądało groźnie, niemniej sprawiło, że głos Lucasa drżał. Drżało też jego serce. Serce męża. I ojca.

- Czy ona jest...?

- W ciąży - dokończyła Diana. - Na to wygląda. Robię jej testy neurologiczne i inne badania, lecz ciążą powinien zająć się specjalista. Myślę o doktor Carolyn Barclay. Właściwie to od razu do niej zadzwonię... - Diana urwała i zmarszczyła brwi.

Z góry zakładała, że Lucas chce, by utrzymano tę ciążę. Że będzie troszczył się o dziecko, tak jak troszczy się o przyszłą żonę. Ale przecież może nigdy nie dojść do ślubu. Wtedy zmuszony będzie sam wychowywać maleństwo i opiekować się śpiącą Galen. Może to za dużo nawet dla kogoś takiego jak on. Może nie podołać obowiązkom i nie udźwignąć tego ciężaru.

Tymczasem głos Lucasa brzmiał radośnie. Nie było w nim cienia wahania.

- Tak. Dzwoni natychmiast.

Narzeczeni wspólnie ustalili datę ślubu: dziewiąty maja. Ale nie ustalili godziny.

Lucas sam zdecydował: - tuż po północy, jak tylko biały zegar na kominku wydzwoni swe kuranty. To sygnał dla Kopciuszka.

Lucas tchnął życie w fontannę, która po latach milczenia zaczęła szemrać swąpiosenkę. Stojąc pod rozgwieżdżonym niebem, zamglonym ze zmęczenia wzrokiem śledził, jak diamentowa rosa osiada na pastelowych kwiatach wokół fontanny.

Potem poszedł do narzeczonej. Wykąpał ją, jak co dzień, umył jej płomienne włosy. Były teraz dużo dłuższe, okalafy twarz gęstą, lśniąca chmurą.

Każdego dnia i każdej nocy szeptał jej o miłości, ale teraz znalazł nowe słowa.

- To dzień naszego ślubu, kochanie. Właśnie się zaczął. Najpierw się wyśpimy, a o świcie, kiedy robi się ciepło, wyjdziemy na taras. Pościel, którą zamówiłaś w „Ofelii”, w haftowane na satynie róże, rozesałem na łóżku w naszej sypialni. Czujesz, jakie to miękkie? To twoja koszula nocna z „Ofelii”. Jest piękna. Ty jesteś piękna. Tak bardzo cię kocham.

Zaniósł ją na łóżko i poszedł wziąć prysznic. Po raz pierwszy od chwili, kiedy poczęli swoje dziecko, położył się obok niej. Objął ją i wreszcie - pierwszy raz od tamtej nocy - głęboko zasnął.

Śnił.

I ona śniła.

I obudziła się.

W jego ramionach.

Łagodne przebudzenie było mgliste jak światło księżyca przeświecającego przez muślinowe zasłony, jak jej własne myśli. Nie czuła strachu, bo leżała w jego ramionach. Była szczęśliwa i spokojna... póki nie zobaczyła oświetlonej księżycowym światłem twarzy Lucasa. Wtedy się przeraziła. Ukochana twarz była wychudzona, obciągnięta białą, pergaminową skórą. Pod oczami widniały głębokie cienie. Upiorna bladość skóry odcinała się od czerni wilgotnych, dawno niestrzyżonych włosów.

Chciała go zbudzić, ucałować, błagać, by nie umierał. Jednakże w jego twarzy dojrzała coś jeszcze: jakiś wyraz uspokojenia, oczyszczenia, wyciszenia.

Śnił. Czarne półkola pod oczami wymownie świadczyły o tym, jak bardzo potrzebował odpoczynku. Strach o niego rozwiął mgłę spowijającą jej umysł. Nie знаła jeszcze odpowiedzi na wiele pytań. Ale wkrótce wszystkiego się dowie.

Spał. Ten czujny drapieznik spał tak mocno i spokojnie, że nie obudził się nawet wtedy, kiedy lekko wyśliznęła się z jego ramion i wysunęła z jej satynowej pościeli, zamówionej na noc poślubną.

Kiedy wstała, sypialnia zawirowała jej przed oczami. Drżały jej nogi. Prowadzona jakąś przemożną siłą, dotarła do swojej liliowej sypialni na końcu korytarza. I tam znalazła odpowiedź na wszystkie pytania. Kroplówkę przy osłoniętym baldachimem łóżku. Lalki siedzące na poduszce. Stertę koców na podłodze. Wypis ze szpitala w Bostonie. Skrupulatne notatki dotyczące jej stanu i sposobu odżywiania, zapisywane męskim, nieczytelnym charakterem pisma dzień po dniu, od czasu gdy opuściła Boston. Ostatnia notatka nosiła datę ósmego maja. „Ciągle śpi”.

Znalazła też inne zapiski, starannie, sporządzane przez doktor Dianę Streling i doktor Carolyn Barclay. Czytając je, wymacała z niedowierzaniem i radością dłonią miękko zaokrąglone miejsce. A wcześniej dokonała jeszcze jednego odkrycia - skóra, pocięta okrutnie przez Brandona, była gładka i bez skazy. Znalazła wenfion, przez który w jej żyły płynęło życie. Lucas tak karmił ją i ich dziecko. Ich córkę. Sam chyba w ogóle nic nie jadł.

Pobiegła z powrotem do sypialni. Bezszelestnie zatrzymała się przy łóżku, na którym spał. Nie chciała go budzić; śnił tak piękne sny.

Spał, lecz jego spokój znikł. W spływających spod jego powiek łzach Galen zobaczyła odbłask księżyca. Wtuliła się w jego ramiona. Śpiąca królowna delikatnym pocałunkiem budziła swego księcia.

- Galen - szepnęła z niedowierzaniem i przerażeniem. Stało się! Zwariował!

- Kochany, to ja. Obudziłam się. To naprawdę ja. Wiem wszystko. Tak mi przykro, że cię na to naraziłam.

- Galen? Czy to cud?

Galen ujęła jego wychudzoną twarz w dłonie i całowała jego usta, jego oczy, jego łzy.

- Wróciłam - szepnęła. Bała się, że jej własne łzy przysłonią widok ukochanej twarzy. - Wróciłam i już się mnie nie pozbędziesz.

- Och, Galen - szepnął. Zaczynał już wierzyć w cud. - Kocham cię, kocham.

Całowali się i szeptali, a kiedy zabrakło słów, tulili się do siebie w milczeniu, drżąc jak zakłute w soplach lodu tęcze. A potem znowu się całowali. Nie mogli się powstrzymać. Znowu szeptali. Tyle ważnych rzeczy mieli sobie do powiedzenia. Podczas tego księżycowego przebudzenia pantera i śnieżny anioł stali się jednym. Było to łagodne, radosne zespolenie, związek dusz nierozzerwalnie połączonych siłą nadziei.

Byli w domu.

Nareszcie.